

ARCHIWUM REWOLUCJI

WALTER G. KRYWICKI

BYŁEM AGENTEM STALINA

IMPRIMERIE EN FRANCE

Éditions: INSTITUT LITTÉRAIRE S.A.  
47, avenue de l'Europe, Montreuil  
par MAISONNETTE (S.M.O.)

Db\_65-01260 A

**BIBLIOTEKA "KULTURY"**  
**Tom C**

**IMPRIME EN FRANCE**

---

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,**  
**91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi**  
**par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)**



# ARCHIWUM REWOLUCJI

WALTER G. KRYWICKI

## BYŁEM AGENTEM STALINA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964

ARCHIWUM REWOLUCJI

WALTER G. KRYWICKI

Tytuł oryginału:

I WAS STALIN's AGENT

© Hamish Hamilton, Londres, 1939

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001010704781



II 446.045



© Copyright pour la langue polonaise INSTITUT LITTERAIRE, 1964.

1966 N 265/4

## PRZEDMOWA

Pamiętniki Krywickiego należą do tego rzadkiego typu książek, z których nie można nic wyrzucić, natomiast bardzo wiele można i należy dodać, gdyż bieg wypadków nie tylko potwierdził, lecz i rozszerzył tematy poruszone przez autora.

Są to wspomnienia jednego z pierwszych „destalinizatorów”. Należy je traktować nie jako sensacyjne wyznania człowieka, który „wybrał wolność”, lecz jako dokument odnoszący się do historii najbardziej ponurych lat w Sowietach, którego napisanie autor przyplacił życiem.

Opisywanie przez Krywickiego wypadki dotyczą okresu, o którym Trocki pisał z pogardą, podkreślając służalczość zachodnich korespondentów prasowych w Moskwie: „Przygotowując już masowe czystki, Stalin wysunął sprawę nowej konstytucji sowieckiej — 'najdemokratyczniejszej w świecie'. Wszyscy Walterowie Duranty i Louis Fiszery wyśpiewywali panegiryki na cześć nowej ery demokracji w Sowietach”...

Tymczasem szalały już represje przeciwko „mordercom Kirowa”, i, jeden po drugim, szły procesy „Czternastu”, „Dziewiętnastu”, „Dwunastu”, „Szesnastu”, „Siedemnastu”, „Dwudziestu Jednego” i tak dalej. Jagoda już był zlikwidowany — przyznał się do otrucia Gorkiego — powtórzono raz jeszcze tajny proces Kamieniewa i „trzydziestu współoskarżonych” i zapanowała ponura „Jeżowszczyzna”. Ówczesne procesy straciły indywidualność, nazywano je już tylko od ilości oskarżonych, a później po prostu likwidowano setkami i tysiącami — bezimiennie i bez tytułu...

Psychopatyczna sylwetka Stalina, zarówno u Krywickiego jak i u Trockiego, oraz później u Chruszczowa, zarysowuje się mniej więcej tak samo. Różnica między nimi polega głównie na tym że zarówno Krywicki, jak i Trocki zostali przez Stalina zamordowani,

a Chruszczow zdołał utrzymać się i przeżyć, jak sam mówi: „tańcząc trepaka gdy kazano”.

Już na długo przed Hitlerem, masowe represje i mordy przestały oddziaływać na uczucia polityków. Na ich usprawiedliwienie trzeba dodać, że morderstwo stu ludzi bynajmniej nie wywołuje wrażenia stokrotnie większego, niż zabójstwo jednego człowieka, którego byliśmy świadkami. Wprost przeciwnie, znieczula i powoduje mniejszą reakcję. Potwierdzi to każdy łagiernik lub kacetowiec.

Poza tym, „oficjalne” zaprzeczenie najstraszniejszej zbrodni, nawet ogłoszone przez samego mordercę, w stosunkach między państwowych rozstrzyga sprawę na niekorzyść pomordowanych. Przekonaliśmy się o tym dobitnie na Katyniu...

Dlatego książka Krywickiego, jako czynnego członka tych organizacji sowieckich które zajmowały się montowaniem afer w stylu sprawy Tuchaczewskiego, jest nieocenionym wglądem w tajemnice najciemniejszych z ciemnych zakątków historii intryg na świecie. W świetle dzisiejszej rzeczywistości, stanowi ta książka już nie tylko dokument historyczny, ale także prawny i obyczajowy.

Poza rewelacjami, które do dziś dnia nic nie straciły ze swej sensacyjności — jak sprawa Tuchaczewskiego, uprowadzenie generała Eugeniusza Millera z Paryża i inne — najciekawsze są te ustępy wspomnień Krywickiego, w których ustala, że Stalin, już co najmniej od 1936 roku, dążył uparcie do zawarcia sojuszu z Hitlerem.

Obala on w ten sposób całą misternie utkaną sieć fałszerstw o tym że Stalin „zniechęcony” odmową zgody na przemarsz wojsk sowieckich przez Polskę, nieoczekiwanie poszedł na „ostateczność” ugody z Hitlerem, rzekomo dla „uchronienia się przed możliwością sojuszu państw zachodnich z Hitlerem przeciwko Sowietom”.

Pamiętajmy że zarówno Moskwa jak i Warszawa, pomimo „destalinizacji” — do dziś dnia, nadal uparcie bronią tej tezy w swojej propagandzie i w historii.

Te rewelacje Krywickiego, spisane jeszcze przed wybuchem wojny, zostały całkowicie potwierdzone przez „stronę przeciwną”. Otóż w roku 1953, nowojorska firma wydawnicza The Macmillan Company, wydała 350-stronicowe pamiętniki byłego radcy Ambasady Niemiec w Moskwie, Gustawa Hilgera, pod tytułem „The Incompatible Allies”. Hilger, żonaty z Niemką rosyjską, był w ambasadzie niemieckiej od 1918 do 1941 roku. Znając na wylot Rosję, starych i nowych bolszewików, i mówiąc biegle po rosyj-

sku — był tłumaczem przy wszystkich rozmowach prowadzonych przez dostojników Rzeszy ze Stalinem i z innymi.

W książce tej Hilger mówi:

„...podstawowy zwrot w sowieckiej polityce zagranicznej, ukoronowany paktem Stalin-Hitler, był przygotowany przez wielkie czystki w poprzednich latach. W świetle tego sensacyjnego aktu dyplomatycznego, te wielkie czystki mogą być rozpatrywane jako niezbędne przygotowania do sowiecko-niemieckiego sojuszu. Gdyż jedynie partia komunistyczna, wyczyszczona z Bucharinów, Krestieńskich, Radków i innych, mogła tolerować pakt podpisany przez Mołotowa i Ribbentropa w sierpniu 1939 roku. Dlatego też twierdzenie, że te czystki były „eliminacją proniemieckiej frakcji” z partii — jest bezgranicznie śmieszne!”...

To samo odnosi się do obszernie opisanych u Krywickiego losów Kominternu. Ta organizacja, w której znajdowali się liczni reprezentanci partii komunistycznych narodów, którymi Stalin podzielił się z Hitlerem, lub mu je oddawał, musiała być wyczyszczona radykalnie z tych elementów. Dlatego też musieli pójść na śmierć lub do łagrów wszyscy komuniści fińscy, jugosłowiańscy, węgierscy, polscy i niemieccy. Ci ostatni wyszli może na tym najlepiej, gdyż ich hurtem wydano Gestapo w 1940 roku i dzięki temu część ich przeżyła wojnę, chociaż w kacetach niemieckich. Najgorzej wyszli na tym komuniści polscy. Nie tylko partia komunistyczna została „rozwiązana” jako „przeżarta przez piłsudskizm” — lecz wszyscy znaczniejsi polscy komuniści, jacy wówczas znajdowali się w Sowietach, zostali wystrzelani. Ocalały tylko pomniejsze figury, które przeżyły łagry.

Na pierwszy ogień poszedł Witold Wandurski, mój kolega szkolny z gimnazjum łódzkiego, z którym aż do strajków szkolnych siedziałem na tej samej ławce i przyjaźniłem się. Jako syn naczelnika oddziału pocztowego przy ulicy Wólczańskiej w Łodzi, nie mógł uczestniczyć w strajku szkolnym, i został w gimnazjum rosyjskim jako „łamistrajk”. Na terenie szkół rosyjskich panoszyła się SDKPiL przeciwna strajkowi, i, naturalnie, pod wpływem psychicznym łamistrajkostwa — Witold poszedł na lewo, i już z tej drogi nie zeszedł. Jako czynny komunista w końcu musiał opuścić Polskę, wyjechał do Sowietów, i tam, w Kijowie, został dyrektorem teatru polskiego. „Zdjęto” go z tego stanowiska w 1932 roku, i gdy przejeżdżał przez Moskwę do Wołogdy, dokąd go skierowano, widziałem się z nim po 28 latach przerwy. Mieliśmy kilkugodzinną rozmowę, z której wywnioskowałem, że prze-

żył głęboko przebieg przymusowej kolektywizacji na Ukrainie. Z Wołogdy już nie powrócił, gdyż tam został zaaresztowany pod zarzutem „szpiegostwa na rzecz Polski” i bez publicznego sądu po prostu zastrzelony. Był to okres kiedy Stalin osobiście interesował się sprawami polskimi, gdyż przed podpisaniem polsko-sowieckiego paktu o nieagresji w 1932 roku, przez jakiś mniej więcej rok, grupa polskich komunistów pracująca w redakcji „Izwestij”, a mianowicie: Radek, Neuman-Rajewski, dwóch braci Kowalskich, i kilku nieznanych mi z nazwiska, oraz ówczesny naczelny redaktor „Izwestij” — Groński (kozak z Kubania) — z inicjatywy Radka, przychodzili do mnie co jakieś dwa tygodnie na śniadanie z dłuższą rozmową. Wiedziałem że zarówno sam Radek, jak i Groński, mają bezpośredni dostęp do Stalina, któremu „referują wprost”, i dlatego rozumiałem te wizyty jako chęć Stalina wywiedzenia się co myślał sfery wojskowe polskie, a głównie sam Piłsudski, o tym pakcie, zanim go podpisze. Siadywa-  
liśmy od pierwszej do szóstej gadając o stosunkach polsko-sowieckich, i głównym tematem o jaki im chodziło — to była historia wojny polsko-bolszewickiej 1919-1920, a szczególnie dlaczego sowieckie propozycje pokoju z 1919 roku nie zostały przyjęte. Za długo byłoby tutaj rozwijać ten temat — lecz wspominam o tym dlatego że wkrótce po „wyproszeniu” mnie z Moskwy w 1933 roku, wszyscy ci ludzie, z samym Grońskim na czele, (o którym mi poufnie powiedział Radek: „trzeba go zaprosić z nami, gdyż on jest kontrolerem ze strony Stalina, i musi być świadkiem wszystkich naszych rozmów”), w parę lat później zostali wyaresztowani, i wyszedł z tego żywy jeden Groński, który się nie przyznał do żadnych zarzutów jakie mu stawiano. Przesiedział do 1954 roku w łagrach, i wrócił do Moskwy, gdzie mu dano na od-czepne posadę w jakimś instytucie historycznym. Przez szereg lat nic nie mówił o swoich przeżyciach, aż, nieoczekiwanie, na jakimś zebraniu komsomołu tego instytutu, wystąpił z przemówieniem, opisując swoje dzieje. To on ujawnił publicznie że wszyscy ci którzy się przyznawali — wydawali na siebie, nie wiedząc o tym, wyrok śmierci. Z rozkazu Stalina bowiem, tracono tylko tych, którzy podpisali zeznania o przyznaniu się do nieistniejącej winy, dając w ten sposób w ręce oprawców dokument uzasadniający wyrok śmierci! A bez takiego „dokumentu” nie wolno było ważniejszych oskarżonych strzelać! Szli do więzień i łagrów.

Drugim takim co się nie przyznał — był Radek. Będąc znacznie silniejszy we wszelkiej dialektyce od najsprawniejszego sędziego śledczego, owijał ich sobie jednego po drugim dokoła małego palca w dyskusjach i rozmowach. Dlatego nie dał się namówić na „przyznanie się dla dobra partii”, i wyszedł żywy z



procesu „Siedemnastu” o „centrum trockistowskie”, jaki trwał od 1936 do stycznia 1937, lecz poszedł do więzienia, gdzie po niedługim czasie zmarł.

Według podstawowej zasady Stalina, że tylko trupy nie są niebezpieczne, musiał być za wszelką cenę zlikwidowany Leon Trocki. Likwidacja komunistów w samych Sowietach nie dawała gwarancji, że pod wpływem szoku wywołanego sojuszem Stalina z Hitlerem — nie zaistnieje na zachodzie rozłam wśród komunistów, i w tym Trocki mógł odegrać kolosalnie niebezpieczną dla Stalina rolę „drugiego bieguna komunizmu światowego”. Dlatego też, 20 sierpnia 1940 roku, został zamordowany w Meksyku.

Krywickiego zaś zabito zimą 1940-41 w pokoju hotelowym w Waszyngtonie.

Krywicki doskonale przedstawia tę nieprawdopodobną przewrotność Stalina, z jego długofalową premedytacją, rozkładaniem zemsty osobistej czy politycznej na poszczególne etapy („tatyka salami w cienkich plasterkach” — jak mówią Węgrzy), oraz z tępa brutalnością „tragicznie małostkowego” człowieka, nie wysilającego się na żadne finexje w oskarżaniu. Po prostu „zdrajca i wróg ludu” — więc kulą w łeb... Trocki w swej książce porównywuje Stalina z Judaszem, z tym tylko że „...gdyby Judasz, który sam zdradził Chrystusa, osiągnął był władzę, to by wszystkich pozostałych apostołów w czambuł oskarżył o zdradę, łącznie z mniejszymi apostołami, których Św. Łukasz obliczał na 70-u”.

Na tle książki Krywickiego można lepiej zrozumieć psychologię tego „człowieka o siedemnastu pseudonimach”, który, wspólnie z Hitlerem, mógł zdecydować, że „Polski ma nie być”, mógł nazwać słynną linię podziału interesów sowiecko-niemieckich z 1939 roku, poprowadzoną wzdłuż biegu rzek Pisi, Buga-Narwi, Wisły i Sanu — „granicą naturalną”, i uplanować wyniszczenie nie tylko tych nieszczęśliwych, którzy trafili do Katynia, ale i tej elity politycznej, wojskowej i społecznej Polski, jaka we wrześniu 1939 roku znalazła się w rejonie Łuck-Równe-Brześć-Krzemieniec, i dopiero 16-go września została przesunięta do rejonu Kutry-Kotłomyja.

Zgodnie z umową, armia sowiecka miała wkroczyć do Polski o świcie 15 września. Ponieważ jednak nie zdołano zorganizować tego posunięcia na umówioną datę — nastąpiło opóźnienie o dwa dni, i wkroczone dopiero 17 września rano. Niech każdy z tych, którzy znaleźli się tam w 1939 roku, uprzytomni sobie ten „Katyń monstre” jaki by nas czekał wówczas, ukartowany między Stalinem a Hitlerem...

Ówczesny Ambasador Niemiec w Bukareszcie, Fabrizious, gdy naciskał na Rumunów o zatrzymanie wszystkich uchodźców w

Rumunii w obozach i w aresztach i nie puszczanie ich dalej... otwarcie przyznawał się do tego, że gdyby armia sowiecka wkroczyła do Polski tak jak to było ustalone o świcie 15 września — „nie mielibyśmy teraz niestychanego kłopotu z tą masą uchodźców z Polski, i tych intryg o utworzenie rządu polskiego zagranicą”...

Dla wielu z nas jest niezrozumiałe dlaczego w Polsce dzisiejszej partia pomija grobowym milczeniem losy polskich komunistów, wytraconych przez Stalina. W prasie sowieckiej nie ma bowiem tygodnia, aby nie pojawiły się wspominki o tych, którzy padli ofiarą „kultu jednostki”, przy czym publikowane są obszernie życiorysy nie tylko sowieckich, lecz i polskich komunistów. Ostatnio, 15 marca 1964 roku, z okazji 85-ciolecia urodzin Jakuba Fürstenberg-Haneckiego, wybitnego komunisty polskiego, cała prasa moskiewska zamieściła obszernie relacje, a jeden z artykułów był napisany i podpisany przez Zofię Dzierżyńską. Chociaż Hanecki jest przedstawiony w tych sowieckich nekrologach z pochwałami najwyższego rzędu, a mianowicie jako bliski i osobisty przyjaciel i towarzysz Lenina, który wyciągnął go z aresztu austriackiego w 1914 roku i zorganizował wyjazd Lenina do Szwajcarii, a później tak samo zorganizował przejazd Lenina i towarzyszy przez Niemcy do Szwecji, gdzie ich spotkał i przeprowadził do Finlandii — pomimo to, że Haneckim komuniści polscy ze swego punktu widzenia mogliby się szczycić, mniej więcej tak samo jak Dzierżyńskim — w prasie warszawskiej nie było o tym najmniejszej wzmianki, gdyż Hanecki, w 1936 roku, stał się równie jak i inni — „ofiara kultu jednostki” pod fałszywym oskarżeniem. Dlatego samego powodu nic się nie pisze w Warszawie o Wandurskim, Leszczyńskim, Warskim, Sosnowskim, Stanisławie Pestkowskim (też łódzianin, jak Wandurski, syn administratora łódzkiego Pogotowia Ratunkowego, pseudonim „Stodoła”, który, wcześniej oskarżony o „opozycję”, pokajał się przed Stalinem, i stał się kronikarzem rewolucji październikowej, lecz to go nie uratowało), o Neuman-Rajewskim (syn ziemianina spod Warszawy), o Radku i tylu innych.

O tym co się z nimi stało, dowiadujemy się dopiero od Chruszczowa i z teraźniejszej prasy sowieckiej, a książki takie jak Krywickiego czy Trockiego, naświetlają tło tych zbrodni i charakter ich głównego sprawcy.

Dlaczego więc ta ciuciubabka i to strusie chowanie głowy w piasek wobec powszechnie wiadomych faktów? Dlaczego do martyrologii polskiej partii komunistycznej nie wpisać stronic o jej męczeństwie pod Stalinem? Z pewnością, byłyby to stronicie nieporównanie bogatsze w opisy cierpień i ciężej przesiąknięte krwią



ofiar, niż wszelkie „cierpienia” tej partii pod Składkowskim i w Berezie.

*Książka Krywickiego jest doskonałym przypomnieniem okresu który obejmuje niemal trzydzieści lat historii Sowietów z czterdziestu sześciu lat całego ich żywota!*

Jan KOWALEWSKI





## WSTĘP

Wieczorem 22 maja 1937 wsiadłem do pociągu w Moskwie w powrotnej drodze do Hagi na moją placówkę szefa sowieckiego wywiadu wojskowego na zachodnią Europę. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy z tego, że rozstają się z Rosją na tak długo jak Stalin jest jej władcą. Przez prawie dwadzieścia lat byłem w służbie rządu sowieckiego. Przez cały ten czas byłem bolszewikiem. Podczas gdy pociąg pędził ku fińskiej granicy, siedziałem sam w przedziale rozmyślając o losie moich kolegów, towarzyszy i przyjaciół, aresztowanych, rozstrzelanych lub wysłanych do obozów koncentracyjnych. Wszyscy poświęcili swoje życie dla zbudowania lepszego świata i wszyscy zginęli na swoich placówkach — nie od kul nieprzyjacielskich, lecz z woli Stalina.

Kto tam został z ludzi godnych szacunku lub podziwu? Kto z bohaterów lub bohaterek naszej rewolucji nie został złamany lub zgładzony? Jeżeli są tacy, to bardzo nieliczni. Wszyscy ci, których prawda nie ulegała wątpliwości, zginęli jako „zdradcy” „szpiegzy”, lub pospolici złoczyńcy. Przeżyłymi były w mojej pamięci obrazy z wojny domowej, kiedy ci sami „zdradcy” i „szpiegzy” po tysiąc razy, bez drgnienia powiek stawali oko w oko ze śmiercią; z trudnych następnych lat industrializacji i nadludzkich wymagań stawianych nam wtedy; z okresu kolektywizacji i głodu, kiedy raczej żywnościowe ledwie utrzymywały nas przy życiu. A potem wielka „czystka”, zmiatająca wszystko przed sobą, niszcząca tych co najciężej pracowali nad budową państwa, w którym człowiek nie miał już wyzyskiwać bliźniego.

W ciągu długich lat walki zwykliśmy powtarzać sobie, że przezwyciężenie niesprawiedliwości starego ustroju społecznego może być osiągnięte tylko przez moralne i fizyczne ofiary, że nowy porządek nie może się utrwalić, zanim nie zostaną znisz-

wonej przygotowało *dossier* rzekomych dowodów przeciwko czerwonym generałom dla doręczenia rządowi czechosłowackiemu. Edward Benesz był, zdaje się, tego zdania, że nie wypada mu badać tych dokumentów, zwłaszcza że w tym czasie oczekiwał od Stalina pomocy dla Czechosłowacji. Niechby Benesz przypomniat teraz sobie, w świetle obecnych wydarzeń, i zbadał owe przygotowane przez OGPU „dowody”, by zdecydować, czy wolno mu zachować milczenie.

Teraz, gdy się boleśnie przekonano, że zamykanie oczu na zbrodnie Stalina jest najgorszym sposobem zwalczania Hitlera, wszyscy ci, którzy zostali wmanewrowani do tego szaleństwa, powinni mówić otwarcie. Jeżeli te ostatnie tragiczne lata czegośkolwiek nas nauczyły, to chyba tego, że pochód totalnej barbarii nie może być powstrzymany przez strategiczne odwroty na pozycje półprawd i fałszów. Wprawdzie nikt nie może dyktować metod, za których pomocą cywilizowana Europa przywróci człowiekowi jego godność i wartość. Jednakże, wszyscy nie przypisani jeszcze całkiem do obozu Stalina i Hitlera, zgodzą się zapewne, że prawda musi być głównym orężem, a zbrodnia powinna być nazywana po imieniu.

W. G. KRYWICKIJ

New York, październik 1939.



## R o z d z i a ł I

### STALIN KOKIETUJE HITLERA

W nocy 30 czerwca 1934, kiedy rozpoczęła się pierwsza krwawa czystka hitlerowska, Stalin zwołał nadzwyczajną sesję Politbiura na Kremlu. Zanim wiadomość o tej czystce rozeszła się po świecie, Stalin już był zdecydował o swoim następnym posunięciu w stosunku do reżymu hitlerowskiego.

Byłem wtedy na swoim stanowisku w wydziale wywiadu Sztabu Generalnego w Moskwie. Wiedzieliśmy, że kryzys w Niemczech jest bliski. Wszystkie nasze tajne raporty zapowiadały wybuch. I gdy tylko Hitler rozpoczął czystkę zaczęliśmy otrzymywać meldunki o niej z Niemiec.

Nocy tej pracowałem gorączkowo z całym swoim personelem nad sporządzeniem streszczenia z naszych wiadomości dla komisarza wojny Woroszyłowa. Oprócz członków wezwani zostali na zebranie Politbiura mój szef, generał Berzin; Karol Radek, naonczas dyrektor biura informacji Centralnego Komitetu Partii Komunistycznej; Maksim Litwinow, komisarz dla spraw zagranicznych; i A.C. Artuzow, szef wydziału zagranicznego OGPU.

Nadzwyczajne zebranie Politbiura zostało zwołane w celu rozważenia prawdopodobnych skutków czystki hitlerowskiej w Niemczech i jej wpływu na sowiecką politykę zagraniczną. Posiadane przez nas poufne informacje wskazywały, iż czystka objęła dwa krańcowe skrzydła przeciwników Hitlera. Przywódcą jednej grupy, złożonej z radykalnych nazistów, niezadowolonych z umiarkowanej polityki Hitlera, a marzących o „drugiej rewolucji”, był kpt Röhm. Druga grupa składała się z oficerów armii niemieckiej pod przewodnictwem generałów Schleichera i Bredowa i dążyła do przywrócenia monarchii. Podali oni sobie ręce z grupą Röhma w celu wysadzenia z siodła Hitlera, każda jednak strona żywiła w duchu nadzieję, że przy finale wypłynie jako triumfator.



Nasze specjalne meldunki z Niemiec przynosiły jednak wiadomości iż garnizony w centrach metropolii były lojalne wobec Hitlera i że większość oficerów armii była wierna rządowi.

W zachodniej Europie i w Ameryce czystkę hitlerowską wzięto za oznakę słabnięcia potęgi nazistowskiej. Również w kołach sowieckich wielu było skłonnych uwierzyć, że jest to zapowiedź upadku rządów Hitlera. Stalin jednak nie miał tych iluzji. Zreasumował on dyskusję na zebraniu Politbiura w sposób następujący:

„Wypadki w Niemczech bynajmniej nie wskazują na załamanie się reżymu nazistowskiego. Przeciwnie, prowadzą do konsolidacji tego reżymu i do wzmocnienia Hitlera”.

Generał Berzin wrócił z Kremla z tym werdyktem Stalina. Moja chęć dowiedzenia się o decyzji Politbiura była tak wielka, że nie kładłem się spać przez całą noc czekając na powrót Berzina. Mielśmy jak najsurowszy zakaz zabierania do domu tajnych dokumentów państwowych, nawet komisarz dla spraw wojennych nie miał prawa tego robić, wiedziałem więc, że Berzin będzie musiał wrócić do swego biura.

Kurs polityki sowieckiej w stosunku do Niemiec nazistowskich poszedł po linii werdyktu Stalina. Politbiuro postanowiło za wszelką cenę skłonić Hitlera do zawarcia ugody z rządem sowieckim. Stalin zawsze twierdził, że z silnym nieprzyjacielem trzeba jak najwcześniej dojść do porozumienia. Noc 30 czerwca przekonała go o sile Hitlera. Nie był to jednak nowy kurs, nie było w tym żadnej rewolucyjnej zmiany w jego polityce niemieckiej. Zdecydował tylko zdwojenie swych dawnych wysiłków, by ugłaskać Hitlera. Cała jego polityka wobec reżymu nazistowskiego w ciągu jego istnienia szła w tym kierunku. Stalin rozpoznał w Hitlerze prawdziwego dyktatora.

Przekonanie, które przeważało powszechnie aż do ostatniego rosyjsko-niemieckiego paktu, że Hitler i Stalin są śmiertelnymi wrogami, było zupełnym nieporozumieniem. Był to tylko sztuczny obraz, sprytnie zamaskowany oparami propagandy. Stalin zachowywał się jak konkurent, którego żadna odmowa nie zniechęca. Po stronie Hitlera była wrogość. Po stronie Stalina był strach.

Jeżeli można mówić o proniemieckich sympatiach na Kremlu, to właśnie Stalin był przez cały czas ich przedstawicielem. Od chwili śmierci Lenina był zwolennikiem kooperacji z Niemcami i po dojściu Hitlera do władzy nie zmienił swego zasadniczego stanowiska. Przeciwnie, triumf nazistów umocnił go w dążeniu do bliższego związku z Berlinem, a japońskie niebezpieczeństwo na Dalekim Wschodzie jeszcze pobudzało go do tego. Miał głę-

boką pogardę dla „słabowitych” demokratycznych narodów i równie głęboki szacunek dla „potężnych” totalitarnych państw.

Cała zewnętrzna polityka Stalina przez ostatnich sześć lat składała się z serii manewrów mających na celu zajęcie dogodnej pozycji przy porozumieniu się z Hitlerem. Gdy przystąpił do Ligi Narodów, gdy zaproponował system zbiorowego bezpieczeństwa, gdy zabiegał o względy Francji, flirtował z Polską, zalecał się do Wielkiej Brytanii, interweniował w Hiszpanii, każdy ten jego krok był kalkulowany z oczami zwróconymi na Berlin. Dążył do zajęcia takiej pozycji, by Hitler uznał pozytywną odpowiedź na jego awanse za korzystną dla Niemiec. Szczytowy punkt w tej stalinowskiej polityce nastąpił w końcu roku 1936, gdy został zawarty tajny układ niemiecko-japoński, o który pertraktacje były przeprowadzone poza dymną zasłoną paktu anty-kominternowskiego. Warunki tej tajnej umowy, które doszły do rąk Stalina głównie dzięki moim i mego zespołu staraniom, pobudziły go do rozpaczliwej próby dobicia targu z Hitlerem. Na początku 1937 targ ten był rzeczywiście między nimi w toku. I nikt nie wie w jakim stopniu układ z sierpnia 1939 był już wówczas w tamtych projektach antycypowany.

Dopiero w dwa lata później Stalin zaczął odsłaniać światu swój przyjazny stosunek do Niemiec. 10 marca 1939 wypowiedział się po raz pierwszy z powodu hitlerowskiej aneksji Austrii i okupacji Sudetów. Świat był zdumiony jego stanowiskiem wobec tego niemieckiego podboju oraz przyjaznymi ofertami wobec Hitlera. W trzy dni później oszołomiła świat wiadomość, że Hitler wkroczył do Czechosłowacji.

Kronika polityki Stalina ugłaskania Hitlera — zarówno jawna jak i tajna — wskazuje na to, że im bardziej polityka hitlerowska stawała się agresywna, tym bardziej Stalin mu nadskakiwał. I im bardziej Stalin zabiegał o względy, tym większa stawała się agresywność Hitlera.

Od dawna, przed pojawieniem się Hitlera, a nawet Stalina, współpraca sowiecko-niemiecka była dyktowana biegiem wypadków. Już w roku 1922, przeszło dziesięć lat przed Hitlerem, porozumienie moskiewsko-niemieckie zostało zapoczątkowane paktami w Rapallo. Zarówno Związek Sowiecki jak i Republika Niemiecka były traktowane wówczas jak wyrzutki społeczeństwa narodów. Obydwa państwa były w niełasce u Aliantów i obydwie przeciwstawiały się systemowi wersalskiemu. Miały tradycyjne stosunki handlowe i wspólne interesy. Teraz już ogólnie wiadomo, że w ciągu tego dziesięciolecia istniał tajny układ między Reichswehrą — niemiecką armią, a czerwoną armią. Rosja Sowiecka pozwalała Republice Niemieckiej wymykać się spod zakazów

wersalskich co do ćwiczenia oficerów artylerii i czołgów, oraz rozbudowy lotnictwa i chemicznego przemysłu wojennego. To wszystko było jednak robione na ziemi sowieckiej. W zamian armia czerwona zyskiwała wiadomości wojskowe od niemieckich ekspertów. Obie armie wymieniały informacje. Ogólnie również wiadomo, że w ciągu tej dekady szedł handel między Rosją Sowiecką a Niemcami. Niemcy inwestowali kapitały i otrzymywali koncesje w Związku Sowieckim, a rząd sowiecki importował maszyny i inżynierów z Niemiec.

Taka była sytuacja, gdy w Niemczech pojawiła się groźna postać Hitlera. Siedem czy osiem miesięcy przed jego dojściem do władzy, na początku lata 1932, spotkałem w Gdańsku pewnego wysokiego oficera niemieckiego Sztabu Generalnego, zacieklego monarchistę, który specjalnie przyjechał z Berlina żeby się spotkać ze mną. Był to wojskowy starej szkoły i wierzył w restaurację cesarstwa w Niemczech w kooperacji z Rosją.

Spytałem tego oficera jak sobie wyobraża politykę niemiecką w razie gdyby Hitler stał się głową rządu. Dyskutowaliśmy o poglądach Hitlera w jego książce „Mein Kampf”. Oficer niemiecki dał mi swoją wersję nadchodzących wypadków i zakonkludował: „Niech Hitler przyjdzie i zrobi co do niego należy. A wtedy my, armia, będziemy mieli z nim krótką rozprawę”.

Poprosiłem go o streszczenie tych poglądów na piśmie, abym mógł je przesłać do Moskwy, na co się zgodził. Jego raport wywołał poruszenie w kołach Kremla. Przeważał tam pogląd, że więzy ekonomiczne i wojskowe między Niemcami a Rosją są tak głęboko zakorzenione, że Hitler w żaden sposób nie będzie mógł ich zlekceważyć. Moskwa rozumiała piorunowanie Hitlera na bolszewizm jako manewr na drodze do władzy. Mogło mu to być pożyteczne. Ale nie mogło zmienić podstawowych interesów obu krajów, które musiały prowadzić do kooperacji.

Stalin ucieszył się z raportu niemieckiego oficera. Wprawdzie znał doskonale doktrynę nazistowską o „parciu na wschód”, ale przywykł był do tradycyjnej kolaboracji między czerwoną armią i Reichswehrą i miał wielki respekt dla armii niemieckiej pod dowództwem gen. von Seeckta. Poglądy oficera sztabu niemieckiego wiązały się z jego poglądami. Stalin widział, w ruchu nazistowskim przede wszystkim reakcję na pokój wersalski. Zdawało mu się, że jedyna rzecz, którą Niemcy zrobią pod Hitlerem, będzie zrzućnięcie pęt wersalskich. Rząd sowiecki był pierwszym który je rozkuwał. Rzeczywiście, początkowo Moskwa i Berlin były związane wspólną opozycją przeciwko chciwości alianckich zwycięzców.

Z tych powodów Stalin nie zamierzał po wypłynięciu Hitlera zrywać tajnego związku berlińsko-moskiewskiego. Przeciwnie, robił co tylko mógł, by go utrzymać w mocy. Hitler w ciągu trzech pierwszych lat stopniowo rozluźnił bliskie stosunki armii czerwonej z niemiecką armią, ale to nie odstraszyło Stalina. Jeszcze wytrwalej starał się o przyjaźń Hitlera.

28 grudnia 1933, w jedenaście miesięcy po objęciu przez Hitlera godności kanclerza, premier Mołotow przemawiając na kongresie Sowietów popierał Stalina w utrzymywaniu poprzedniej polityki względem Niemiec:

„Nasze stosunki z Niemcami zajmowały zawsze specjalną pozycję w naszych stosunkach międzynarodowych... Związek Sowiecki nie ma ze swej strony żadnego powodu, by politykę w stosunku do Niemiec w czymkolwiek zmienić”.

Następnego dnia, na tym samym kongresie, komisarz spraw zagranicznych Litwinów, posunął się w obronie porozumienia z Hitlerem dalej nawet niż Mołotow. Litwinow mówił o naszkicowanym w *Mein Kampf* programie odebrania wszystkich niemieckich terytoriów. Mówił o niemieckiej determinacji „by ogniem i mieczem utorować drogę dla ekspansji na wschód, nie zatrzymując się na granicach Związku Sowieckiego”.

„Przez dziesięć lat byliśmy z Niemcami w ścisłych stosunkach ekonomicznych i politycznych. Byliśmy jedynym wielkim państwem, które nie chciało mieć nic do czynienia z traktatem wersalskim i jego następstwami. Nie przyjęliśmy praw i korzyści, które ten traktat nam dawał. Niemcy zajmowały pierwsze miejsce w naszym handlu zagranicznym. Zarówno Niemcy jak i my, ciągnęliśmy ogromne zyski z politycznych i ekonomicznych stosunków między nami. (Prezydent Kalinin z Komitetu Wykonawczego: 'Niemcy szczególnie'). W oparciu o te stosunki Niemcy mogły mówić śmiało i pewnie do swoich wczorajszych zwycięzców”.

Ta aluzja, podkreślona przez wykrzyknik prezydenta Kalinina, miała na celu przypomnienie Hitlerowi o pomocy Rosji Sowieckiej w przeciwstawianiu się zwycięzcom wersalskim. W końcu Litwinow złożył następującą deklarację:

„Chcemy mieć z Niemcami tak samo jak z innymi państwami jak najlepsze stosunki. I Rosja Sowiecka i Niemcy mogą na tym tylko zyskać. Z naszej strony, nie dążymy do ekspansji ani na zachód ani na wschód, ani w żadnym innym kierunku. Chcielibyśmy to samo usłyszeć od Niemiec”.

Hitler nie powiedział tego. Ale i to nie odstraszyło Stalina. Zachęciło go raczej do jeszcze bardziej usilnych załatów.

26 stycznia 1934 Stalin w przemówieniu na siedemnastym Zjeździe partii komunistycznej kontynuował swą akcję ułagodzenia Hitlera. Hitler miał wówczas za sobą dokładnie rok władzy. Odrzucił wszelkie polityczne awanse Moskwy, ale zawarł handlową umowę na dogodnych warunkach finansowych z Rosją Sowiecką. Stalin tłumaczył to jako dowód dobrej woli Hitlera. Powoływał się na elementy nazistowskie, skłonne do powrotu do „polityki cesarskich Niemiec, które swego czasu okupowały Ukrainę, podjęły wyprawę na Leningrad i zamieniły kraje bałtyckie w obóz pomocniczy do tego marszu”. Mówił następnie o zmianie w niemieckiej polityce, którą przypisywał nie teoriom narodowego-socjalizmu, ale chęci rewanżu za Wersal. Zaprzeczał jakoby Rosja Sowiecka zmieniła politykę względem Berlina z powodu „ustanowienia faszystowskiego reżymu w Niemczech” i wyciągał rękę do Hitlera ze słowami:

„Oczywiście jesteśmy dalecy od entuzjazmu w stosunku do faszystowskiego ustroju w Niemczech. Ale faszyzm nie jest tu problemem. Na przykład faszyzm we Włoszech nie przeszkodził Związkowi Sowieckiemu w ustaleniu dobrych stosunków z tym krajem”.

W Berlinie zignorowano wyciągniętą rękę Stalina. Hitler miał inne zamiary co do tej sprawy. Ale Stalin nie dawał się zniechęcić. Postanowił tylko zmienić metody. Sądząc, że nazistowska akcja na rzecz przeciw-sowieckiego bloku jest manewrem ze strony Hitlera, postanowił odpowiedzieć kontrmanewrem. Odtąd rząd sowiecki będzie pozornie podtrzymywał system wersalski, wstąpi do Ligi Narodów, przystąpi nawet do bloku anty-niemieckiego. Stalin sądził, że groźba takiego manewru doprowadzi Hitlera do przytomności.

Stalin wybrał wybitnego dziennikarza dla przygotowania mu pozycji do fiknięcia takiego koziołka. Trzeba pamiętać, że całe pokolenie sowieckiej młodzieży było wychowane w przekonaniu, że traktat wersalski jest najbardziej zgubnym dokumentem jaki kiedykolwiek był sporządzony, oraz że jego autorzy to banda piratów. Niełatwa więc była sprawa przebrać rząd sowiecki w szaty obrońcy Wersalu. W Związku Sowieckim był tylko jeden człowiek, który mógł takiej akrobatyki dokonać w sposób strawny dla domowej i zagranicznej konsumpcji. Był nim Karol Radek, ten sam który później odegrał taką tragiczną rolę w wielkim procesie ze stycznia 1937 r. Stalin wybrał Radka by przygotował opinię rosyjską i światową do zmiany jego taktyki.

Spotykałem Radka w tym czasie, wczesną wiosną 1934 r., bardzo często w kwaterze głównej Centralnego Komitetu partii komunistycznej. W kołach partyjnych w Moskwie aż huczało o



wyznaczeniu Radka do przygotowania serii artykułów mających być podbudową zapowiadanej zmiany polityki na Kremlu.

Artykuły miały się ukazywać w *Prawdzie* i *Izwestiach*, naczelnych sowieckich organach. Przedrukowane na całym świecie, będą starannie studiowane we wszystkich europejskich kancelariach. Zadaniem Radka było wybielić pokój wersalski, ogłosić nową erę przyjaźni z Paryżem, przekonać sympatyków sowieckich za granicą, że takie stanowisko harmonizuje z komunizmem, a jednocześnie zostawić otwarte drzwi do negocjacji z Niemcami.

Ponieważ często wstępowałem do biura Radka, wiedziałem że codziennie miał narady ze Stalinem. Czasami pędził do biura Stalina kilka razy dziennie. Każde zdanie napisane przez niego było przez Stalina sprawdzane osobiście. Artykuły te były pod każdym względem wspólną pracą Radka i Stalina.

Podczas przygotowań do tej akcji prasowej komisarz Litwinow nie ustawał w staraniach o pakt z Hitlerem. W kwietniu zaproponował Niemcom wspólne wystąpienie w celu zagwarantowania państwu bałtyckim ich niezależności i nietykalności. Berlin odrzucił tę propozycję.

Artykuły Radka były witane wszędzie jako zapowiedź zwrotu Sowietów ku Francji i ku Małej Entencie, i odwrócenia się od Niemiec. „Niemiecki faszyzm i japoński imperializm” — pisał Radek — walczą o ponowny podział świata. Walka ta skierowana jest przeciwko Rosji Sowieckiej, przeciwko Francji, Polsce, Czechosłowacji, Rumunii i państwu bałtyckim; przeciwko Chinom i Stanom Zjednoczonym Ameryki. A imperializm brytyjski chętnie skierowałby ich usiłowania tylko i jedynie na Związek Sowiecki”.

W owym czasie miałem ciekawą rozmowę z Radkiem. Był on świadom tego, że wiem o wyznaczeniu go do tej pracy. Zrobiłem parę uwag o „naszej nowej polityce” i opowiedziałem mu o wrażeniu jako to robi w kołach niewtajemniczonych w te manewry.

Radek rozgadał się: „Tylko głupcy mogą myśleć, że możemy kiedykolwiek zerwać z Niemcami. To co tu piszę to jedna strona medalu — a rzeczywistość to druga strona. Nikt nam nie może dać tego, co dali Niemcy. Zerwanie z Niemcami jest dla nas po prostu niemożliwością”.

Radek mówił dalej o rzeczach dobrze mi znanych: o naszym stosunku z armią niemiecką, która mocno siedziała w siodle, nawet pod Hitlerem, o naszych stosunkach z wielkimi niemieckimi firmami — a czyż Hitler nie był pod butem przemysłowców? Na pewno Hitler nie pójdzie przeciw sztabowi generalnemu, który był za kooperacją z Rosją. Z pewnością Hitler nie skrzyżuje szpad z niemieckimi kołami przemysłowymi, które handlują na wielką

skął z nami. Te dwie siły są filarami stosunków niemiecko-sowieckich.

Radek uważał za idiotów tych, którzy myślą że Rosja Sowiecka ma się obrócić przeciwko Niemcom z powodu nazistowskich prześladowań komunistów i socjalistów. To prawda, że partia komunistyczna w Niemczech została rozbita. Jej przywódca, Thaelman, siedzi w więzieniu, a tysiące członków — w obozach koncentracyjnych. Ale to jest odrębna sprawa, a inaczej rzecz wygląda gdy się zastanowić nad żywotnymi interesami Rosji Sowieckiej. Te interesy wymagają kontynuowania polityki współpracy z Rzeszą Niemiecką.

Co zaś do artykułów, które pisze, to co ma jedno do drugiego? To wszystko należy do sfery wielkiej polityki. To jest konieczny manewr. Stalin ani myśli zrywać z Niemcami. Przeciwnie, stara się przyciągnąć Berlin bliżej ku Moskwie.

Wszystko to było jasne dla tych, którzy tkwili wewnątrz polityki Kremla. Wiosną 1934 roku nikt z nas nawet nie roił, że zerwanie z Niemcami jest możliwe. Wszyscy uważaliśmy artykuły Radka za strategiczne manewry Stalina.

Litwinow udał się w podróż po stolicach europejskich, pozornie w interesach tak zwanego Wschodniego Locarna, które miało zabezpieczyć, za ogólną zgodą wszystkich zainteresowanych rządów, granice państw wschodniej Europy. Był m.in. w Genewie. Jego wizyta wywołała w świecie pogłoski o franko-rosyjskim zbliżeniu, koronując w ten sposób dzieło rozpoczęte przez artykuły Radka. Jednocześnie Stalin nie przestawał uparcie twierdzić w Politbiurze: „Tym niemniej musimy iść razem z Niemcami”.

13 czerwca 1934 Litwinow zatrzymał się w Berlinie w celu odbycia rozmowy z baronem Konstantym von Neurath, ówczesnym ministrem spraw zagranicznych Hitlera. Litwinow zapraszał Niemców do udziału w zamierzonym wschodnio-europejskim pakcie. Von Neurath stanowczo odmówił i szorstko zaznaczył, że taki układ uwieczniłby system wersalski. Gdy Litwinow dał do zrozumienia, że Moskwa może wzmocnić swoje traktaty z innymi państwami aliansem militarnym, von Neurath odpowiedział, że Niemcy zgadzają się na ryzyko takiego okrażenia.

Dnia następnego, 14 czerwca, Hitler spotkał się z Mussolinim na śniadaniu w Wenecji.

Stalin nie zniechęcił się również tą ostatnią odmową Berlina. Wciąż starał się przekonać, m.in. przez sowieckich wysłanników handlowych, kierownicze koła niemieckie o swojej szczerości w dążeniu do porozumienia z Hitlerem i pozwolił im dać do zrozumienia, że Moskwa gotowa jest do znacznych koncesji.



Jednocześnie Stalin starał się skłonić Polskę do obrócenia swej polityki przeciwko Niemcom. Nikt wówczas nie wiedział, jaką drogę Polska wybierze, zostało więc zwołane specjalne posiedzenie Politbiura, by rozważyć to zagadnienie. Litwinow i Radek, oraz przedstawiciel Komisariatu Wojny byli zdania, że można wpłynąć na Polskę by podała rękę Rosji Sowieckiej. Jedyńm który się z tym nie zgadzał był Artuzow, szef wydziału zagranicznego OGPU. Uważał on szanse polsko-sowieckiego związku za iluzoryczne. Gdy się ostro wypowiadał, przeciwstawiając się większości Politbiura, Stalin przerwał mu: „Pan mylnie informuje Politbiuro”.

Ta uwaga Stalina szybko rozeszła się wśród członków grupy rządzącej. Śmiałek Artuzow był uważany za „skończonego”. Późniejsze wypadki jednak przyznały mu rację. Polska przyłączyła się do niemieckiego bloku i to zapewne uratowało go na pewien czas. Artuzow był Szwajcarem, który osiadł w carskiej Rosji i był tam nauczycielem francuskiego. Przyłączył się do ruchu rewolucyjnego przed wojną światową, a wstąpił do partii bolszewickiej w 1917 roku. Niewysoki, siwy, z kozią bródką, amator muzyki, Artuzow ożenił się z Rosjanką, miał z nią dzieci i mieszkał w Moskwie. W 1937 aresztowano go w czasie wielkiej czystki i stracono.

Fiasko z Polską wzmocniło przekonanie Stalina o potrzebie ułagodzenia Hitlera. Używał wszelkich dróg by zawiadomić Berlin o swojej gotowości do nawiązania przyjaznych stosunków. Krwawa czystka Hitlera z 13 czerwca ogromnie podniosła go w oczach Stalina. Po raz pierwszy Hitler pokazał Kremlowi, że wie jak dzierżyć władzę i że jest dyktatorem nie tylko z imienia, ale także i z czynów. Jeżeli przedtem Stalin miał wątpliwości co do zdolności Hitlera rządzenia żelazną ręką, złamania opozycji, umocnienia swojej władzy nawet wbrew potężnym politycznym i wojskowym przeciwnikom, teraz te wątpliwości się rozwiały. Odtąd Stalin uznał w Hitlerze władcę, człowieka zdolnego do wykonania wyzwania rzuconego światu. To, więcej niż cokolwiek, było powodem decyzji Stalina w nocy 30 czerwca, by za wszelką cenę dojść do porozumienia z Hitlerem.

W dwa tygodnie później, 15 lipca, w sowieckim organie *Izwestia* Radek próbował w swoim artykule wyolbrzymić w oczach Berlina wyniki porozumienia z mocarstwami wersalskimi. Ale kończył artykuł inną nutą:

„Nie ma żadnego powodu, by faszystowskie Niemcy i Rosja Sowiecka nie były w zgodzie, tak jak Rosja Sowiecka i faszystowskie Włochy są naprawdę przyjaciółmi”.

Ostrzeżenie Hitlera udzielone przez von Neuratha, że Niemcy nie boją się ryzyka otoczenia, popchnęło Stalina ku kontr-otoczeniu. W owym czasie bliskie stosunki między armiami niemiecką a rosyjską jeszcze istniały, a stosunki handlowe między obydwojema krajami były bardzo ożywione. Stalin uważał więc, że kurs polityki hitlerowskiej w stosunku do Moskwy jest manewrem na celu uzyskania pomyślnej dyplomatycznej pozycji. By nie dać się oskrzydlić, postanowił odpowiedzieć własnym manewrem zakrojonym na szeroką skalę.

Litwinow znowu został wysłany do Genewy. Tam, w końcu listopada 1934, pertraktował z Pierre Laval o wstępne porozumienie mające prowadzić do paktu wzajemnej pomocy między Francją i Rosją. Pakt zostawiałby otwarte drzwi dla innych państw mających ochotę do niego się przyłączyć. Protokół ten został podpisany w Genewie 5 grudnia.

W cztery dni później Litwinow oświadczył: „Związek Sowiecki nigdy nie zaprzestał dążyć do jak najlepszych stosunków z Niemcami. Jestem pewien że Francja stoi na tym samym stanowisku w stosunku do Niemiec. Pakt wschodnio-europejski umożliwiłby stworzenie i dalsze rozwinięcie takich stosunków między tymi trzema państwami, ewentualnie także między innymi sygnatariuszami tego paktu”.

Nareszcie, na ten manewr Hitler zareagował pozytywnie. Zostały otwarte wielkie kredyty dla rządu sowieckiego. Stalina zachęciło to ogromnie. Sądził, że niemieccy finansisci przekonali Hitlera.

Wiosną 1935, w czasie wizyty w Moskwie Anthony Eder, Pierre Laval i Edwarda Benesza, Stalin osiągnął, jak sam uważał, swój największy triumf. Reichsbank udzielił sowieckiemu rządowi długoterminowej pożyczki 200 milionów marek w złocie.

2 sierpnia 1935, wieczorem, byłem z Artuzowem i innymi członkami zagranicznego wydziału OGPU w biurze na Łubiance. Było to w przeddzień pierwszego słynnego lotu Lewoniewskiego z Moskwy do San Francisco przez biegun północny. Czekaliśmy na samochód by pojechać i być świadkami odlotu Lewoniewskiego i jego dwóch towarzyszy do Ameryki. Gdy czekając porządkowaliśmy dokumenty i zamykali je w „safe”ie, w rozmowie wypłynął temat naszych stosunków z nazistowskimi Niemcami. Artuzow wyciągnął ściśle tajny raport, dopiero co otrzymany od jednego z naszych najważniejszych agentów w Berlinie. Była to odpowiedź na pytanie niepokojące Stalina: jakie i jak silne są, w Niemczech czynniki faworyzujące układ ze Związkiem Sowieckim?

Po nadzwyczaj ciekawym przeglądzie wewnętrznej, ekonomicznej i politycznej sytuacji w Niemczech, powodów możliwe

niezadowolenia, stosunków Berlina z Francją i innymi państwami i dominujących wpływów wśród otoczenia Hitlera, nasz agent doszedł do następującego wniosku:

„Wszelkie sowieckie próby załagodzenia i uzgodnienia się z Hitlerem są daremne. Główną przeszkodą w porozumieniu z Rosją jest sam Hitler”.

Raport ów zrobił na nas wszystkich głębokie wrażenie. Jego logika i fakty zdawały się niezaprzeczalne. Zastanawialiśmy się, jak „Wielki SzeŹ” to przyjął. Artuzow mówił, że optymizm Stalina co do Niemiec pozostał nadal niezachwiany.

„Czy wiecie co szef powiedział na ostatnim zebraniu?” — zapytał Artuzow, robiąc gest ręką. I zacytował słowa Stalina:

„Jak może Hitler zacząć z nami wojnę, gdy nam dał takie pożyczki? To niemożliwe. Koła finansowe w Niemczech są zbyt potężne i siedzą w siodle mocno”.

We wrześniu 1935 wyjechałem do zachodniej Europy, by tam objąć moje nowe stanowisko szefa wojskowego wywiadu. Nie minął miesiąc, a już byłem z powrotem w Moskwie. Mój pośpieszny powrót został spowodowany nadzwyczajnym rozwojem wypadków.

Przy przejmowaniu naszej sieci wywiadowczej wykryłem, że jeden z naszych agentów w Niemczech natrafił na ślad tajnych rokowań między japońskim attaché wojskowym w Berlinie, gen. lejtn. Hiroszi-Oszima i baronem Joachimem von Ribbentropem, ówczesnym nieoficjalnym ministrem Hitlera do specjalnych spraw zagranicznych.

Uznałem te negocjacje za bardzo ważne dla rządu sowieckiego i wymagające mojej specjalnej uwagi. Obserwowanie rozwoju tej sprawy wymagało najlepszych i najśmielszych ludzi, jakich mieliśmy do dyspozycji, gdyż zwykła, szablonowa obserwacja nie dałaby wyników. Poleciałem więc do Moskwy by poradzić się z centralą. Wróciłem do Holandii zaopatrzony we wszelkie pełnomocnictwa i środki niezbędne dla dotarcia do tajemnicy rozmów Oszima-Ribbentrop.

Rozmowy te były prowadzone poza normalnym dyplomatycznym trybem. Ambasador japoński w Berlinie i niemieckie ministerstwo spraw zagranicznych nie były w to wciągnięte. Von Ribbentrop, poseł specjalny Hitlera, prowadził tajemne rozmowy z generałem japońskim. Informacje które zdobyłem do końca 1935 roku wskazywały bez cienia wątpliwości, że negocjacje posuwały się w kierunku określonego celu. Wiedzieliśmy oczywiście, że celem tym było zaszachowanie Związku Sowieckiego.

Wiedzieliśmy też, że armia japońska od lat pragnęła mieć plany i modele specjalnych, przeciwlotniczych armat niemieckich. Japońskie koła wojskowe były gotowe pójść na wszystko, byle dostać z Berlina ostatnie techniczne patenty broni wojennej. Był to punkt wyjściowy japońsko-niemieckich negocjacji.

Stalin był dokładnie informowany o rozwoju tej sprawy. Moskwa zdecydowała zahamować owe negocjacje, przez nadanie im rozgłosu. W początku stycznia 1936 zaczęły się ukazywać w zachodnio-europejskiej prasie wiadomości, że zostały zawarte jakieś tajne umowy między Niemcami i Japonią. 10 stycznia premier Mołotow mówił o tym publicznie. W dwa dni potem Berlin i Tokio zaprzeczyły istnieniu jakichkolwiek podstaw do tych pogłosek.

Jedynym więc skutkiem nadanego tej sprawie rozgłosu było zwiększenie tajemnicy wokół tych rozmów i zmuszenie obu rządów — niemieckiego i japońskiego — do jakiegoś upozorowania ich rzeczywistego układu.

Przez cały 1936 rok wszystkie stolice świata były podniecane oficjalnymi i prywatnymi wiadomościami o niemiecko-japońskiej umowie. Wszędzie w kołach dyplomatycznych wrzało od domysłów. Moskwa gwałtownie naciskała o dokumentarne dowody tej umowy. Moi ludzie w Niemczech narażali życie wobec niemal niemożliwych do przewyciężenia trudności, lecz zdawali sobie sprawę, że nie ma zbyt wysokiej ceny, ani zbyt wielkiego ryzyka.

Wiedzieliśmy, że tajna policja nazistowska przejęła i że miała w ręku kopie szyfrowanych depesz wymienianych w czasie negocjacji między gen. Oszima i Tokio. W końcu lipca 1936 zawiadomiono mnie, że nareszcie moim ludziom w Berlinie udało się sfotografować cały komplet tych tajnych aktów. Tą, raz otwartą drogą, mogliśmy dostawać dalsze depesze Oszimy do swego rządu i *vice versa*.

Napięcie nerwowe następnych dni, gdy już wiedziałem że bezcenne dokumenty są w naszym ręku, ale musiałem czekać na ich przewiezienie z Niemiec, było prawie nie do wytrzymania. Nie można jednak było ryzykować i musiałem czekać cierpliwie.

8 sierpnia zawiadomiono mnie, że kurier przewożący te akta przeszedł niemiecką granicę i jest w drodze do Amsterdamu. Byłem w tym momencie w Rotterdamie. Wskoczyłem do samochodu wraz z moim adiutantem i pogałem do Amsterdamu. Po drodze spotkaliśmy naszego agenta, który pędził z dokumentami, by mi je wręczyć. Zatrzymaliśmy się na drodze.

„Oto są, mamy je” — powiedział i wręczył mi kilka rolek filmów. Udałem się do Haarlem, gdzie mieliśmy zakonspirowany pokój do wywoływania fotografii. Korespondencja Oszimy była zaszyfrowana, ale mieliśmy klucz do japońskiego szyfru. W Haar-

lem czekał też na mnie pierwszorzędny ekspert języka japońskiego, z wielkim trudem wynaleziony w Moskwie. Nie mogłem kazać czekać Moskwie na dostarczenie dokumentów przez kuriera. Nie mogłem też nadawać z Holandii szyfrowych wiadomości. Kazałem więc jednemu z naszych ludzi, by był w pogotowiu do natychmiastowego odlotu do Paryża, by stamtąd wysłać długi raport do Moskwy.

Podczas gdy odszyfrowywaliśmy dokumenty, zobaczyłem że miałem przed sobą cały pakiet korespondencji Oszimy z Tokio, donoszących stopniowo o jego wszystkich negocjacjach z von Ribbentropem, a także sugestie przesłane mu przez rząd japoński. Generał Oszima donosił, że negocjacje prowadzone były pod osobistym nadzorem Hitlera, który często konferował z von Ribbentropem i dawał mu wskazówki. Korespondencja wykazywała że celem negocjacji było zawarcie tajnego paktu, by skoordynować wszelkie posunięcia Berlina i Tokio w Europie zachodniej i na Pacyfiku. Nie było w tej z górną rocznej korespondencji żadnej wzmianki o komunistycznej międzynarodowce i żadnych propozycji jakiegokolwiek kroku przeciw komunizmowi.

Według tego tajnego układu Japonia i Niemcy zobowiązywały się do regulowania między sobą wszystkich spraw dotyczących Związku Sowieckiego i Chin i nie wszczynania żadnej akcji, ani w Europie, ani na Pacyfiku, bez wzajemnego porozumienia. Berlin zgodził się też dać do dyspozycji Tokio swe udoskonalenia w zakresie broni, oraz wymienić z Japonią misje wojskowe.

Pewnego popołudnia mój kurier wyleciał do Paryża z moim szyfrowanym pismem. Wróciłem do domu i przez kilka dni odpoczywałem. Odtąd wszelka korespondencja między generałem Oszimą i Tokio przechodziła regularnie przez nasze ręce. Wykazała w końcu, że tajny pakt został sporządzony i paraflowany przez gen. Oszimę i von Ribbentropa. Był tak ułożony, że zakres współpracy pomiędzy Japonią i Niemcami mógł być rozszerzony na sferę interesów wykraczającą poza Chiny i Rosję Sowiecką.

Pozostał tylko jeden problem do załatwienia: jak zamaskować tajną umowę. Hitler zdecydował zaprojektować pakt antykominternu jako środek dla zmylenia opinii światowej.

25 listopada, pakt anty-Kominternu został podpisany przez oficjalnych reprezentantów rządu niemieckiego i japońskiego, w obecności wszystkich posłów akredytowanych przez obce państwa w Berlinie, z wyjątkiem Związku Sowieckiego. Ten dokument składał się z paru krótkich artykułów, a w rzeczywistości służył jako zasłona dla tajnego układu, do istnienia którego nigdy się nie przyznano.



## Rozdział II

### KONIEC KOMUNISTYCZNEJ MIĘDZYNARODÓWKI

Komunistyczna Międzynarodówka powstała 2 marca 1919 r. w Moskwie. Podpisanie niemiecko-sowieckiego paktu w Moskwie 23 sierpnia 1939 r. przez premiera Mołotowa i niemieckiego ministra spraw zagranicznych von Ribbentropa było śmiertelnym dla niej ciosem. Ale chylenie się jej ku upadkowi można było rozpoznać w faktach, które zaszły wiele lat przedtem.

Pewnego majowego ranka 1934 roku byłem z Wołyńskim, szefem sekcji kontrwywiadu OGPU, w jego biurze, na dziesiątym piętrze gmachu na Łubiance w Moskwie. Nagle z ulicy na dole doszedł naszych uszu dźwięk muzyki i śpiewu. Gdy wychyliliśmy się by zobaczyć co się dzieje, ujrzelśmy defiladę. Maszerowało trzysetu członków austriackiej socjalistycznej armii Schutzbund, która bohatersko walczyła na barykadach wiedeńskich przeciwko faszystowskiej Heimwehrze. Rosja Sowiecka udzieliła prawa azylu temu małemu batalionowi socjalistycznych bojowników.

Ow ranek majowy zostanie mi zawsze w pamięci: szczęśliwe twarze Schutzbündlerów gdy maszerowali śpiewając swoje rewolucyjne pieśni, „Brüder zur Sonne, zur Freiheit” i spontaniczny wylew uczuć przyjaźni rosyjskich tłumów, które przyłączyły się do marszu. Na chwilę zapomniałem gdzie jestem, ale Wołyński ściągnął mnie na ziemię.

„Jak myślisz, Krywicki? Ilu szpiegów jest między nimi? — spytał najnaturalniej w świecie.

„Ani jednego” — odpowiedziałem gniewnie.

„Bardzo się mylisz” — powiedział. „Za sześć czy siedem miesięcy siedemdziesiąt procent z nich będzie siedziało na Łubiance w więzieniu”.

Wołyński był dobrym znawcą działania stalinowskiej maszynierii. Z tych trzystu Austriaków ani jeden już dziś nie pozostał



na sowieckim terytorium. Wielu z nich aresztowano wkrótce po przybyciu. Inni, chociaż wiedzieli, co ich czeka w kraju, tłumnie zgłaszali się do ambasady austriackiej po paszporty i wracali do domu, gdzie trafiali do więzienia na długie lata.

„Lepiej być w Austrii za kratami” — mówili — „niż w Związku Sowieckim na wolności”.

Resztki tych uchodźców zostały przetransportowane statkami przez rząd sowiecki do międzynarodowej brygady w Hiszpanii w czasie hiszpańskiej wojny domowej. Stalin posuwał się szybko na drodze do totalitarnego despotyzmu, a Komintern dawno już przestał służyć swoim pierwotnym celom.

Komunistyczna międzynarodówka była założona przez rosyjską partię komunistyczną przed dwudziestu laty\*), w przekonaniu że Europa jest w przede dniu rewolucji światowej. Lenin, jej *spiritus movens*, był przekonany, że partie socjalistyczne i robotnicze w zachodniej Europie, przez podtrzymywanie imperialistycznej wojny, prowadzonej przez ich rządy od 1914 do 1918 roku, straciły poparcie mas pracujących. Sądził, że tradycyjne partie robotnicze i federacje związków zawodowych w Niemczech, Francji, Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, ze swoją wiarą w parlamentarne rządy i w pokojową ewolucję ku sprawiedliwsiemu ustrojowi społecznemu, są zupełnie przestarzałe i że zadaniem zwyciężskich rosyjskich bolszewików było dostarczenie rewolucyjnych przywódców robotnikom wszystkich krajów. Wizją, która kierowała Leninem, były komunistyczne stany zjednoczonej Europy, a ostatecznym celem wszechświatowy komunizm.

Lenin był pewny, że bolszewicy mimo ich entuzjazmu w pierwszych chwilach zwycięstwa, nie będą mogli zbudować komunistycznego państwa w Rosji bez pomocy klas robotniczych krajów zaawansowanych. Swoją śmiały eksperyment uważał za z góry skazany na upadek, jeżeli rewolucja w zacofanej, rolniczej Rosji nie zostanie poparta przez przynajmniej jedno wielkie przemysłowe państwo. Pokładał największe nadzieje w szybkim wybuchu rewolucji w Niemczech.

Ostatnie lat dwadzieścia dowiodły, że Lenin nie doceniał znaczenia istniejących organizacji robotniczych i związków zawodowych, a przeceniał zdolności przystosowania się zachodniej

---

\*) Kilku socjalistów albo konwertytów bolszewickich, którzy przypadkowo byli wtenczas w Moskwie, wystąpiło jako „delegaci” ze swoich krajów. Ale poza przedstawicielami lewego skrzydła skandynawskiej partii socjalistycznej, jedyny prawdziwy delegat z zagranicznej organizacji rewolucyjnej, Eberlein, reprezentujący Spartakusbund w Niemczech, przyjechał z instrukcjami od Róży Luksemburg, by głosować przeciw utworzeniu nowej międzynarodówki.

Europy do rosyjskiego bolszewizmu, z jego hasłem natychmiastowego obalenia rządów, tak demokratycznych, jak autokratycznych i wprowadzania międzynarodowej komunistycznej dyktatury do zachodniej Europy.

Przez dwa dziesiątki lat Komintern — komunistyczna międzynarodówka — założony, inspirowany i kierowany przez rosyjskich bolszewików, starał się ugruntować swoje metody i swój program poza granicami Związku Sowieckiego. Tworzył wszędzie partie komunistyczne, wzorował je dokładnie na wysoce scentralizowanej i zdyscyplinowanej partii bolszewickiej i czynił je odpowiedzialnymi i posłusznymi wobec głównego sztabu partii w Moskwie.

Swoich agentów Komintern wysyłał do każdego kąta świata. Planował masowe powstania i wojskowe rebelie w Europie, na Dalekim Wschodzie i na zachodniej półkuli. A gdy wszystkie te wysiłki spaliły na panewce, podjął w roku 1935 swój ostatni plan akcji politycznej — Front Ludowy. W tym końcowym okresie posługując się kompromisem zaszedł najdalej, bo przedostał się do organów opinii publicznej, a nawet do rządowych instancji głównych demokratycznych państw.

Od samego początku aż do roku 1937 miałem możliwość obserwować z bliska robotę Kominternu. Przez osiemnaście lat brałem bezpośredni — polityczny i militarny — udział w jego akcji rewolucyjnej. Byłem też jednym z wykonawców interwencji Stalina w Hiszpanii, podczas której Komintern po raz ostatni wprowadził swoje siły do walki.

Praca moja w Kominternie zaczęła się w roku 1920 podczas wojny rosyjsko-polskiej. Byłem wtedy przydzielony do sowieckiego wojskowego wywiadu na froncie zachodnim, którego kwatery główna była w Smoleńsku. Podczas gdy czerwona armia Tuchaczewskiego posuwała się ku Warszawie, zadaniem naszego wydziału była tajna robota poza polskimi liniami; organizowanie dywersji i sabotaż dostaw amunicji, podrywanie ducha wojsk polskich za pomocą propagandy i wreszcie dostarczanie sztabowi generalnemu czerwonej armii informacji wojskowych i politycznych.

Ponieważ nie było wyraźnej linii, która by rozgraniczała nasze prace od pracy agentów Kominternu w Polsce, współpracowaliśmy wszelkimi sposobami z nowo utworzoną Polską Partią Komunistyczną i wydawaliśmy rewolucyjną gazetę „Świt”, którą rozdawaliśmy żołnierzom armii polskiej.

W dniu kiedy Tuchaczewski stał przed bramami Warszawy, Dąbał, chłopski poseł, oświadczył w polskim sejmie: „Nie uwa-

zam czerwonej armii za nieprzyjaciela. Przeciwnie, witam jak przyjaciela Narodu Polskiego”.

Był to dla nas fakt o wielkim znaczeniu. Wydrukowaliśmy mowę Dąbala w „Świcie” i rozrzuciliśmy setki tysięcy egzemplarzy po całej Polsce, a szczególnie wśród polskich żołnierzy.

Dąbał został natychmiast aresztowany i osadzony w warszawskiej cytadeli, w więzieniu politycznym, którego wszyscy się bali.

Po trzech latach rząd sowiecki uzyskał jego zwolnienie w wymianie na pewną liczbę polskich arystokratów i księży, którzy byli trzymani jako zakładnicy. Przyjechał wtedy do Moskwy, gdzie go witano jako jednego z bohaterów Kominternu. Hojnie zasypyano go honorami i dano mu wysokie stanowisko. W ciągu przeszło dziesięciu lat Dąbał był jednym z najważniejszych nie-rosyjskich urzędników komunistycznej międzynarodówki.

W 1936 został aresztowany pod zarzutem, że przez siedemnaście lat, od chwili swojej mowy w polskim sejmie, był polskim szpiegiem. OGPU zdecydowało, że powitanie przez Dąbala armii czerwonej, jak też jego trzyletnie więzienie, było częścią spisku uknutego przez polski wywiad wojskowy — i Dąbał został stracony.

Podczas wojny rosyjsko-polskiej, polska partia komunistyczna współdziałała ręką w rękę z naszym wydziałem, przygotowywaliśmy też ją do współpracy z armią czerwoną. Polska partia komunistyczna wykonywała wszystkie rozkazy posuwającej się naprzód armii Tuchaczewskiego.

Członkowie polskiej partii komunistycznej pomagali nam w urządzaniu sabotaży, dywersji i w hamowaniu transportów broni z Francji. Zorganizowaliśmy strajk w Gdańsku, by zapobiec dowozowi amunicji z Francji dla polskiej armii. Jeździłem do Warszawy, Krakowa, Lwowa, na niemiecki i czeski Śląsk aranżując strajki, by wstrzymać dowóz broni. Udało mi się wywołać strajk kolejowy na czeskiej stacji węzłowej Oderberg (Bogumin), przekonawszy czeskich kolejarzy, że lepiej jest porzucić pracę, niż łądować amunicję Skody dla Polski Piłsudskiego.

„Robotnicy kolejowi! — pisałem w jednej z ulotek — przewoźcie waszymi pociągami armaty, które będą zabijały waszych rosyjskich braci — robotników!”.

Jednocześnie polski rząd komunistyczny, przygotowany na chwilę zajęcia Warszawy, posuwał się razem ze sztabem Tuchaczewskiego ku polskiej stolicy. Na szefa tego rządu został wyznaczony przez Moskwę Feliks Dzierżyński, weteran rewolucjonistów polskich i niegdyś szef rosyjskiego CzeKa (wcześniejsza nazwa OGPU).

Wojna rosyjsko-polska była jedyną poważną próbą Moskwy przeniesienia komunizmu na ostrzach bagnatów do zachodniej Europy. Nie udało się mimo wszystkich naszych wysiłków, tak politycznych, jak militarnych, mimo zwycięstw czerwonej armii i pomimo że polski oddział Kominternu współpracował z naszymi politycznymi agitatorami i z naszym wywiadem na tyłach polskiego frontu. W końcu wyczerpana czerwona armia została zmuszona do ucieczki. Piłsudski pozostał władcą Polski. Nadzieja Lenina na podanie sobie rąk, ponad Polską, z rewolucyjnymi robotnikami Niemiec i na dopomożenie im do rozciągnięcia rewolucji aż do Renu, rozwiąła się.

Idea przyspieszenia rewolucji bolszewickiej za pomocą militarnej inwazji była rozważana już przedtem, podczas krótkiego istnienia sowieckich republik węgierskiej i bawarskiej. Oddziały czerwonej gwardii były wówczas zaledwie o sto mil od węgierskiego terytorium. Ale bolszewicy byli wtedy zbyt słabi i ponadto walczyli z Białymi o własne istnienie.

Na początku 1921, gdy traktat ryski między Polską a Rosją został podpisany, bolszewicy, a zwłaszcza sam Lenin, zdali sobie sprawę, że wzniecenie udanych rewolucji w zachodniej Europie jest zadaniem poważnym i długofalowym. Nie było nadziei na szybki triumf w skali międzynarodowej, a istniała ona jeszcze w czasie pierwszego i drugiego kongresu Kominternu, kiedy jego prezydent Zinowiew oznajmił, że w przeciągu roku cała Europa będzie komunistyczna. Jednakże nawet po 1921, jeszcze w roku 1927, Moskwa zainscenizowała szereg rewolucyjnych awantur i puczów.

Tysiące robotników w Niemczech, w krajach bałtyckich i bałkańskich i w Chinach zostały w tej serii nieodpowiedzialnych prób niepotrzebnie poświęcone. Komintern posyłał na rzeź, na ryzyko, z na prędcę spreparowanymi schematami *coup d'état*, strajków generalnych i rebelii, z których żaden nie miał szans powodzenia.

Na początku 1921 sytuacja w Rosji była szczególnie groźna dla sowieckiego reżymu. Głód, powstania chłopów, bunt marynarzy w Kronsztacie i strajk generalny robotników petrogradzkich — to wszystko doprowadziło rządy sowieckie na krawędź katastrofy. Wszystkie zwycięstwa wojny cywilnej zdawały się być zmarnowane. Bolszewicy bezradnie stali w obliczu opozycji chłopów, robotników i marynarzy, którzy byli dotąd ich główną podporą. Znajdujący się w desperackiej sytuacji Komintern doszedł do wniosku, że jedynym sposobem uratowania bolszewizmu jest rewolucja w Niemczech. Zinowiew posłał swego męża zaufania Bełę Kuna, dawniejszego szefa węgierskiej sowieckiej republiki, do Berlina.

Bela Kun zjawił się w stolicy Niemiec w marcu 1921 z rozkazem od Zinowiewa i komitetu wykonawczego Kominternu do centralnego komitetu partii w Niemczech. Rozkaz brzmiał w skrócie: „Sytuacja w Niemczech jest rewolucyjna. Partia komunistyczna musi pochwycić władzę w swe ręce”. Komitet centralny niemieckiej partii komunistycznej odniósł się do tego sceptycznie. Wielu członków nie chciało uwierzyć własnym uszom. Komitet wiedział, że nie ma nadziei na obalenie rządu w Berlinie. Ale rozkazy Beli Kuna były jasne: natychmiastowe powstanie, obalenie Republiki Wejmarskiej i ustanowienie komunistycznej dyktatury w Niemczech. Komitet centralny niemieckiej partii komunistycznej zastosował się do instrukcji z Moskwy. Jako lojalny podwładny komitetu wykonawczego komunistycznej międzynarodówki, którego głową był Zinowiew, a dyrektywy nadawali Lenin, Trocki, Bucharin, Radek i Stalin, niemiecka partia komunistyczna musiała być posłuszną.

22 marca został ogłoszony strajk generalny w centrach przemysłowych w Mansfeld i Merseburg w Niemczech centralnych. 24 marca komuniści zdobyli gmachy zarządu miasta w Hamburgu. W Lipsku, Dreźnie, Chemnitz i innych miastach centralnych Niemiec, skierowano atak na sądy, ratusze, banki publiczne i sztaby policyjne. Oficjalny organ komunistyczny „Die Rote Fahne” otwarcie nawoływał do rewolucji.

W Mansfeld, ośrodku kopalni miedzi, zjawił się Max Hoelz, Robin Hood komunistów, który rok przedtem sam jeden rozpętał wojnę podjazdową przeciwko rządowi berlińskiemu, w całym Vogtlandzie w Saksonii, i ogłosił, że bierze kierownictwo akcji w swoje ręce. Jednocześnie szereg zamachów bombowych, włącznie z próbami wysadzenia w powietrze gmachów państwowych i pomników w Berlinie, wyrządził szkody w całym Niemczech. Rząd łatwo rozpoznał w tym wprawna rękę Hoelza.

24 marca robotnicy komunistyczni w ogromnych nitrogenowych zakładach w Leuna, uzbrojeni w karabiny i granaty, zabarykadowali się w fabryce.

Ale wysiłki komunistów, by skoordynować te lokalne akcje zupełnie się nie powiodły. Lojalni, wytrenowani członkowie partii odpowiedzieli na wezwanie i batalion po batalionie wysyłany był przez partię na śmierć, z większą jeszcze bezwzględnością niż Ludendorff rzucał swoje wojska do bitwy. Ale wielka masa robotników nie reagowała na wezwanie do strajku generalnego i nie przyłączyła się do rozproszonych wybuchów. W początku kwietnia powstanie zostało stłumione na wszystkich odcinkach.

Szef niemieckiej partii komunistycznej, dr Paul Lewi, który od początku był przeciwny tej awanturze, uważając ją za wariacki



pomysł, i który bez ogródek oskarżał jej sprawców, został wyrzuty z partii.

Zarzucał on Moskwie, że nie rozumie zupełnie sytuacji w zachodniej Europie, że poświęciła życie tysięcy robotników dla wariackiego hazardu. Przywódców bolszewizmu i emisariuszy Kominternu nazwał łajdakami i „tanymi politykami”.

W tym marcowym powstaniu partia komunistyczna w Niemczech straciła połowę członków. A Max Hoelz, komunistyczny bojowiec, który chciał chwycić władzę w ręce szturmem, trafił pod sąd, oskarżony o „zabójstwa, podpalanie, bandytyzm i pięćdziesiąt innych przestępstw” i został zasądzony na dożywotne więzienie.

Byłem zainteresowany losami Hoelza, bo pomimo wszystkich jego dzikich pomysłów, był to niewątpliwie uczciwy i śmiały rewolucjonista. W jego rodzinnym Vogtlandzie stał się w oczach miejscowej ludności legendarną postacią. W kilka lat potem, gdy byłem stacjonowany we Wrocławiu, gdzie Hoelz siedział w więzieniu, nawiązałem kontakt z jednym z jego dozorców, który był głęboko do Hoelza przywiązany. Posyłałem więźniowi za jego pośrednictwem książki, czekoladę i jedzenie. Rozmawialiśmy razem o możliwości uwolnienia Hoelza. Ale musiałem otrzymać na to pozwolenie i pomoc partii komunistycznej. Skomunikowałem się z Hamannem, szefem partii we Wrocławiu, który obiecał pomoc kilku pewnych ludzi. Następnie pojechałem do Berlina, by porozumieć się z centralnym komitetem partii. Wynikła dyskusja nad tą sprawą. Niektórzy chcieli uzyskać zwolnienie Hoelza legalnymi drogami, na przykład przez wybranie go do Reichstagu. Inni myśleli, że jego ucieczka byłaby właśnie czymś co by zgalwanizowało, masy, których nastrój wówczas stał się ogromnie apatyczny. Dostałem pozwolenie na próbę zorganizowania ucieczki z więzienia. Ale pierwszą rzeczą, o której po moim powrocie do Wrocławia dozorca Hoelza mi doniósł, było: „Dostaliśmy rozkaz zaryglowania jego drzwi łańcuchami”.

Władze dowiedziały się o spisku od samego Hamanna, szefa partii komunistycznej we Wrocławiu, członka Reichstagu i jednocześnie agenta policji.

Później Hoelz został zwolniony w legalny sposób. Chociaż przygotowywałem jego ucieczkę i byłem z nim w stałej komunikacji we Wrocławiu, poznałem go dopiero w 1932 roku w Moskwie w mieszkaniu Kischa, niemieckiego pisarza komunistycznego. Gdy dowiedział się kim jestem, zaśmiał się:

„A to pan jest owym bogatym wujkiem z Ameryki, który mi przysyłał dobre książki i jedzenie!”.

Przez jakiś czas Hoelz był w Moskwie bohaterem. Dostał order Czerwonego Sztandaru, fabryka w Leningradzie nazwana



została jego imieniem, przydzielono mu dobre mieszkanie w hotelu Metropol. Ale gdy komuniści w 1933 roku skapitulowali bez jednego wystrzału przed Hitlerem, i stało się jasne, jaka będzie polityka Stalina i Kominternu, Hoelz poprosił o swój paszport. Zwlekano z oddaniem mu go z dnia na dzień. Zaczęli go śledzić szpiedzy. Wpadł wówczas we wściekłość i zażądał natychmiastowego pozwolenia wyjazdu. Teraz jego przyjaciele w Moskwie zaczęli go unikać. OGPU odmówiło oddania mu paszportu, a trochę później ukazała się w *Prawdzie* mała notatka donosząca że Hoelz utonął w rzece poza Moskwą. W OGPU powiedziano mi, że po objęciu władzy w Niemczech przez Hitlera, widziano Hoelza wychodzącego z niemieckiej ambasady w Moskwie. Nie może być wątpliwości, że Hoelz został zamordowany przez OGPU, gdyż jego rewolucyjna przeszłość mogła zrobić z niego potencjalnego przywódcę rewolucyjnej opozycji względem Kominternu.

Marcowa porażka powstania w Niemczech znacznie otrzębiła Moskwę. Nawet Zinowiew spuścił z tonu w swoich proklamacjach i manifestach. Widoczne było że Europa nie skończyła jeszcze z kapitalizmem. Nawet w Rosji, po zduszeniu chłopskiej rebelii i buntu w Kronsztacie, Lenin poszedł na poważne ekonomiczne koncesje dla chłopów i kupców. Rosja rozpoczęła okres wewnętrznej rekonstrukcji, a wszechświatowa rewolucja została odsunięta na dalszy plan. Komintern był zajęty wynajdywaniem kozłów ofiarnych swojej porażki, robiąc czystkę w komunistycznych centralnych komitetach w różnych krajach i wyznaczał nowych szefów na opróżnione miejsca. Walka koterii w partiach komunistycznych za granicą trzymała machinę Kominternu w napięciu przy układaniu rezolucji i rugów z partii.

W styczniu 1923 pracowałem w Moskwie w trzeciej sekcji wydziału wywiadu czerwonej armii. Doszła do nas wiadomość, że Francuzi przygotowują się do zajęcia Ruhry w celu wyegzekwowania odszkodowań wojennych. Mieszkiałem wówczas w hotelu Lux, który był głównym miejscem zamieszkania urzędników Kominternu i przyjezdnych zagranicznych komunistów.

Hotel Lux był i wciąż jeszcze jest główną kwaterą Europy zachodniej w Moskwie. Przez jego kuluary przewijają się komuniści wszystkich krajów, zarówno delegaci związków zawodowych, jak też indywidualni robotnicy, którzy w jakiś sposób zasłużyli na podróż do proletariackiej Mekki.

Wskutek tego władze sowieckie mają stale oko na hotel Lux, by wiedzieć dokładnie co towarzysze z każdego kraju mówią i robią, by znać ich ustosunkowanie się do rządu sowieckiego i zwalczających się koterii wewnątrz partii bolszewickiej. W tym celu hotel Lux jest naszpikowany agentami OGPU, zarejestro-

wanymi jako goście lub stali mieszkańcy. Między tymi agentami donoszącymi OGPU o zachowaniu się obcokrajowych komunistów i robotników był Konstanty Umański, obecny sowiecki ambasador w Stanach Zjednoczonych.

Spotkałem Umańskiego po raz pierwszy w roku 1922. Umański, urodzony w Besarabii, zamieszkiwał w Rumunii i Austrii aż do roku 1922, kiedy przyjechał do Moskwy. Ponieważ znał języki, dostał posadę w TASS, oficjalnej sowieckiej agencji prasowej. Jego żona była stenotypistką w biurze Kominternu.

Gdy nadszedł dla Umańskiego czas odbycia służby w wojsku, powiedział mi, że wcale nie pragnie „zmarnować” dwóch lat w wojskowych koszarach. Życie w Sowietach nie miało jeszcze wtedy charakteru kastowego, jakim jest teraz, i to jego powiedzenie uderzyło mnie. Większość komunistów uważa jeszcze dotąd służbę w czerwonej armii za przywilej. Ale nie Umański. Zgłosił się on w Departamencie Wywiadu z poleceniem komisarza spraw zagranicznych Cziczierina i Doleckiego, szefa TASS’a, prosząc by mu pozwolono „odsłużyć” dwa lata służby wojskowej w charakterze tłumacza czwartego wydziału.

Tegoż wieczora, będąc w towarzystwie Firina, w owym czasie zastępcy generała Berzina, szefa wydziału wojskowego wywiadu, w pewnej restauracji w Moskwie zobaczyłem Umańskiego. Podeszedłem do jego stolika i spytałem go, dlaczego porzucił swoją pracę w TASS’ie. Odpowiedział, że ma zamiar zabić dwa zające jednym strzałem: zatrzymać swoją pracę w TASS’ie i odsłużyć wojsko w biurach czwartego wydziału.

Gdy to powiedziałem Firinowi, odpowiedział ze złością: „Możesz być zupełnie pewny, że on nie będzie pracował w czwartym wydziale”.

W owych latach nie było łatwo o wygodne synekurki i Umański nie dostał posady tłumacza przy czerwonej armii. Ale udało mu się uniknąć niewygodnych koszar żołnierskich funkcjonując jako kurier dyplomatyczny ministerstwa spraw zagranicznych. Funkcja ta liczyła się jako służba wojskowa, gdyż wszyscy dyplomatyczni kurierzy podlegają OGPU. Nie porzucając swej pracy w TASS’ie, gdzie również służył OGPU, bo byli tam dziennikarze i korespondenci mający niebezpiecznie bliską styczność ze światem zewnętrznym, Umański podróżował do Paryża, Rzymu, Wiednia, Tokio i Szanghaju. Mógł więc szpiegować reporterów TASS’a z każdego dogodnego dlań punktu, czy to w biurze TASS’a, czy za granicą. A w hotelu Lux miał nastawione uszy na urywki rozmów prowadzonych przez zagranicznych komunistów...

Konstanty Umański jest jednym z tych niewielu komunistów, którym się udało przekroczyć najeżoną przeszkodami granicę roz-

dzielającą starą partię bolszewicką od nowej. Osiągnął to do czego dążył.

Gdy wiadomość o zajęciu przez Francję Ruhry doszła do naszego wydziału, grupa złożona z pięciu, czy sześciu oficerów, łącznie ze mną, otrzymała rozkaz natychmiastowego wyjazdu do Niemiec. W przeciągu dwudziestu czterech godzin wszystkie przygotowania były zrobione. Moskwa miała nadzieję, że następstwa francuskiej okupacji otworzą drogę dla ponownej ofensywy Kominternu w Niemczech.

W przeciągu tygodnia byłem już w Berlinie. Moje pierwsze wrażenie było, że Niemcy stały w przede dniu katastrofy. Inflacja i dewaluacja marki wywindowały ceny do astronomicznych wyżyn, bezrobocie rozszerzało się wszędzie. Utarczki między policją a robotnikami i nacjonalistycznymi bojówkami zdarzały się codziennie. Okupacja francuska dołała oliwy do ognia. Przez chwilę wydawało się nawet, że zbiedniałe i wyczerpane Niemcy chwycą za broń do samobójczej walki przeciwko Francji.

Przywódcy Kominternu śledzili wypadki w Niemczech z wielką rezerwą. Nie udało im się w roku 1921, chcieli więc by nowy cios był wymierzony dopiero wtedy gdy Niemcy pogrążą się w kompletnym chaosie. Jednak nasz wydział wywiadu dał nam bardzo wyraźne instrukcje. Jechaliśmy do Niemiec by robić wywiad, by mobilizować rewolucyjne elementy w zagłębiu Ruhry i by kuć broń dla powstania w odpowiednim momencie.

Utworzyliśmy natychmiast w niemieckiej partii komunistycznej trzy rodzaje organizacji: służbę wywiadowczą partii, pracującą pod kierownictwem czwartego wydziału czerwonej armii i „Zersetzungsdienst”, czyli grupki, których zadaniem było zachwiać morale Reichswehry i policji.

Na czele służby wywiadowczej partii postawiliśmy Hansa Kiepenbergera, syna hamburskiego wydawcy. Pracując bez wytchnienia stworzył on pomysłową sieć szpiegowską w szeregach armii i policji, w aparacie rządowym, w każdej partii politycznej i w organizacjach bojowych przeciwników. Jego agenci przedostali się do monarchistycznego Stahlhelmu, Wehrwofu i jednostek nazistowskich. Pracując ręką w rękę z „Zersetzungsdienst” skrycie wybadali pewnych oficerów Reichswehry co do ich stanowiska w razie powstania komunistycznego.

Kiepenberger służył Kominternowi z wielką lojalnością i odwagą. Podczas wypadków w roku 1923 codziennie narażał swoje życie. W końcu spotkał go ten sam los, który był udziałem wszystkich lojalnych komunistów. Wybrany do Reichstagu w 1927, został członkiem komitetu dla spraw wojskowych. Uważając się za reprezentanta Kominternu w tym zespole, przez wiele lat dostar-

czał cennych informacji sowieckiemu wojskowemu wywiadowi. Pozostał w Niemczech przez kilka miesięcy po przyjsciu Hitlera do władzy, prowadząc nadal niebezpieczną podziemną robotę dla partii komunistycznej. W jesieni 1933 uciekł do Rosji, gdzie w 1936 został aresztowany jako szpieg niemiecki.

Badający go członek OGPU usiłował wymusić z niego przyznanie się do służby dla niemieckiego wywiadu. Kiepenberger odmawiał. „Spytaj Krywickiego czy mogłem być szpiegiem niemieckim — prosił — on wie co ja robiłem w Niemczech”.

„A czy nie znałeś generała Bredow, szefa wojskowego wywiadu Reichswehry? — pytał urzędnik OGPU.

„Naturalnie że go znałem — odpowiedział Kiepenberger. — Byłem członkiem stronnictwa komunistycznego w Reichstagu i komisji spraw wojskowych”. (Generał Bredow często występował przed tą komisją Reichstagu).

OGPU nie miało dowodów przeciwko Kiepenbergerowi. Tym niemniej po sześciu miesiącach „śledztwa” nieustraszony bojownik „wyznał”, że był na służbie niemieckiego wojskowego wywiadu. „Mam gwóźdź w głowie — nie przestawał powtarzać — dajcie mi coś na sen”.

Organizowaliśmy wtedy komunistyczne niemieckie organizacje wojskowe, jako podstawę przyszłej niemieckiej czerwonej armii, która nigdy nie miała powstać. Robiliśmy to bardzo systematycznie, dzieląc je na jednostki po stu ludzi — „Hundertschaft”. Sporządziliśmy listy komunistów, którzy służyli w czasie wojny, katalogując ich według rang wojskowych. Mieliśmy zamiar stworzyć z nich korpus oficerów niemieckiej czerwonej armii. Zorganizowaliśmy też personel techniczny ze specjalistów dobrze wytrenowanych; obsługę karabinów maszynowych, oficerów artylerii, związek korpusu lotników i personel łącznikowy spośród doświadczonych operatorów radiowych i telefonistów. Ustanowiliśmy też organizację dla kobiet i trenowaliśmy je do służby sanitarnej.

Jednakże w Ruhrze w wyniku francuskiej okupacji spotkał nas zupełnie inny problem. Ruhra była sceną jednego z najdziwniejszych widowisk w historii. Nie mając siły, by przeciwstawić się Francji z bronią w rękę, Niemcy zdobyli się na bierny opór. Kopalnie i fabryki stały się zostawiając tylko szkielet personelu, by nie dopuścić do zalania kopalń wodą i by utrzymać maszyny w fabrykach w stanie używalności. Ruch kolejowy ustał niemal zupełnie. Bezrobocie było ogólne. Rząd berliński borykający się już z inflacją fantastycznych rozmiarów utrzymywał faktycznie całą ludność Ruhry.

W międzyczasie Francuzi zaczęli popierać ruch separatystyczny który miał na celu oderwanie całej Nadrenii od Niemiec i utworzenie niepodległego państwa. Przypadkowi obserwatorzy sądzili, że ruch separatystyczny był tylko owocem francuskiej propagandy. W rzeczywistości był to ruch autentyczny i bardzo poważny, i gdyby Brytyjczycy nie byli się temu przeciwstawili, Nadrenia oderwałaby się od Niemiec w roku 1923. W wielu domach nadreńskich widziałem popiersie Napoleona, twórcy Konfederacji Reńskiej. Często słyszałem mieszkańców skarżących się, że ich bogaty kraj jest eksploatowany przez Prusy.

Partia komunistyczna wszelkimi dostępnymi jej środkami sprzeciwiała się ruchowi separatystycznemu. Hasło Kominternu brzmiało: „Wojna przeciw Stresemannowi i Poincaré!”. A hasło nazistów: „Wojna przeciw Poincaré i Stresemannowi!”. Właśnie wtenczas został rozstrzelany przez wojskowe władze francuskie niejaki Schlageter, terrorysta nazistowski. Śmierć Schlagetera byłaby przeszła niepostrzeżenie poza wąskim kręgiem jego towarzyszy, gdyby Karol Radek, najmądrzejszy propagandzista Kominternu, nie był rozdmuchał tego faktu między niemiecką ludnością. „Łączcie się z komunistami! — wołał Radek — wyzwólcie swoją ojczyznę spod okupacji!”.

Przez pewien czas trwały negocjacje między Radkiem a kilkunastu przywódcami hitlerowców i nacjonalistów, w szczególności z hr. Reventlow. Podstawą ich była teza, że jedyną szansą powodzenia niemieckiego nacjonalizmu jest sojusz z bolszewicką Rosją przeciw imperialistycznej Francji i Wielkiej Brytanii. Ta unia doszła do skutku dopiero w roku 1939, ale w warunkach zupełnie odmiennych od tych, które Moskwa planowała gdy Niemcy leżały pobite i bezsilne.

Tymczasem wszystko było przygotowane do *coup d'état* separatystów. Przywódcy ich, Mathes, Dorten, Smith, przygotowywali swe siły. Wielka demonstracja w Düsseldorfie, we wrześniu 1923, miała być sygnałem do proklamacji Reńskiej Republiki.

Nacjonaści zwalczali separatystów za pomocą indywidualnych aktów terroru. Komuniści organizowali kontr-demonstracje „przeciw zdrajcom separatystom”. Wówczas to wypadło mi oglądać po raz pierwszy w moim życiu komunistów walczących obok nacjonalistycznych terrorystów i niemieckiej policji. Separatysty zostali rozbici głównie z powodu interwencji pro-niemieckiego rządu W. Brytanii.

Chociaż podtrzymywaliśmy wtenczas wszelkimi dostępnymi środkami nacjonalistów niemieckich z Nadrenii i Zagłębia Ruhry przeciwko Francji, jednak zdecydowaliśmy, że w razie komunistycznego powstania w Niemczech nie damy się wciągnąć w kon-



flikt z wojskiem francuskim. Nasz plan strategiczny przewidywał odwołanie wojskowych formacji naszej partii do Niemiec środkowych, do Saksonii i Turynгии, gdzie w owej chwili komuniści byli szczególnie silni. Z tą myślą trenowaliśmy nasze formacje.

Przygotowując się do komunistycznej rewolucji niemiecka partia komunistyczna stworzyła małe grupki terrorystów, tak zwane grupy „T”. Ich zadaniem było demoralizować Reichswehrę i policję zabójstwami. Grupy „T” składały się z nadzwyczaj odważnych fanatyków.

Pamiętam jedno z zebrań tej grupy w Essen, na krótko przed wybuchem komunistycznego powstania. Pamiętam, jak się oni schodzili, spokojni, niemal uroczyści, by otrzymać rozkazy. Ich dowódca oznajmił krótko:

„Dziś w nocy działamy”.

Spokojnie wyjęli rewolwery, sprawdzili je po raz ostatni i jeden za drugim zaczęli wychodzić. Następnego dnia prasa w Essen donosiła o znalezieniu zwłok zamordowanego policjanta. Zabójca nieznany. W ciągu całych tygodni te grupy uderzały szybko i skutecznie w różnych częściach Niemiec, obierając za swój cel policjantów i innych wrogów sprawy komunistycznej.

Gdy nadszedł pokój ci fanatycy nie mogli sobie znaleźć miejsca w normalnym życiu swego kraju. Wielu z nich brało udział w zbrojnych napadach, najprzód w celach rewolucyjnych, potem po prostu w napadach zbójceckich. Nieliczni, którzy dostali się do Rosji, zwykle kończyli swą karierę na zsyłce w Syberii.

W międzyczasie niemiecka partia komunistyczna czekała na instrukcje z Kominternu, które jednak nieprawdopodobnie długo nie nadchodziły. We wrześniu Brandler, przywódca partii, wraz z kilku kolegami został wezwany do Moskwy. W biurze politycznym, najwyższej instancji partii komunistycznej, toczyły się bez końca narady. Przywódcy komunizmu debatowali nad określeniem chwili rozpoczęcia niemieckiej rewolucji. Przywódcy niemieckiej partii komunistycznej przez długie, szarpiące nerwy godziny, obijali się po Moskwie, podczas gdy bolszewicki „trust mózgów” ustalał ostateczny plan akcji.

Moskwa tym razem zdecydowała przygotować wszystko bardzo starannie. W tajemnicy wysłano najlepszych ludzi do Niemiec: Bucharina; Maxa Lewina, który był jednym z członków czterotygodniowego komunistycznego dyrektoriatu w Bawarii; Piatakowa; węgierskich i bułgarskich agentów Kominternu i Karola Radka we własnej osobie. A my, członkowie czerwonej armii w Niemczech, nadal trenowaliśmy nasze oddziały wojskowe. Urządzaliśmy w lasach koło Solingen w Nadrenii tajne nocne manewry, w których brało udział kilka tysięcy robotników.



Nareszcie przysłała wiadomość, że Zinowiew wyznaczył datę powstania.

Oddziały partii komunistycznej w całych Niemczech czekały na ostateczne instrukcje. Nadeszła wreszcie depesza do niemieckiego centralnego komitetu od Zinowiewa, wyznaczająca dokładnie godzinę. Kurierzy Kominternu pognali do różnych centrów partyjnych z rozkazem z Moskwy. Wydostawano karabiny z ukrycia i z rosnącym napięciem oczekiwano na rozkaz. I nagle...

„Nowa depesza od Gryszy!” — powiedzieli komunistyczni przywódcy. — Powstanie odroczone”.

I znowu kurierzy Kominternu pognali po całych Niemczech z nowymi rozkazami i z nową datą rewolucji. Ów stan alarmu trwał przez kilka tygodni. Prawie codziennie nadchodziły depesze „Gryszy” (Zinowiewa) — nowe rozkazy, nowe plany, nowi agenci z Moskwy z nowymi instrukcjami i nowymi niebieskimi drukami. Na początku października nadeszły rozkazy by komuniści weszli do rządów Saksonii i Turyngii w koalicji z lewicowymi socjalistami. Moskwa myślała, że te rządy będą dobrym punktem zbiórki dla komunistów i że uda się rozbroić policję jeszcze przed rozpoczęciem powstania.

Wreszcie inscenizacja została zakończona. Nadszedł stanowczy telegram od Zinowiewa. Znowu kurierzy Kominternu pognali z hasłem do wszystkich ośrodków partyjnych w Niemczech. Znowu bataliony komunistyczne zaczęły się mobilizować do ataku. Zbliżała się chwila krytyczna. Teraz już nie może być odwołania, myśleliśmy, oczekując końca tych ciągłych, trwających tygodniami zwłok, tak strasznie szarpiących nerwy. W ostatniej chwili został nagle zwołany centralny komitet niemieckiej partii.

„Nowy telegram od 'Gryszy'! Powstanie znowu odroczone!”. Znowu rozesłano do centrów partyjnych rozkazy o wstrzymaniu działań. Ale kurier pędzący do Hamburga przybył za późno. Komuniści hamburscy z prawdziwie niemiecką dyscypliną wyruszyli do boju o wyznaczonej godzinie. Setki robotników uzbrojonych w karabiny zaatakowały gmach policji. Inne grupy zajęły punkty strategiczne w mieście.

W innych stronach Niemiec wśród zorganizowanych komunistów powstało ogromne podniecenie.

„Dlaczego nas wstrzymano, gdy robotnicy Hamburga już się biją? — pytali swoich przywódców. „Dlaczego nie idziemy im z pomocą?”

A lokalni przywódcy nie mieli na to odpowiedzi. Tylko ci na samej górze wiedzieli, że robotnicy hamburscy giną z powodu ostatniej depeszy „Gryszy”. Komuniści w Hamburgu trzymali się przez trzy dni. Masy robotnicze miasta zachowały spokój, a Sakso-

nia i Turynia nie przyszły na pomoc komunistom. Reichswehra pod dowództwem gen. von Seekta wkroczyła do Drezna i złożyła z urzędu rząd saksoński. Taki sam rząd Turynii, złożony z koalicji komunistów z lewicowymi socjalistami uległ podobnemu losowi. Komunistyczna rewolucja skończyła się fiaskiem.

My, którzy od dłuższego czasu byliśmy w Niemczech, wiedzieliśmy, że owe fiasko jest dziełem centrali partyjnej w Moskwie. Cała strategia przygotowywanej rewolucji była opracowana przez bolszewickich przywódców Kominternu. Trzeba było więc znaleźć kozła ofiarnego. Rywale Brandlera z niemieckiej partii znali technikę Kominternu zamaskowywania błędów naczelnego dowództwa. Toteż od razu przystąpili do działania.

„Winni są Brandler i komitet centralny, żeśmy nie zdołali pochwycić władzy” — krzyczała „nowa” opozycja, na której czele stała Ruth Fischer, Thaelman i Masłow.

„Zupełnie słusznie — odpowiedziała Moskwa — Brandler jest oportunistą, socjal-demokratą i musi ustąpić! Witamy nowe kierownictwo rewolucyjne Ruty Fischer, Thaelmana i Masłowa”!

Na najbliższym światowym kongresie Kominternu wszystko to zostało ubrane w rytualne rezolucje i dekrety, i z błogosławieństwem Moskwy niemiecka partia komunistyczna została poddana nowemu kierownictwu.

Brandler dostał rozkaz stawienia się w Moskwie, gdzie mu odebrano jego niemiecki paszport i zatrudniono w sowieckim biurze. Zinowiew powiedział mu, że nie ma się zajmować sprawami niemieckimi. Wszystkie jego starania o powrót do Niemiec były bezskuteczne. Został wypuszczony z Rosji i wyrzucony z partii dopiero wtedy gdy jego przyjaciele zagrozili międzynarodowym skandalem, przez oddanie tej sprawy rządowi berlińskiemu.

To samo stało się z Suwarinem, wybitnym pisarzem francuskim, autorem najlepszej biografii Stalina. Wyrugowany rozkazem Kominternu w 1924 z przywództwa francuskiej partii komunistycznej, był trzymany w więzieniu przez rząd sowiecki dopóki jego przyjaciele w Paryżu nie zagrozili odwołaniem się do władz francuskich.

Tylko w jednym fragmencie kosztownych sowieckich eksperymentów nie zostały te wysiłki całkiem zmarnowane. Tym fragmentem była wojskowa służba wywiadowcza. Widząc załamywanie się planów Kominternu powiedzieliśmy sobie: „Musimy ratować z niemieckiej rewolucji co się da”. Wybraliśmy najlepszych ludzi wyszkolonych przez nasz wywiad partyjny i „Zersetzungsdienst” i wcieliliśmy ich do sowieckiej wojskowej służby wywiadowczej. Z ruin komunistycznej rewolucji zbudowaliśmy w Niemczech dla

Wilhelm Pieck pozostał w nowym Komitecie centralnym, gdyż tak Piatnicki jak i Mirow-Abramow mieli zaufanie do tego weterana. Mirow-Abramow, którego znałem od wielu lat, był przedstawicielem O.M.S. w Niemczech od 1921 do 1930. Oficjalnie pracował w wydziale prasowym sowieckiej ambasady w Berlinie. W rzeczywistości prowadził dystrybucję pieniędzy i instrukcji Kominternu w całych Niemczech i w większej części Europy centralnej. W czasie najwyższego napięcia akcji Kominternu w Niemczech, Mirow-Abramow zatrudniał personel złożony sponad dwudziestu pięciu urzędników i kurierów. Później został odwołany do Moskwy w charakterze asystenta Piatnickiego. Gdy stary sztab główny bolszewickiego Kominternu został zlikwidowany przez Stalina, Mirow-Abramow i Piatnicki zostali usunięci. Z powodu wyjątkowych podziemnych kontaktów w Niemczech Mirow-Abramow został przeniesiony do sowieckiego wojskowego wywiadu, gdzie służył do roku 1937, kiedy to w czasie wielkiej czystki został rozstrzelany. Jagoda, upadły szef OGPU, podczas swego procesu w następnym roku zeznał, że za pośrednictwem Mirowa-Abramowa przesyłał poważne sumy pieniężne Trockiemu.

Zarząd finansami Kominternu i jego sekcji zagranicznej jest tylko drobną częścią zadań O.M.S. Działa on również jako system nerwowy Kominternu. Wysyłani przez Moskwę za granicę komisarze polityczni partii komunistycznej normują wszelkie swe kontakty poprzez O.M.S., który dostarcza im paszportów, wskazuje „godne zaufania” adresy i w ogóle działa jako stały łącznik między urzędami w Moskwie i politycznymi agentami za granicą.

Wybitnym komisarzem Kominternu w Stanach Zjednoczonych przed kilku laty był komunista węgierski Pogany, znany w Ameryce jako John Pepper. Pierwszą, najważniejszą jego misją tam było usunięcie Lovestona i Gitlowa, przywódców amerykańskiej partii komunistycznej, gdy otrzymali votum zaufania ogromnej większości członków partii. Pogany-Pepper wykonał dane mu rozkazy i zainstalował nowy zarząd amerykańskiej partii komunistycznej. W roku 1936 Pepper został aresztowany w Moskwie i zastrzelony.

Oddział paszportowy O.M.S., w przeciwieństwie do OGPU i wywiadu wojskowego, nie fabrykuje paszportów. Dostają oni oryginalne dokumenty, gdziekolwiek to jest możliwe, i preparują je według potrzeb. Posługują się przy zdobywaniu autentycznych paszportów fanatyczną gorliwością komunistów i sympatyków. Jeżeli przedstawiciel O.M.S. w Ameryce potrzebuje dwóch amerykańskich paszportów dla agentów Kominternu w Chinach, komunikuje się ze swoim mężem zaufania w amerykańskiej partii komunistycznej. Ten ostatni wydostaje oryginalne paszporty Sta-

nów Zjednoczonych od członków partii lub sympatyków, po czym O.M.S. usuwa fotografie, zastępuje je innymi i umiejętnie dokonywa innych potrzebnych zmian.

Moskwa zawsze lubowała się w paszportach amerykańskich. Gdzie indziej opisałem rolę, którą te paszporty odegrały w hiszpańskiej wojnie domowej. Zdarza się, że przedstawiciel O.M.S., lub agent OGPU, przesyła całą partię amerykańskich paszportów do Moskwy, gdzie centralne biuro O.M.S. ma personel złożony z około dziesięciu ludzi, których jedynym zajęciem jest preparowanie takich dokumentów, stosownie do zapotrzebowania Kominternu.

W roku 1924 policja w Berlinie wtargnąwszy do głównego biura O.M.S. pochwyciła paczkę niemieckich paszportów wraz z listą nazwisk ich pierwotnych właścicieli, prawdziwych nazwisk agentów Kominternu, którzy te paszporty mieli w użytku, oraz fikcyjnych nazwisk pod którymi podróżowali. Z tego powodu oryginalny paszport jest bardziej pożądany.

W r. 1927 Komintern i OGPU wysłali Earl Browdera do Chin. Nie wiem dlaczego Browder został wybrany dla tej misji, ale wydaje mi się, że główną tego przyczyną był jego amerykański paszport. W związku z tym przypominam sobie rozmowę, którą miałem z pewnym urzędnikiem Kominternu. Miał on podwładnego, którego nieudolność była tematem anegdotek w naszym kółku. Często spotykałem go w jednej ze stolic Europy, gdy drepotał koło niby ogromnie ważnej sprawy. Rozmawiałem kiedyś potem o nim z jego szefem.

„Powiedz mi otwarcie, towarzyszu — zapytałem — po co trzymacie tego idiotę w swoim personelu?”

Stary bolszewik uśmiechnął się pobłażliwie i odpowiedział:

„Mój kochany, młody Walterze, zdolności tego człowieka nie wchodzi tu w rachubę. Ważne w nim jest to, że ma paszport kanadyjski. A ja potrzebuję Kanadyjczyka do misji dla której go wysyłam. Nikt go nie może w tym zastąpić”.

„Kanadyjczyk”! — wykrzyknąłem. — Ależ on nie jest Kanadyjczykiem ale Ukraińcem urodzonym w Sze Pietówce!”

Urzędnik parsknął śmiechem.

„Co znaczysz według ciebie 'Ukraińiec urodzony w Sze Pietówce?'. Faktem jest, że on ma paszport kanadyjski. To mi wystarczy. Czy myślisz, że to łatwo znaleźć prawdziwego Kanadyjczyka? Musimy zrobić co możemy również z Kanadyjczyka urodzonego w Sze Pietówce”.

Jestem pewien, że gdy Komintern zastanawiał się nad wysłaniem Browdera do Chin brał pod uwagę nie to, że jest on, ekspertem od spraw chińskich, lecz to, że Browder jest prawdziwym Amerykaninem z Kansas City, a nie z Sze Pietówki.

Prawie wszystkie sprawy związane z fabrykowaniem i przygotowaniem paszportów i innych dokumentów są powierzane rodu Rosjanom. Przedwojenne warunki w cesarskiej Rosji dawały im wyjątkową zaprawę w tej sztuce. Drobiazgowe przepisy paszportowe, które zostały ogólnie przyjęte w większości europejskich państw od roku 1918, zastały bolszewików doskonale przygotowanych. W urzędach OGPU i w IV wydziale czerwonej armii są eksperci, którzy potrafią podrobić podpisy konsularne i pieczęcie państwowe tak, że absolutnie nie można ich odróżnić od prawdziwych.

Sekcja łączności z zagranicą (O.M.S.) ma jeszcze jedno bardzo ważne zadanie. Koordynuje ona wszystkie funkcje wychowawcze i propagandowe Kominternu w skali międzynarodowej. Prowadzi szkoły w Moskwie i okolicy dla komunistów starannie wybranych z każdego kraju, nauczając ich wszystkich gałęzi cywilnej sztuki wojennej, od propagandy do operowania karabinami maszynowymi.

Szkoły te miały swój początek w pierwszych miesiącach rewolucji bolszewickiej, kiedy to były zorganizowane krótkie kursy dla niemieckich i austriackich jeńców wojennych w nadziei, że te kadry zużytkują swą wiedzę na barykadach Berlina i Wiednia. Później te kursy stały się zorganizowaną instytucją. Najbardziej obiecujący uczniowie otrzymywali wojskowe wykształcenie pod bezpośrednią opieką wydziału wywiadu Sztabu Głównego czerwonej armii.

W roku 1926 został utworzony w Moskwie uniwersytet dla kształcenia zachodnio-europejskich i amerykańskich komunistów w technice bolszewickiej. Uniwersytet ten, tak zwana szkoła Lenina, jest subsydiowany przez O.M.S., która dostarcza również mieszkań dla studentów. Dyrektorem szkoły jest żona Jarosławskiego, szefa sowieckiej „Ligi Bezbożników”. Uczniowie, wśród których jest wielu brytyjskich, francuskich i amerykańskich komunistów, żyją w zupełnym odosobnieniu. Są prawie pozbawieni kontaktu z Rosjanami i obcokrajowcami. Założeniem szkoły jest, że ci którzy ją ukończyli, wrócą do swoich rodzinnych krajów gdzie będą pracowali dla Kominternu w związkach robotniczych, urzędach państwowych i na innych nie-komunistycznych stanowiskach. Tajemnica jest ściśle utrzymywana, gdyż wartość ich pracy w Stanach Zjednoczonych, Francji i Wielkiej Brytanii byłaby dla Moskwy unicestwiona, gdyby się dowiedziano, że uczyli się metody wojny cywilnej od oficerów wywiadu czerwonej armii.

Inny kurs dla bardzo małych grup, starannie przesianych zagranicznych komunistów, jest prowadzony w kompletnej tajemnicy, poza Moskwą, na przedmieściu Kuncewo. Europejscy i ame-



rykańscy komuniści uczą się tam roboty szpiegowskiej, włącznie z telegrafem bez drutu, tajemnymi radiowymi stacjami, podrabianiem paszportów itp.

Gdy Komintern skierował swą uwagę na Chiny, stworzył tak zwany uniwersytet Sun-Yat-Sena, którego dyrektorem został Karol Radek. Moskwa była wtedy ogarnięta optymizmem co do możliwości sowieckiej rewolucji w Chinach. Synowie generałów i wysokich chińskich urzędników byli zapraszani do studiów na tej bardzo specjalnej uczelni. Był też między innymi syn Czang-Kai-Szeka. Chińska partia narodowa, Kuomintang, i Komintern pracowały wówczas ręką w rękę i Moskwie wydawało się, że wielkie zwycięstwo jest tuż, tuż.

Kuomintang przyjął rosyjskiego politycznego opiekuna, Borodina i rosyjskiego doradcę wojskowego, gen. Galen-Bluechera, późniejszego dowódcę sowieckiego okręgu wojskowego na Dalekim Wschodzie aż do roku 1938, kiedy go zlikwidowano. Komuniści masowo zgłaszali się do Kuomintangu, a wielu weszło do jego centralnego komitetu i do wojskowej akademii w Whampoa. Gdy Czang wyciągnął wszystek zysk z moskiewskiej pomocy, nagle dokonał ostrego zwrotu i 20 maja 1926 pousuwał komunistów ze wszystkich ważnych pozycji. Stalin jednakże unikał zupełnego zerwania z Czangiem, w nadziei że go później przechytrzy.

Mieszkiałem wówczas w hotelu znanym przed rewolucją pod nazwą „Kniażyj Dwor”. Na tym samym piętrze mieszkał chrześcijański generał Feng. Pomimo majowej wolty, przywódcy Kominternu wciąż jeszcze wierzyli w bliskie zwycięstwo w Chinach. Feng zabiegał w Moskwie o utworzenie aliansu przeciwko Czang Kai-Szekowi. Przywódcy sowieccy przywiązywali wielką wagę do jego wizyty, ciągnęli go na zebrania i robili z niego wodza mas. Feng grał swoją rolę doskonale, przyrzekając w swoich rozgłosnych mowach, że będzie walczył o zwycięstwo leninizmu w Chinach.

Prawie codziennie widywałem skrzynie książek i broszur dostarczanych do drzwi jego apartamentu, gdzie żołnierze OGPU stali na straży. Rozmawiałem z Fengiem kilka razy, trochę po angielsku, trochę po rosyjsku. Był on typowym chińskim wodzem, dla którego nic na świecie nie było bardziej obce jak leninizm, którym go karmiono. Jak wielu innych, zawiódł również pokładane w nim nadzieje. Wrócił do Chin, nie otworzywszy pak z książkami i nigdy już nie przypominał sobie obietnic, które składał w Moskwie.

W grudniu 1927, gdy Czang zakończył swoje dzieło, rozstrzelując i ścinając głowy tysiącom komunistów w Szanghaju, Komintern wysłał Heinza Neumanna, dawnego przywódcę niemiec-

kiej partii komunistycznej, by stanął na czele powstania w Kantonie. Powstanie trwało dwa i pół dnia i kosztowało około sześciu tysięcy poległych. Wszyscy chińscy przywódcy komunistyczni w Kantonie zostali straceni, a Heinz Neumann uciekł do Moskwy.

Zupełnie niezależnie od olbrzymiej maszyny propagandowej krajowych partii komunistycznych, z ich gazetami, tygodnikami, książkami i broszurami, istnieje scentralizowany aparat propagandowy samego Kominternu. Wchodzi on w skład Biura Agitacji i Propagandy, ale finansowany i w gruncie rzeczy prowadzony jest przez sekcję łączności z zagranicą (O.M.S.). Jego najważniejszym organem jest Międzynarodowa Agencja Prasowa, wydająca biuletyny po angielsku, francusku i po niemiecku. Są one wydawane przede wszystkim dla użytku setek komunistycznych wydawców w różnych krajach. Naziści starali się naśladować ten rodzaj propagandy i zaczęli wydawać w Erfurcie dla swoich zwolenników w świecie „World Service” (*Der Weltdienst*).

Najbardziej ambarasujące są dla Moskwy — rzadko zresztą zdarzają się — wypadki gdy oficjalne organy partii komunistycznej zaprzeczają sobie wzajemnie w tej samej kwestii. Gdy na dzień przed wybuchem wojny światowej został podpisany pakt Berlin-Moskwa, synchronizacja oficjalnych organów komunistycznych była doskonała. Londyński *Daily Worker*, paryska *L'Humanité* i *Daily Worker* w Stanach Zjednoczonych jednocześnie i w identyczny sposób witali ten sygnał wojny jako wielką usługę dla pokoju.

Komintern wydaje w każdym wielkim państwie czasopismo pt. „Komunistyczna Międzynarodówka”, które umieszcza decyzje Kominternu oraz artykuły naczelných rosyjskich i zagranicznych komunistów.

Te kluczowe wydawnictwa mają dwojaką funkcję. Nie tylko zapewniają jedność opinii we wszystkich komunistycznych partiach Europy i Ameryki, ale przy tym, co w ostatnich latach stało się nawet ważniejsze, tworzą mechanizm gwarantujący Stalinowi, że jego wszystkie dekrety w Moskwie znajdą dobrze zorganizowane echo. W czasie wielkiej czystki było niezmiernie ważne dla Kremla móc pokazać ludności rosyjskiej, że wszyscy prokomunistyczni pisarze zachodniej Europy i Stanów Zjednoczonych popierają całkowicie likwidację starych bolszewickich bohaterów. Cudzoziemcy nie mają pojęcia, jak niezmiernie ważne było dla Stalina móc oświadczyć w latach 1936, 1937 i 1939, że brytyjczy, amerykańscy, francuscy, niemieccy, polscy, bułgarscy i chińscy komuniści jednogłośnie popierają likwidację „trockistów” i „faszystowskich wściekłych psów”, a między nimi nawet Zinowiewa i Bucharina, dwóch pierwszych szefów Kominternu.

Zanim jeszcze Komintern zaczął uprawiać taktykę Frontu Ludowego, O.M.S. zaczęło subsydiować nową, subtelniejszą formę propagandy. Moskwa zdecydowała, że jej celom nie wystarcza już możliwość sięgnięcia tylko do tych grup, które są podatne na slogany komunistyczne. Znalazła ona w osobie Willi Muenzenberga, niegdyś przywódcy niemieckich komunistów i członka Reichstagu, dogodny sposób wejścia na rynek popularnych publikacji. Za pieniądze O.M.S. Muenzenberg stworzył wielkie przedsiębiorstwo wydawnicze. Zaczął wydawać ładne ilustrowane gazety i tygodniki, pozornie nie-partyjne, ale sympatyzujące ze Związkiem Sowieckim. Później puścił się na interes filmowy i założył koncern znany pod nazwą Prometeusz. Przedsiębiorstwa Muenzenberga były sprawnie prowadzone i wkrótce rozciągnął teren swojej działalności na kraje skandynawskie. Gdy Hitler doszedł do władzy, Muenzenberg przeniósł ją do Paryża i Pragi.

Gdy wielka czystka dosięgła Muenzenberga, przekonano się, że jest to trudno uchwytny ptaszek. Nie chciał pojechać do Moskwy „z wizytą”, a Dymitrow, prezydent Kominternu, pisał do niego uspokajające listy, dowodząc, że Moskwa potrzebuje go dla nowych ważnych spraw. Muenzenberg nie dawał się złapać na przynętę. Wówczas OGPU wysłało jednego ze swych agentów, Bieleckiego, by go przekonał, że nie ma się czego obawiać.

„Kto decyduje o twoim losie?” — przekonywał Bielecki. — Dymitrow, czy OGPU? A ja wiem, że Jeżow jest po twojej stronie”. Muenzenberg unikał pułapki i przez całe lato i jesień 1937 ukrywał się, bojąc się bardziej gwałtownej perswazji. Przełał swoje przedsiębiorstwa na Smerala, czeskiego komunistę. Niemiecka partia komunistyczna wyrzuciła go i napiętnowała jako „wroga ludu”. Muenzenberg do dziś dnia mieszka w Paryżu. Otwarcie nigdy nie wystąpił przeciw Stalinowi\*).

Po siódmym kongresie Kominternu w roku 1935, czołowe wydawnictwa Muenzenberga stały się wzorem dla całej Europy i Stanów Zjednoczonych. W Paryżu Komintern zaczął nawet wydawać gazetę wieczorną. Ale przez trzy czy cztery lata Komintern wydał więcej na „nie-partyjne” wydawnictwa i organizacje Frontu Ludowego w Stanach Zjednoczonych niż w jakimkolwiek innym państwie. Tak długo jak Rosja trzymała się udawanego kolektywnego bezpieczeństwa i anty-hitleryzmu, publiczność amerykańska była doskonałym gruntem dla moskiewskich propagandzistów. Zamiast budować rewolucyjne kadry między amery-

---

\*) Muenzenberg został zamordowany przez GPU w czasie wojny, we Francji, w r. 1940. Patrz Pamiętniki A. Koestlera, które ukażą się w tej serii (Redakcja).

kańskimi robotnikami, zaczęto teraz przekonywać urzędników *New Deal*, szanowanych przemysłowców, przywódców związków zawodowych i dziennikarzy że Rosja Sowiecka jest na czele sił „pokoju i demokracji”.

Gdy dyktatura w Związku Sowieckim stawała się coraz bardziej totalitarna, a czystka stała się dominującym faktem życia sowieckiego, Komintern spadł faktycznie do roli pomocnika OGPU.

Komintern ma, według wzoru rosyjskiej partii bolszewickiej, swoją „komisję kontrolną”, której zadaniem jest pilnowanie politycznej moralności swoich członków. W latach gdy Stalin wspinał się do jedynowładztwa, gdy walka w partii bolszewickiej przybierała na sile, szpiegostwo wewnętrzne stało się jedyną funkcją komisji kontrolnej partii. Wyrzucała ona z rosyjskiej partii komunistycznej wszystkich chwiejnych stalinistów. Komisja kontrolna Kominternu poszła za tym przykładem w skali międzynarodowej.

A jednak komisja kontrolna jest jednym z łagodniejszych instrumentów inkwizytorskich stalinowskiego reżymu. Drugim instrumentem stworzonym dla dopomożenia jej jest urząd noszący niewinny tytuł: „Sekcji kadrowej”. Jest ona teraz ramieniem OGPU w Kominternie. Przez wiele lat szefem jej był Krajewski, polski komunista, stary przyjaciel Dzierżyńskiego, pierwszego szefa sowieckiej tajnej policji, wieloletni agent Kominternu w Stanach Zjednoczonych i w Ameryce Łacińskiej. Krajewski wsadził swych agentów do każdej komunistycznej partii i rozwinął międzypartyjne szpiegostwo do obecnej jej najwyższej sprawności.

Co dziesięć dni szef tej sekcji kadrowej spotyka się z szefem odpowiedniej sekcji OGPU i oddaje mu materiał zebrany przez jego agentów. OGPU używa wówczas tych danych według swego widzi mi się. Dzisiaj ten urząd polityczny w Kominternie śledzi każdą zmarszczkę na powierzchni zagranicznej opozycji do Stalina, aż do jej źródeł. Ze specjalną czujnością idzie po niciach prowadzących do ukrytych opozycjonistów wewnątrz rosyjskiej partii komunistycznej.

Jednym z najbardziej niesmacznych zadań urzędu jest zwabianie do Moskwy zagranicznych komunistów podejrzanych o niełojalność dla Stalina. Odbywa się to w sposób następujący: komunista, przekonany o swej dobrej pozycji w Kominternie, dostaje wiadomość od komitetu wykonawczego, że go potrzebują w Moskwie. Pochlebiony tym uznaniem swego znaczenia pośpiesza do stolicy Kominternu. Po przyjeździe natychmiast trafia do rąk OGPU i znika. Wiele takich pułapek organizuje sekcja kadrowa, która przez swą sieć szpiegowską otrzymuje często „informacje” nie tylko fałszywe, ale i złośliwe, że dany osobnik nie szedł po

linii Stalina. Liczba zagranicznych komunistów zwabionych w ten sposób na śmierć nigdy prawdopodobnie nie będzie ustalona.

Moskwa ma także bardziej wyrafinowane metody postępowania z zagranicznymi komunistami, którzy popadli w niełaskę. Ważna polityczna figura, ciesząca się jeszcze pewnym prestiżem u swoich zwolenników, musi być najpierw skompromitowana w oczach komunistów w swoim własnym kraju, zanim dojrzeje do wyrzucenia. Gdy to się stanie, można z nią poczynać bez ceremonii.

Proces podcinania prestiżu odbywa się według pewnego szablonu. Pierwszym krokiem jest usunięcie delikwenta od pracy w jego własnym kraju. Otrzymawszy rozkaz stawienia się w Moskwie musi wybrać między posłuszeństwem a natychmiastowym usunięciem. Nie może odmówić i jednocześnie pozostać w partii. A jeżeli ma wysokie stanowisko, nie można go od razu zdegradować do chłopca na posyłki. Wzywają go więc do biura Kominternu i informują, że ma jechać w ważnej misji do Chin, na Bliski Wschód albo do Ameryki Łacińskiej. Jest to początek jego upadku. Oderwany od partii, rzucony w dalekie kraje, których nie zna, wraca po pewnym czasie do Moskwy i staje przed bardzo kwaśnym szefem Kominternu.

„A więc towarzyszu — mówi szef — jakimi rezultatami możecie się pochwalić po sześciomiesięcznym pobycie w Brazylii i wydaniu tysiąca funtów?”

Nic tu nie pomoże, żadne tłumaczenie. Znany — i prawdziwy — argument że klasa pracująca w Brazylii nie osiągnęła jeszcze dostatecznego stopnia świadomości politycznej by móc zrozumieć komunistyczną naukę, trafia na głuche uszy. Poinformowani o tym jego towarzysze w kraju zaczynają widzieć go już w nowym świetle: Komintern wysłał go do Brazylii, a on nie spisał się tam zupełnie.

Następne etapy idą kolejno. Delikwent partyjny dostaje teraz pracę w jednym z tysięcy sowieckich biur. Staje się płatnym pracownikiem rządu sowieckiego i jego kariera polityczna jest skończona. Od tej chwili, jeżeli ma jeszcze jakieś oparcie, usiłuje wy dostać się ze Związku Sowieckiego i wrócić do swego kraju, zrywając wszelkie związki z Rosją Sowiecką i Kominternem. Lecz niezbyt często mu się to udaje.

Jednym z najbardziej tragicznych wypadków tego rodzaju był wypadek mego przyjaciela Stanisława Hubermana, brata skrzypka o światowej sławie. Huberman, który był znany w naszym kółku jako Stach Huber, przyłączył się do polskiego ruchu rewolucyjnego w czasie wojny światowej. Wraz z Muenzenbergiem był założycielem Ligi Młodych Komunistów. Pracował nadzwyczaj



dzienne w podziemnej partii komunistycznej w Polsce i wkrótce stał się jednym z jej przywódców. Wielokrotnie trafiał do więzienia i był nieraz bity przez policję.

Gdy Komintern zdecydował, że czas zmienić skład centralnego komitetu polskiej partii, Huber został wezwany do Moskwy i wkrótce przeniesiony do jakiegoś nowo utworzonego biura kolejowego. Huber nie miał pojęcia o pracy na kolei, starał się przeto o powrót do swej pracy partyjnej w Polsce. Daremnie. Przesuwany z jednego biura do drugiego mógł zebrać ciekawe próbki sowieckiej biurokracji, ale wrócić do polskich towarzyszy mu nie pozwalano.

Kiedy jeszcze pracował w Moskwie jako nic nie znaczący urzędnik w sowieckim biurze, w Domu Sowietów obchodzono piętnastą rocznicę założenia Ligi Młodych Komunistów. Na estradzie paradowali nowi dygnitarze wygłaszając podniecające mowy o wielkiej roli Ligi Młodych Komunistów w Rosji Sowieckiej i w całym świecie. Na samym końcu sali był Stach Huber, jeden z założycieli tej Ligi. Krążąc bezcelowo spotkał starego towarzysza, który też już od dawna stracił wpływy. Ucieszyli się ze spotkania i stary przyjaciel zaprosił Hubera do swego mieszkania. Spędzili większą część nocy przy butelce wspominając stare czasy i opowiadając sobie anegdotki. W kilka dni potem Stach Huber został wezwany przed komisję kontroli Kominternu.

„Czy byłeś w ubiegłą środę w domu towarzysza N.?”

Huber przyznał się do tego „przestępstwa” i został natychmiast wydany z partii. Nie mógł potem dostać żadnej pracy i musiał zwinąć mieszkanie natychmiast. Zostawszy bez dachu nad głową zamieszkał u mnie.

Byłem wówczas niemal pewny że Stach Huber popełni samobójstwo. Ale Manuński, jeden z przywódców Kominternu, przyszedł mu z pomocą. Komisja kontrolna dała się przekonać i Huber został znów przyjęty do partii, ale w jego partyjnej kartotece figurowało „stanowcze i ostateczne ostrzeżenie”. Dostał pracę na stacji kolejowej w Wielkich Łukach, lecz wiedział jak niebezpieczna jest jego sytuacja. Pracował jednak pilnie w nadziei, że może mu się uda zejść z czarnej listy w partyjnych rejestrach.

Nareszcie w 1936 roku dano mu prawo lotu z Wielkich Łuków do Moskwy na listopadową rocznicę rewolucji bolszewickiej. W drodze samolot uległ katastrofie i Stach Huber zginął. W kilka miesięcy później jeden z jego przyjaciół powiedział:

„Jakie to szczęście miał Stach że zginął w wypadku samolotowym!”

Rzeczywiście, miało go spotkać coś gorszego. W powiecie Wielkie Łuki miejscowy urzędnik komunistyczny pochwalił go

za dobrą pracę, ale dla OGPU był tylko starym bolszewikiem, którego wyrzucono z partii i który był przyjęty z powrotem jedynie na słowo. Gdy czysta doszła do zenitu, OGPU szukało Stacha Hubera.

Ale nie zawsze koniec starego bolszewika był tak tragiczny. Gdy Tomann, przywódca austriackiej partii komunistycznej, został mianowany dyrektorem oświatowym w Domu Marynarzy w Leningradzie, zdołał zorganizować sobie depeszę z Wiednia, że jego matka jest umierająca. Tym razem Moskwa została wyprowadzona w pole. Dojechawszy do Wiednia Tomann oświadczył, że zrywa z Kominternem.

Anomalią w życiu sowieckim była zawsze grupa zagranicznych komunistów mieszkających w Moskwie, przeważnie w hotelu Lux, w charakterze reprezentantów swoich partii. Partie komunistyczne nie używają oczywiście do tych funkcji swoich najwybitniejszych członków. Przywódcy jak Politt, Browder, czy Thorez, przyjeżdżają tylko wtedy, gdy są wezwani na jakąś ważną konferencję lub kongres. Ale każda partia ma swego stałego przedstawiciela w Moskwie, różniącego się od zwyczajnego członka korpusu dyplomatycznego tym, że jego gaża nie jest wypłacana przez tych którzy go wysyłają. Pomimo że bolszewickie Politbiuro patrzy na nich z pogardą, a szczególnie sam Stalin, jednak są oni — a przynajmniej byli do niedawna — śmietanką towarzyszącą Moskwie.

Podczas głodu wywołanego przymusową kolektywizacją w 1932-33, gdy przeciętny sowiecki urzędnik musiał obywać się chlebem i suszoną rybą, na wyłączny użytek tych zagraniczników została utworzona kooperatywa, gdzie mogli kupować po stosunkowo niskich cenach produkty, których za żadne pieniądze nie można było dostać gdzie indziej. Hotel Lux stał się symbolem socjalnej niesprawiedliwości i przeciętny mieszkaniec Moskwy, spytany kto żyje w Moskwie w komforcie, niezmiennie odpowiadałby:

„Korpus dyplomatyczny i cudzoziemcy w hotelu Lux”.

Garstka rosyjskich pisarzy i artystów, którzy od czasu do czasu spotykali się w towarzystwie z ludźmi z Kominternu, musiała zbierać okruchy ze stołów tej zagranicznej arystokracji i żebrać o takie drobiazgi, jak nożyki do golenia, igły, pomadki do ust, wieczne pióra lub funt kawy.

Dla OGPU międzynarodowa zbieranina mieszkająca w hotelu Lux na koszt rządu była i jest wciąż przedmiotem podejrzeń. Ten popierany świeatek „rewolucji proletariackiej” stale rozbrzmiewa intrygami i wzajemnym oskarżaniem się o niedostateczną lojalność dla Stalina. OGPU przez osadzonych w hotelu

„gości” notuje wszystkie te oskarżenia i kontr-oskarżenia w swoich ogromnych rejestrach.

Gdy zaczęła się wielka czystka, dotknęła też komunistów zagranicznych mieszkających w Rosji Sowieckiej. Dygnitarze Kominternu, rezydujący w hotelu Lux, nareszcie dostali ważną robotę. Stali się agentami OGPU i wydawali swoich rodaków całymi partiami. Będąc osobiście odpowiedzialni za wszystkich zagranicznych komunistów znajdujących się w Związku Sowieckim, mogli uratować swoje własne stanowiska a nieraz i własną szyję, jedynie wydając rodaków OGPU.

Ironią historii było, że właśnie w ciągu tych lat, gdy Komintern stał się narzędziem Stalina i OGPU, Rosja Sowiecka doszła do szczytu swego prestiżu w państwach demokratycznych. Wraz z hasłem „Frontu Ludowego” ogłoszonym przez Dymitrowa w jego słynnej mowie o koniu trojańskim na siódmym międzynarodowym kongresie w roku 1935, nastąpiła nowa era.

Porzucając niepopularne slogany bolszewickie, które w ciągu dwudziestu lat nie chwyciły w żadnym obcym państwie, Moskwa wystąpiła teraz w cywilizowanym świecie jako szermierz pokoju, demokracji, anty-hitleryzmu. Gdy wielka czystka terroryzowała nas na każdym kroku, Stalin nadał swoim poddanym „najbardziej demokratyczną na świecie konstytucję”, która, choć istnieje tylko na papierze i gwarantuje ciągłość władzy dla partii totalitarnej, jest uważana przez wielu zagranicznych liberałów za co najmniej „znaczącą tendencję”.

Front Ludowy był właściwie potrzebny tylko w pięciu państwach: Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Francji, Hiszpanii i Czechosłowacji. We wszystkich faszystowskich i pół-faszystowskich państwach Komintern abdykował, nawet nie próbując walczyć. Tak zwane podziemne partie komunistyczne w Niemczech i we Włoszech — jak to miałem okazję zaobserwować na moim stanowisku szefa wojskowego wywiadu na Europę zachodnią — były bez znaczenia. Nafaszerowane faszystowskimi agentami nadawały się tylko do posyłania swoich ludzi na śmierć. Komunizm w tych krajach zbankrutował i jeżeli w rezultacie wojny hitlerowskiej nowa fala rewolucyjna ma zalać Niemcy, nie będzie ona z pewnością pod przewodnictwem Moskwy.

W ustabilizowanych i postępowych krajach demokratycznych Skandynawii, slogany Frontu Ludowego nie miały żadnego powodzenia, równie jak slogany rewolucyjne z lat poprzednich. W Wielkiej Brytanii natomiast nowe anty-faszystowskie slogany Moskwy skaptowały sporo studentów, pisarzy i przywódców związków zawodowych, mimo że wśród mas pracujących pozyskały tylko niewielu. W czasie hiszpańskiej wojny domowej i dni mo-

nachijskich, wielu członków arystokracji brytyjskiej zaciągnęło się do Międzynarodowej Brygady lub do naszej służby wywiadowczej. (Brygada Międzynarodowa była armią Kominternu w Hiszpanii). Moskiewskie procesy wstrząsnęły wieloma z tych rekrutów. Gdy czystka była u szczytu, członek centralnego komitetu brytyjskiej partii komunistycznej powiedział do jednego z moich kolegów:

„Dlaczego Stalin was rozstrzeliwuje? Wiem jak lojalnie służyć Związkowi Sowieckiemu, ale jestem pewien, że gdybyście wrócili do Moskwy byłibyście też rozstrzelani”.

Nastroje tego rodzaju powstawały, ale wnet upadały. Egzekucje trwały dalej. Obraz Hiszpanii odsłaniał się w całej swojej totalnej okropności. Ale Stalin wciąż miał międzynarodowe uznanie jako wielki sprzymierzeniec demokracji przeciw Hitlerowi.

We Francji Front Ludowy był tak ściśle związany z franko-sowieckim przymierzem, że omal nie zawładnął całym rządowym aparatem. Wprawdzie tacy politycy jak Leon Blum starali się by polityka wewnętrzna nie wpływała na sytuację wojskową, ale z bardzo małym skutkiem. Większość Francuzów, poczynając od gen. Gamelin i pośła konserwatywnego de Kerillis, aż do przywódcy związków zawodowych Jouhaux, była opętana przekonaniem, że bezpieczeństwo Francji zależy od Moskwy. Wskutek tego Front Ludowy stał się dominującym faktem w życiu francuskim. Na jego powierzchni Komintern operował za pomocą zamaskowanych placówek. Gazety, kluby książkowe, domy wydawnicze, teatr, spółki filmowe — stały się narzędziami stalinowskiego anty-hitlerowskiego frontu. Za sceną OGPU i sowiecki wywiad wojskowy pracowały gorączkowo, by ovladnąć francuskimi instytucjami państwowymi.

Francja nie była całkiem ślepa na grożące niebezpieczeństwo. W Izbie Deputowanych składano częste interpelacje w sprawie udzielania rządowi sowieckiemu tajemnic francuskiego lotnictwa wojskowego. Czy tak było, czy inaczej, faktem jest że my, członkowie wywiadu, traktowaliśmy wielu wysokich francuskich urzędników jako „naszych ludzi”.

Wpływ Rosji na Czechosłowację był jeszcze bardziej zaakcentowany. Najpoważniejsi ministrowie rządu praskiego widzieli w Rosji gwaranta swej niepodległości. Hasła pansłowiańskie przyczytnyły się także do zwiększenia autorytetu Kremla. Czesi tak głęboko uwierzyli, że wielki słowiański brat strzeże ich od nazi-stowskich Niemiec, że dali się wciągnąć w jedną z najtragiczniejszych intryg w nowoczesnej historii. O tym jak Moskwa użyła rządu czeskiego dla celów Stalina opowiedziałem w przedmowie do tej książki.

W Stanach Zjednoczonych partia komunistyczna nigdy nie odegrała poważnej roli i Moskwa patrzyła na nią z najwyższą pogardą. W ciągu wielu lat jej działalności, aż do roku 1935, amerykańska partia komunistyczna nie zdołała wykazać się żadnymi wynikami. Zorganizowani robotnicy nie reagowali na jej slogany, a masa ludności amerykańskiej nie wiedziała nawet o jej istnieniu. Ale nawet w owych latach była ona dla nas ważna będąc ściślej złączona z OGPU i wywiadem, niż jakakolwiek inna. W czasie mechanizowania i motoryzowania czerwonej armii, członkowie amerykańskiej partii komunistycznej byli naszymi agentami w fabrykach samolotów, samochodów i amunicji.

Kilka lat temu, w Moskwie, powiedziałem szefowi naszego wojskowego wywiadu w Stanach Zjednoczonych, że moim zdaniem posuwa się on za daleko, mobilizując taki duży odsetek urzędników z partii amerykańskiej dla roboty szpiegowskiej. Odpowiedź była typowa:

„Dlaczego bym nie miał tego robić? Otrzymują oni dobre sowieckie gaże. Rewolucji nigdy przecież nie zrobią, więc niech sobie zarobią za tę robotę”.

Szpiegowska sieć OGPU w Stanach Zjednoczonych, z tysiącami rekrutów zaciągniętych pod sztandar demokracji, znacznie się rozrosła i przedostała się do poprzednio niedostępnych dziedzin. Starannie ukrywając swoją partyjną przynależność, komuniści znaleźli drogę do setek kluczowych pozycji. Moskwa mogła teraz wpływać na postępowanie urzędników, którzy nieświadomie podchodzili z zaufaniem do agentów OGPU lub Kominternu.

Może jeszcze bardziej śmiała niż ten sukces w szpiegostwie i oddziaływaniu na polityków była penetracja Kominternu do związków robotniczych, domów wydawniczych, prasy i czasopism. Manewr ten był dokonywany przez skreślenie etykiety Kominternu i zastąpienie jej etykietką anty-hitleryzmu.

Członkowie Kominternu zawsze okazywali swej wszechświatowej partii i jej moskiewskiemu dowództwu najwyższą lojalność. Zarówno Kiepenberger, jako członek komitetu spraw wojskowych niemieckiego Reichstagu, jak Gallacher w brytyjskiej Izbie Gmin, lub Gabriel Peri w komisji dla spraw zagranicznych francuskiego parlamentu, wszyscy oni uznawali że wierność i posłuszeństwo wiąże ich jedynie z Kominternem. Gdy Komintern przeobraził się w osobisty instrument Stalina, przenieśli swój stosunek lojalności na niego.

Era Frontu Ludowego zakończyła się wielkim krachem 23 sierpnia 1939. W chwili gdy sowiecki premier Mołotow, w obecności rozpromienionego Stalina, położył swój podpis pod podpi-



sem nazistowskiego ministra spraw zagranicznych von Ribbentropa na pakcie Berlin-Moskwa, kurtyna zapadła po farsie Frontu Ludowego. Stalin dał Hitlerowi *carte blanche* i w dziesięć dni później świat był pogrążony w wojnie. Do Berlina pojechała sowiecka misja militarna dla opracowania szczegółów najściślejszej współpracy między tymi dwoma najbardziej autokratycznymi i totalnymi tyraniami, jakie kiedykolwiek świat znał.

Dla Stalina porozumienie tych dwóch dyktatur było szczytem długoletnich dążeń. Beznadziejnie zaplątany w sprzeczne wyniki własnych błędów na polu ekonomii i polityki, mógł liczyć na utrzymanie się przy władzy jedynie współpracując ręką w rękę z Hitlerem.

Stosunek Stalina do komunistycznej międzynarodówki i jej nie rosyjskich funkcjonariuszy był zawsze cyniczny. Już w roku 1927 mówił na zebraniu Biura Politycznego.

„Kim oni są, ci ludzie Kominternu? Niczym innym jak tylko najemnikami na naszej sowieckiej liście płacy. Nawet w ciągu stulecia nie potrafią nigdzie zrobić rewolucji”.

Ulubioną przez Stalina nazwą Kominternu jest „ławoczka” lub „szwindel”. Niemniej starał się utrzymać ten „szwindel”, gdyż był mu potrzebny zarówno w sprawach polityki wewnętrznej, jak i w jego manewrach międzynarodowych. Obok OGPU było to najbardziej użyteczne narzędzie osobistej jego polityki.

Mimo że Stalin doprowadzając do skutku pakt z Hitlerem zadał cios śmiertelny Kominternowi, starał się zachować — wyłącznie w państwach demokratycznych — szkielet maszyny partyjnej. W miarę swoich malejących możliwości będą one nadal służyć za narzędzie jego totalitarnego despotyzmu.

Jest jednak obecnie wielka różnica: od sierpnia 1939 świat wie, że kto służy Stalinowi, służy też Hitlerowi.

### R o z d z i a ł   I I I

#### RĘKA STALINA W HISPANII

Historia rosyjskiej interwencji w Hiszpanii wciąż jest jeszcze wielką tajemnicą hiszpańskiej wojny domowej. Powszechnie wiadomo, że interwencja sowiecka w Hiszpanii była — ale to jest mniej więcej wszystko, co się wie. Nie wiadomo jednak dlaczego Stalin interweniował w Hiszpanii, jak prowadził tam swoje operacje, kim byli ci ludzie którzy z ukrycia prowadzili akcję, ani co spodziewał się uzyskać, ani też jak to wszystko się skończyło.

Tak się złożyło, że jestem jedynym żyjącym i znajdującym się za granicą urzędnikiem sowieckim spośród tych, którzy organizowali sowiecką interwencję w Hiszpanii. Jedynym również, który może odsłonić ten dramatyczny rozdział bieżącej historii. Jako szef sowieckiego wojskowego wywiadu w Europie zachodniej, stałem bardzo blisko wszystkich ważniejszych kroków przedsięwziętych przez Kreml w sprawie hiszpańskiej. Przez wiele lat przedtem zajmowałem stanowisko dające mi bliski kontakt z polityką zagraniczną Stalina, której ta hiszpańska awantura była organicznym fragmentem.

Odkąd Hitler w r. 1933 doszedł do władzy w Niemczech, zagraniczna polityka Stalina była przeniknięta niepokojem przed izolacją. Powodzenie jego wysiłków dojścia do porozumienia z Hitlerem było bardzo niepewne. W chwilach gdy powodzenie w tym kierunku zdawało się beznadziejne, starał się wskrzesić dawny pakt z Francją, zawarty jeszcze za carskich czasów. Ale i tu nie osiągnął pożądanego sukcesu. Próby porozumienia się z Wielką Brytanią były jeszcze mniej skuteczne. W roku 1935 Anthony Eden i premier Laval pojechali do Moskwy z oficjalnymi wizytami. Minister spraw zagranicznych Litwinow udał się do Waszyngtonu, uzyskał uznanie Sowietów przez Amerykę, a potem grał rolę gwiazdora w Genewie. Zdobył wszechświatowy rozgłos

W centralnym Komitecie każdej partii komunistycznej na świecie jest tajny agent OGPU i przez niego miało to być wykonane.

W wielu krajach, włącznie z Wielką Brytanią, zaciąganie się pod sztandary Hiszpańskiej Republiki wydawało się szlachetnym czynem, międzynarodową krucjatą w obronie demokracji i socjalizmu przed zagładą. Młodzi ludzie z całego świata zgłaszali się do walki w Hiszpanii w imię tego ideału. Ale republikańska Hiszpania, walcząca z Franco, nie była wcale jednolita politycznie i ideowo. Był to zlepek różnych grup demokratów, anarchistów, syndykalistów i socjalistów. Komuniści byli tam w zupełnie znikomej liczbie.

Toteż pochwycenie władzy przez Stalina i użycie Hiszpanii jako narzędzia do zmiany na lepsze stosunku Francji i Anglii do rządu sowieckiego, zależało od złamania potężnej anty-komunistycznej opozycji w obozie republikańców. Trzeba więc było śledzić ruchy młodych, idealistycznych obcokrajowców — wolontariuszy, by zapobiec wzmocnieniu przez nich elementów sprzeciwiających się stalinowskiej polityce.

Na konferencji na Łubiance zapadła również decyzja, by dowódz broni do Hiszpanii odbywał się jednocześnie z Rosji i z zagranicy. Część zagraniczna tego zadania została powierzona mnie.

Jagoda wezwał kapitana Ułańskiego z OGPU i nakazał mu stworzenie „prywatnego syndykatu” handlarzy bronią. Ułańskij był człowiekiem specjalnie uzdolnionym w pracy konspiracyjnej. Już przedtem była mu powierzona przez OGPU nadzwyczaj delikatna misja eskortowania Anthony Edena i premiera Laval’a w czasie ich wizyty w Związku Sowieckim.

„Znajdziesz w Odessie trzech Hiszpanów, którzy tam już od dosyć dawna czekają” — powiedział Jagoda kapitanowi Ułańskiemu. „Przyjechali by kupić od nas nieoficjalnie broń. Stwórz neutralną, prywatną firmę, z którą by mogli się układać”.

Ponieważ w Rosji Sowieckiej nikt nie może kupić od rządu nawet rewolweru, a rząd jest jedynym wytwórcą broni, myśl o prywatnej firmie handlującej amunicją na terytorium Związku Sowieckiego, byłaby w oczach obywateli sowieckich po prostu niedorzeczna. Ale farsa była potrzebna dla zamydlenia oczu zagranicy. Zadaniem kapitana Ułańskiego było zorganizowanie i puszczenie w ruch łańcucha szmuglerów bronią. Musiało to być zrobione tak, by żaden ślad nie mógł być wykryty przez zagranicznych szpiegów.

„Jeżeli ci się uda — powiedział mu Jagoda — wracaj z dziurką w klapie gotową dla orderu Czerwonego Sztandaru”.

Kapitan Ułańskij otrzymał instrukcje by sprzedawać broń tylko za gotówkę. Poinformowano go też, że Hiszpanie będą mieli

swoje statki dla transportu i że będą zabierali amunicję natychmiast po dostarczeniu jej do „prywatnego syndykatu” z arsenału czerwonej armii. Wyjechał więc do Odessy uzbrojony w rządowe rozkazy, które stawiały do jego dyspozycji wszystkie władze miasta, od miejscowego szefa tajnej policji do prezydenta lokalnego sowietu.

Na konferencji na Łubiance generał Uryckij reprezentował służbę wywiadowczą czerwonej armii. Funkcją jego wydziału była techniczna strona wojskowej imprezy, m.in. określanie ilości i jakości ekwipunku dostarczanego z arsenałów, ustalenie ilu i kogo z wojskowych ekspertów, pilotów, oficerów artylerii i czołgów, trzeba będzie wysłać do Hiszpanii. W sprawach wojskowych mieli oni pozostawać pod rozkazami Sztabu Głównego czerwonej armii; w innych — pod kontrolą tajnej policji.

Tak rozpoczęła się interwencja Stalina w Hiszpanii. Wyruszyłem do akcji tak jakbym był na froncie, bo też w rzeczywistości moja nominacja na to stanowisko obejmowała zadania wojskowe. Odwołałem jednego ważnego agenta z Londynu, innego ze Sztokholmu, trzeciego ze Szwajcarii i urządziłem spotkanie z nimi w Paryżu, by tam odbyć konferencję ze specjalnym agentem przydzielonym mi przez Moskwę. Agent ów, Zimin, był ekspertem w sprawach amunicji i członkiem sekcji wojskowej OGPU.

21 września spotkalіśmy się wszyscy potajemnie w Paryżu. Zimin przywiózł jasne i dokładne instrukcje, aby nie dopuścić do najłżejszego podejrzenia, że rząd sowiecki jest zamieszany w dostawę broni. Wszystkie dostawy miały być transakcją z „prywatnymi” firmami stworzonymi dla tego celu.

Naszym pierwszym zadaniem było stworzenie szeregu koncernów, pozornie niezależnych, jako uzupełnienia naszych już istniejących „handlowych placówek” dla importowania i eksportowania materiału wojennego. Była to rzecz nowa dla nas, ale w Europie ten zawód jest od dawna uprawiany.

Powodzenie zależało od wyboru odpowiednich ludzi. Mieliśmy takich w naszej dyspozycji. Wielu z nich tkwiło w stowarzyszeniach powiązanych z najróżnorodniejszymi komunistycznymi ośrodkami za granicą, jak np. „Przyjaciele Związku Sowieckiego” oraz z wielu „Ligami Pokoju i Demokracji”. Zarówno OGPU jak i wojskowy wywiad czerwonej armii uważali niektórych członków tych stowarzyszeń jako rezerwę cywilnych sił pomocniczych sowieckiego systemu obrony na wypadek wojny. Mogliśmy więc wybierać spośród ludzi wypróbowanych w długiej, nieoficjalnej pracy dla Związku Sowieckiego. Niektórzy z nich byli, oczywiście, paskarzami lub karierowiczami, ale większość składała się z prawdziwych idealistów.

Wielu z nich byli to ludzie dyskretni, godni zaufania, mający odpowiednie kontakty i zdolni do działania bez zdradzenia się. My dostarczaliśmy kapitału, biura, gwarantowaliśmy zyski. Nie trudno więc było znaleźć ludzi.

W ciągu dziesięciu dni mieliśmy szereg zupełnie nowych firm importowo-eksportowych, założonych w Paryżu, Londynie, Kopenhadze, Amsterdamie, Zurichu, Warszawie, Pradze, Brukseli i kilku innych europejskich miastach. W każdej firmie zamaskowanym partnerem był agent OGPU. On dostarczał funduszy i kontrolował wszelkie transakcje. W razie popełnienia błędu płacił głową.

Podczas gdy te firmy poszukiwały broni na rynkach europejskich i amerykańskich, mnie zajmował szczególnie problem przewozu. Za odpowiednią opłatą można było dostać potrzebne statki towarowe w Skandynawii. Trudność polegała na uzyskaniu licencji na takie dostawy do Hiszpanii. Z początku zamierzaliśmy wysłać je do Francji, a tam przeładowywać na statki idące do portów hiszpańskich republikanów. Ale francuskie ministerstwo spraw zagranicznych odmówiło tym statkom odpowiednich zezwoleń.

Zostawał tylko jeden sposób — zdobycie od zamorskich państw konsularnych dokumentów stwierdzających, że broń jest zakupiona dla importu do tych krajów. Mogłem dostać nieograniczoną ilość zaświadczeń od niektórych konsulatów Ameryki Południowej. Potem, powoli, udało nam się je dostać od wschodnio-europejskich i azjatyckich państw.

Mając takie zaświadczenia mogliśmy otrzymać niezbędne dokumenty i statki popłynęłyby nie do Południowej Ameryki czy Chin, ale do portów republikańskiej Hiszpanii.

Zrobiliśmy duże zakupy u Skody w Czechosłowacji, w kilku firmach we Francji, w Polsce i w Holandii. Handel bronią ma tak specyficzny charakter, że kupiliśmy sporo nawet od Niemiec nazistowskich. Dowiedziawszy się, że w Hamburgu jest na sprzedaż duża ilość przestarzałych karabinów ręcznych i maszynowych, wysłałem tam agenta jako reprezentanta naszej firmy w Holandii. Dyrektora niemieckiej firmy interesowała tylko cena, referencje bankowe i legalność dokumentów przewozowych.

Materiał przez nas kupowany niezawsze był pierwszej klasy. Broń starzeje się obecnie bardzo szybko. Ale staraliśmy się dostarczyć niezwłocznie rządowi Caballera karabiny, które strzelały. Sytuacja w Madrycie zaczynała być poważna.

W połowie października statki naładowane bronią zaczęły docierać do portów Republiki Hiszpańskiej. Pomoc sowiecka przychodziła dwoma kanałami. Moja organizacja używała wyłącznie obcych statków, przeważnie skandynawskich. „Prywatny syndykat”



kapitana Ułańskiego w Odessie, zaczął od korzystania z hiszpańskich statków, ale okazało się, że było ich za mało. Moskwa nie pozwalała używać statków płynących pod sowiecką flagą, bo Stalin nastawał na zachowanie absolutnej tajemnicy, by nie być wciągniętym w wojnę. Upierał się przy tym, szczególnie gdy łodzie podwodne i trawlerzy zaczęły atakować i łapać na Morzu Śródziemnym statki towarowe płynące do Hiszpanii.

Ale kapitan Ułańskij był pomysłowy. Zwrócił się do Muellera, szefa paszportowej sekcji OGPU, by mu dostarczył podrobionych zagranicznych dokumentów dla statków. Sekcja Muellera dysponująca niewyczerpanymi rządowymi zasobami, doprowadziła podrabianie dokumentów do perfekcji.

W kilka miesięcy później pokpiwałem z Muellera gdy dostał za to order Czerwonej Gwiazdy.

„Ależ fabrykowanie dokumentów dla statków to całkiem nowy fach — zawołał — myślisz, że to było łatwo? Pracowaliśmy dzień i noc!”.

Zaopatrzone w te fałszywe dokumenty, sowieckie statki naładowane bronią przemycaly się przez Bosfor, gdzie włoski i niemiecki kontrwywiad pilnie obserwował przepływające statki. Dopłynawszy do hiszpańskiego republikańskiego portu wyładowały broń, zmieniały nazwy znowu na rosyjskie i wracały do Odessy pod własną flagą.

Madryt gwałtownie dopominał się o samoloty. Moskwa skierowała te żądania do mnie. Chwila była krytyczna. Franco posuwał się ku stolicy. Jego włoskie i niemieckie lotnicze eskadry panowały w powietrzu. Nasi lotnicy i mechanicy przybywali do Madrytu, ale samoloty republikańskie były złe i było ich mało. Musiałem znaleźć gdzieś w Europie bombowce, które mógłbym kupić szybko. Naturalnie żadna prywatna firma nie może dostarczyć w tak krótkim terminie znacznej ilości samolotów wojskowych. Może to zrobić tylko rząd.

A jednak miałem nadzieję, że uda mi się zachęcić któryś z przyjaznych nam rządów do sprzedaży części starego ekwipunku, by móc za uzyskane pieniądze zmodernizować swoje siły lotnicze. Postanowiłem wystąpić z taką propozycją do jednego z rządów we wschodniej Europie. Posiadał on około pół setki bojowych samolotów starego francuskiego typu.

Potrzebny był dla takiego celu wyjątkowy agent, którego akurat miałem. Był członkiem arystokratycznej rodziny, z możliwie najlepszymi kontaktami i nieskazitelnymi referencjami bankowymi. Oboje z żoną byli wiernymi przyjaciółmi Związku Sowieckiego i gorącymi stronnikami sprawy republikańców w Hisz-

panii. Oddał nam już przedtem kilka usług. Wiedziałem, że mogę na niego liczyć.

Poprosiłem go by przyjechał do Holandii i wyłożyłem mu sytuację. Następnego dnia poleciał do owej wschodnio-europejskiej stolicy. Tejże nocy telefonował do mego agenta w Paryżu, który przekazał treść rozmowy telefonicznie do mnie do Hagi i wskazał czas i miejsce, gdzie miałbym czekać telefonu bezpośredniego od mego wysłannika. W toku tej bezpośredniej rozmowy telefonicznej mój arystokrata opowiedział starannie ułożonym kodem o swoim niefortunnym przeżyciu.

Wyrobił sobie audiencję u ministra wojny. Podał ministrowi swój bilet wizytowy z nazwą jednego z największych banków na świecie i od razu przystąpił do rzeczy.

„Przyjechałem tu, aby zakupić u was pewną ilość samolotów wojskowych. Czy Ekscelencja zgodzi się je sprzedać? Szukamy co najmniej pięćdziesięciu maszyn za cenę jaką Ekscelencja wyznaczy”.

Minister wojny wstał od stołu. Był bardzo blady. Spojrzał raz jeszcze na bilet wizytowy gościa i obejrzał dokładnie list polecający. Odwrócił się od mego agenta i bardzo spokojnie powiedział: „Proszę natychmiast wyjść z mego biura”.

Agent wstał by opuścić pokój, ale nie chciał zrezygnować bez jeszcze jednej próby.

„Niech Ekscelencja mi daruje — powiedział — proszę mi pozwolić dodać jedno słowo. Cała ta sprawa nie jest tajemnicą i nic w mojej misji nie ma zagadkowego. Chodzi o pomoc dla rządu hiszpańskiego. Jestem przedstawicielem grup w moim kraju, które sądzą że musimy bronić Republiki Hiszpańskiej. Wiemy że waszemu krajowi chodzi o obronę obszarów śródziemnomorskich przed faszystami, by uchronić je od włoskiego panowania”.

„Jestem ministrem wojny, a nie kupcem — zimno brzmiała odpowiedź. — Do widzenia panu”.

„Wygłąda beznadziejnie, zupełnie beznadziejnie” — jęczał mój agent w telefonie.

„Daj za wygraną tej nieudanej sprawie i zwiewaj” — doraadzałem mu. — Spotkam cię na lotnisku”.

„Jeszcze nie — odpowiedział. — Jeszcze nie chcę zrezygnować”.

W trzy dni potem otrzymałem wiadomość, że wraca do Hagi samolotem. Gdy wyszedł z kabiny zauważyłem, że ma zabandażowaną głowę i wygląda wyczerpany. Szybko zabrałem go do czekającego mnie samochodu.

Zaledwie siedliśmy do samochodu opowiedział mi, że kupił owych pięćdziesiąt samolotów.

„Tego samego dnia kiedy telefonowałem do ciebie — mówił — przyniesiono mi do mego pokoju w hotelu bilet wizytowy jakiegoś pana, który miał reprezentować największy bank tego kraju. Poprosiłem by przyszedł. Nie wspominając zupełnie o mojej wizycie u ministra wojny powiedział, że słyszał o moim zamiarze nabycia pięćdziesięciu samolotów. Jeżeli tak jest rzeczywiście, to proponuje abyśmy załatwili transakcję w jego biurze”.

W rezultacie mój wysłannik kupił pięćdziesiąt samolotów rządowych po £. 4.000 za sztukę, z tym że stan każdego z nich będzie dokładnie skontrolowany. Gdy wypadło decydować kto będzie odbiorcą, zaproponował któryś z krajów południowo amerykańskich lub Chiny. Sprzedawca wołał Chiny.

„Zapewniłem go w imieniu rządu chińskiego, że dokumenty będą w absolutnym porządku”.

„Ale powiedz, gdzie to oberwałeś? — zapytałem wskazując bandaż na jego głowie.

„Ach, to tylko guz, który sobie nabiłem włączając do tego przeklętego samolotu” — zaśmiał się.

Trzeba było teraz zaaranżować inspekcję i ocenę samolotów. Pojechałem do Paryża i zaangażowałem w tym celu Francuza, specjalistę od samolotów i dwóch mechaników do pomocy. Polecieli do owej stolicy i wrócili z dobrym raportem. Kazałem natychmiast samoloty rozmontować i zapakować w skrzynie.

Cały świat huczał z furii, rozpaczy i zgrozy z powodu okrutnego bombardowania bezbronnego Madrytu. Moja organizacja dokonywała cudów, by przyspieszyć transport pięćdziesięciu pościgowców i bombowców. W połowie października załadowano je na norweski statek.

Akurat wtedy dostałem surowy rozkaz z Moskwy, by statek ten nie wyładowywał się w Barcelonie. Samoloty nie mogły być przewożone przez Katalonię, która miała własny rząd jak udzielne państwo, pozostający pod wpływem rewolucjonistów antystalinowskiej orientacji. Moskwa im nie wierzyła, pomimo że właśnie wtedy rozpaczliwie bronili jednego z najważniejszych odcinków republikańskiego frontu przeciw gwałtownym atakom armii Franco.

Kazano mi skierować samoloty do Alicante. Ale ten port był zablokowany przez flotę Franco. Kapitan popłynął do Alicante, lecz musiał zawrócić by ocalić ładunek i statek. Chciał płynąć do Barcelony, ale nie pozwalał na to mój agent, który był na statku. W ten sposób samoloty pływały tam i z powrotem po Morzu Śródziemnym. Franco nie dopuszczał ich do Alicante, a Stalin do Barcelony. A w międzyczasie rozpaczliwie walczącej Republice Hiszpańskiej najdotkliwiej brakowało samolotów. Wreszcie mój agent na statku skierował go do Marsylii.

Ten fantastyczny przebieg sprawy był fragmentem zaciętej, choć cichej walki Stalina o objęcie absolutnej kontroli nad rządem republikanów. Pragnąc w swej wielkiej grze zrobić z Hiszpanii swego pionka, Stalin musiał unieszkodliwić całą opozycję w Republice Hiszpańskiej, a bastionem opozycji była Katalonia. Stalin był zdecydowany popierać bronią i ludźmi tylko te grupy w Hiszpanii, które były gotowe przyjąć jego komendę bezapelacyjnie. Był zdecydowany nie pozwolić by nasze samoloty wpadły w ręce Katalończyków, gdyż mogliby wówczas odnieść zwycięstwo, które podniosłoby ich prestiż i — co za tym idzie — wzmocniłoby ich polityczną przewagę w szeregach republikanów.

W ciągu tych dni Stalin jednocześnie nie dopuszczał pomocy wojskowej do Barcelony i pisał swoje pierwsze publiczne orędzie do Jose Diaz, szefa partii komunistycznej w Hiszpanii. 16-go października Stalin telegrafował do Diaza:

„Pracownicy w Związku Sowieckim spełniają jedynie swój obowiązek, dając całą możliwą pomoc masom rewolucyjnym w Hiszpanii. Walka hiszpańska — mówił dalej Stalin — nie jest sprawą wyłącznie Hiszpanów. Jest to wspólna sprawa wszystkich postępowych ludzi w świecie”.

Orędzie było oczywiście przeznaczone dla Kominternu i sowieckich sympatyków gdziekolwiek byli.

Statek norweski przemknął się nareszcie przez blokadę Franca i wylądował samoloty w Alicante. Jednocześnie przybyły ze Związku Sowieckiego inne transporty broni, włącznie z tankami i artylerią. Cała republikańska Hiszpania zobaczyła, że z Rosji przychodzi realna pomoc, że podczas gdy republikanie, socjaliści, anarchiści i syndykaliści ofiarowywali tylko idee i teorie, komuniści przysyłają karabiny i samoloty do walki z Franco. Prestiż Sowietów szedł w górę, a komuniści triumfowali.

28 października Caballero jako minister wojny wydał proklamację do republikanów hiszpańskich. Wzywał ich do zwycięstwa i wołał: „Mamy nareszcie potężną broń w naszych rękach. Mamy czołgi i silne lotnictwo!”.

Otwierając na oścież drzwi dla wysłańców Stalina Caballero nie wiedział kogo wpuszczał na pomoc Republice Hiszpańskiej. Nie zdawał sobie sprawy, że właśnie ta pomoc będzie powodem jej upadku.

Pomoc materiałowa dla republikańskiej Hiszpanii szła równolegle z gromadnym zgłaszaniem się pełnych zapału ochotników z wysp brytyjskich, ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, łacińskiej Ameryki i Południowej Afryki, ze Standynawii, z Bałkanów i z całej Europy, nawet z Niemiec nazistowskich i Włoch, z Australii i Filipin. Powstała sławna Międzynarodowa Brygada.

Chcąc opanować Hiszpanię, którą zaczynał zasilać bronią, Stalin musiał zatroszczyć się o to, aby ta wielka fala ochotników była zorganizowana i skierowana do zlania się z jego własnymi siłami. Rząd Frontu Ludowego Caballera był niepewnym zlepkiem skłóconych ze sobą partii politycznych. Mała, twarda, zdyscyplinowana grupa komunistów, obecnie prowadzona przez OGPU popierała rząd Caballera, ale nie miała nad nim władzy. Tym ważniejsze było dla Moskwy pochwycenie w swoje ręce władzy nad Brygadą Międzynarodową.

Zawiązkiem tej Brygady było 500 do 600 uchodźców komunistycznych przysłanych z Rosji. Nie było między nimi ani jednego Rosjanina. Również później, gdy Brygada urosła do prawie 15.000 ludzi, zakaz ten obowiązywał wszystkich Rosjan. Nieprzenikniona ściana była umyślnie wzniesiona między Brygadą a jednostkami czerwonej armii wyznaczonymi do akcji w Hiszpanii.

We wszystkich państwach zagranicznych, włącznie z Wielką Brytanią, działali w roli agentów rekrutujących dla Międzynarodowej Brygady lokalni komuniści i ich adherenci. Niektóre niezależne grupy socjalistów i radykałów starały się również zorganizować oddziały ochotników, ale przeważająca większość rekrutów była zaciągnięta przez komunistów, spośród rosnącej liczby „fellow travellersów” nie zdających sobie nawet sprawy, że znajdują się pod niewidoczną władzą komunistów.

Każdego zgłaszającego się ochotnika kierowano do potajemnego biura poborowego. Tam wypełniał kwestionariusz, po czym dostawał rozkaz czekać na wezwanie. OGPU dowiadywało się tymczasem o jego przeszłości politycznej. Jeżeli wydawał się odpowiednim do przyjęcia, był wzywany i badany przez agenta OGPU. Agent taki rzadko był Rosjaninem, czasami nawet nie był oficjalnym członkiem partii komunistycznej, ale był zawsze człowiekiem na którego mogła ona liczyć, absolutnie oddanym swoim komunistycznym szefom i OGPU. Po tym politycznym badaniu, pozornie zupełnie zdawkowym i niedbałym, szczególnie w krajach anglosaskich, kierowano rekruta na badania fizyczne do również zaufanego lekarza z mocnymi sympatiami dla sprawy komunistycznej. Jeżeli wynik tych badań był zadowalający, dostawał instrukcję gdzie w Europie ma się zgłosić i środki na przejazd tam.

W Europie zaimprovizowaliśmy cały szereg tajnych punktów kontroli, gdzie każdy petent był jeszcze raz dokładnie badany przez oddanych i godnych zaufania zagranicznych komunistów, albo sekretarzy i agentów organizacji pod komunistyczną kontrolą, jak S.R.I. (*Secours Rouge International*), Przyjaciół Republikańskiej Hiszpanii, albo urzędników takich hiszpańskich urzędów, które były całkowicie w rękach komunistów. Jak to przekonywu-



jąco wykazuje Luis de Araquistain, były ambasador republikański we Francji, 90% najważniejszych stanowisk w hiszpańskim Ministerstwie Wojny, było zajętych, szczególnie w późniejszych okresach, przez pachołków Stalina. Nad ochotnikami, którzy zostali uznani za godnych złożenia w ofierze swego życia za sprawę, jak im się wydawało republiki, stosowana była nadal w Hiszpanii ścisła kontrola. Wsadzano między tych rekrutów szpiclów, by usunąć podejrzanych o szpiegostwo, lub niedostatecznie prawowiernych, oraz by kontrolować ich lekturę i prywatne rozmowy. Właściwie wszyscy polityczni komisarze w Brygadzie Międzynarodowej, a później nawet w większej części armii republikańskiej, byli zdecydowanymi komunistami.

Po przybyciu ochotników do Hiszpanii zabierano im paszporty, tylko w bardzo rzadkich wypadkach oddawano je z powrotem. Nawet w razie zwolnienia z wojska mówiono zainteresowanemu, że jego paszport został zgubiony. Z samych tylko Stanów Zjednoczonych przybyło około 2.000 ochotników, a oryginalne amerykańskie paszporty są wysoko cenione w sztabie OGPU w Moskwie. Niemal każdy dyplomatyczny worek z Hiszpanii zawierał pęk paszportów odebranych członkom Międzynarodowej Brygady.

Podczas mego pobytu w Moskwie wiosną 1937 roku nieraz widziałem pocztę dyplomatyczną w zagranicznym wydziale OGPU. Jednego dnia nadeszła paczka zawierająca około stu paszportów, z nich połowa była amerykańskich. Należały one do poległych żołnierzy. Była wielka radość z powodu tej cennej zdobyczy. Po kilkutygodniowym badaniu stosunków rodzinnych nieżyjących właścicieli tych paszportów, stawały się one narzędziem nowych właścicieli — agentów OGPU.

Podczas gdy Międzynarodowa Brygada, armia Kominternu, formowała się na pierwszym planie, rosyjskie oddziały czerwonej armii przybierały po cichu i zajmowały pozycje za frontem hiszpańskim. Sowiecki personel wojskowy nigdy nie przekroczył 2.000 ludzi i tylko piloci i oficerowie czołgów wzięli aktywny udział w wojnie. Większość Rosjan byli to technicy, oficerowie sztabu, instruktorzy, inżynierzy, specjaliści w zakładaniu wojennego przemysłu, eksperci artylerii, broni chemicznej, mechanicy lotnictwa i radio operatorzy. Żołnierze czerwonej armii byli jak najściślej odseparowani od cywilnej ludności hiszpańskiej, mieszkali osobno i nigdy nie spotykali się z hiszpańskimi politycznymi grupami albo osobistościami. Znajdowali się stale pod kontrolą OGPU, które miało za zadanie utrzymać w tajemnicy ich obecność w Hiszpanii, oraz uchronić czerwoną armię przed wpływami politycznych he-rezji.

Na czele tych specjalnych ekspedycyjnych sił zbrojnych stał gen. Jan Berzin, jedna z dwóch głównych figur wyznaczonych przez Stalina do przeprowadzenia jego interwencji w Hiszpanii. Drugą był Artur Staszewski, oficjalnie sowiecki delegat handlowy, rezydujący w Barcelonie. Byli oni tymi tajemniczymi ludźmi Moskwy, stojącymi poza sceną wojny domowej w Hiszpanii, których misja, chociaż zagarnęli stopniowo całą władzę nad rządem republikańskim w Hiszpanii w swoje ręce, pozostawała absolutnie nieznana nikomu.

Gen. Berzin w ciągu piętnastu lat był szefem wywiadu wojskowego czerwonej armii. Pochodził z Łotwy i mając szesnaście lat był dowódcą bandy w rewolucyjnej partyzantce przeciw caratowi. Był ranny, wzięty do niewoli i skazany na śmierć w roku 1906. Jednakże z powodu jego wieku rząd carski zmienił wyrok na zesłanie na Syberię. Berzin uciekł stamtąd i prowadził życie podziemnego rewolucjonisty, a gdy cesarstwo zostało obalone wstąpił do czerwonej armii pod Trockim i dosłużył się wpływowego stanowiska w wyższym dowództwie. Barczysty, siwy, małomówny, chytry i obrotny, został wybrany przez Stalina do zorganizowania i kierowania armią republikańską.

Głównym politycznym komisarzem Stalina w Hiszpanii był Artur Staszewski. Polskiego pochodzenia, niski i krępy, wyglądał jak kupiec i nominalnie był w Barcelonie sowieckim delegatem handlowym. Służył również w czerwonej armii, lecz wystąpił by podjąć się reorganizacji rosyjskiego przemysłu futrzanego w czasie gdy ta ważna gałąź przemysłu była w zupełnym upadku. Rezultaty jego pracy były wspaniałe. Wskrzesił handel futrami rosyjskimi na wszystkich rynkach światowych, a teraz Stalin powierzył mu zadanie manipulowania politycznymi i finansowymi cugłami w republikańskiej Hiszpanii.

Podczas gdy Berzin i Staszewski operowali za kulisami, światła były skierowane na Międzynarodową Brygadę i jej efektywną kampanię wojenną. Zagranicznym korespondentom wojennym na hiszpańskim froncie wydawało się, że tajemniczym człowiekiem jest Emil Kleber, dowódca Brygady Międzynarodowej. Miliony czytelników z pewnością pamiętają Klebera jako najbardziej dramatyczną postać w bohaterskiej obronie Madrytu.

Klebera pokazywano wszędzie w szkicach i wywiadach jako mocnego człowieka danej chwili, którego przeznaczeniem było odegranie doniosłej roli w historii Hiszpanii i całego świata. Jego wygląd dodawał legendom barwy. Wysoki, o ciężkich rysach, z kopią siwych włosów, zadająca kłam jego czterdziestu i jeden zaledwie latom. Opowiadano o nim jako o najemniku, rzekomo naturalizowanym Kanadyjczyku pochodzenia austriackiego, który

jako austriacki jeńiec wojenny w Rosji wstąpił do Białej Gwardii i walczył przeciwko bolszewikom, a w końcu został nawrócony na komunizm.

Obrazek ten był skomponowany w głównym sztabie OGPU w Moskwie, gdzie też spreparowano mu fałszywy paszport kanadyjski. Kleber grał swoją rolę pod kierunkiem OGPU. Wszystkie jego wywiady były ułożone z góry przez agentów Kremla.

Znałem Klebera, jego żonę, dzieci i brata od wielu lat. Jego prawdziwe nazwisko było Stern. Pochodził z Bukowiny, potem był w Austrii i w Rumunii. W czasie wojny światowej służył jako oficer w wojsku austriackim, był wzięty do niewoli przez wojska carskie i wysłany do obozu w Krasnojarsku na Syberii. Po rewolucji sowieckiej wstąpił do partii bolszewickiej i do czerwonej armii i walczył przez całą wojnę domową po stronie sowieckiej. Potem uczęszczał do wojskowej akademii Frunzego, którą ukończył w r. 1924. Przez jakiś czas pracowaliśmy razem w wydziale wywiadu Sztabu Głównego. W 1927 przydzielono Klebera do wojskowej sekcji Kominternu, gdzie był instruktorem w szkole wojskowej. Później Komintern wysłał go do Chin w poufnej misji.

Kleber nigdy nie był w Kanadzie i nigdy nie miał nic do czynienia z Białą Gwardią. Taka bajka była potrzebna by ukryć fakt, że był on oficerem sztabu czerwonej armii. Budziło to większe zaufanie do niego jako dowódcy Międzynarodowej Brygady. W rzeczywistości, pomimo dramatycznej roli, która była mu powierzona, nie miał żadnej władzy w machinie sowieckiej. W listopadzie 1936, ten rosyjski generał został mianowany dowódcą sił zbrojnych rządu hiszpańskiego na północnym odcinku frontu madryckiego.

W pierwszych dniach listopada polecałem z Marsylii do Barcelony. Oczekujący tam samochód zawiózł mnie do hotelu w dolnej części miasta, który służył w Barcelonie jako główna kwatera sowiecka. Nikt z postronnych gości nie miał prawa się tu zatrzymywać. Spotkałem tam Staszewskiego, naszego delegata handlowego i członków jego personelu. Tam też mieścił się i pracował nasz wywiad wojskowy na Katalonię pod kierunkiem gen. Akułowa.

Celem mojego przylotu do Barcelony było oddanie moich agentów, działających na terytorium Franco, pod rozkazy oficerów sztabu prowadzących tajemnie operacje wojenne pod dowództwem gen. Berzina. Sądziłem, że informacje które otrzymywałem z terenu rebeliantów będą użyteczniejsze w Madrycie i Barcelonie niż w Moskwie.

Gen. Akułow miał świetnie zorganizowaną naszą tajną służbę wywiadowczą w obozie przeciwników. Nasi operatorzy radiowi

pracowali tam bez przeszkód i codziennie nadawali ważne informacje za pomocą przenośnych aparatów.

Naturalnie, moje pierwsze pytanie dotyczyło widoków zwycięstwa wojskowego. Odpowiedź była mniej więcej taka: „Sprawy tu są w okropnym chaosie. Naszą jedyną pociechą jest to, że po tamtej stronie panuje jeszcze większy chaos”.

Gen. Berzin pracował niezmordowanie nad sformowaniem armii z niezdyscyplinowanych i nieskoordynowanych oddziałów zbrojnych, naciskając Caballero o zarządzenie poboru do wojska.

Z grupy rosyjskich oficerów sztabu Berzin tworzył trzon dowództwa republikańców. W krytycznych listopadowych i grudniowych tygodniach był duszą organizacji obrony Madrytu. A jednak był zawsze tak starannie zamaskowany, że nie tylko jego obecność w Hiszpanii, ale i jego tożsamość nie była znana nikomu poza pół tuzinem najwyżej postawionych republikańców.

Berzin domagał się nominacji naczelnego dowódcy. Rząd republikański, popierany przez rywalizujące ze sobą partie, nie kwapił się z utworzeniem stanowiska o tak wielkiej władzy. Berzin wynalazł odpowiedniego kandydata, gen. Jose Miaja, dobrego żołnierza bez ambicji politycznych i w listopadzie 1936 wymógł jednak nominację jego na naczelnego wodza. Miaja pełnił te funkcje aż do końca wojny domowej.

W międzyczasie Artur Staszewski czynił wszelkie możliwe wysiłki aby kierownictwo finansowe republiki dostało się w ręce sowieckie. Lubił on Hiszpanię i Hiszpanów i był uszczęśliwiony że go tam wysłano, zdawało mu się bowiem, że raz jeszcze przeżywa czasy rosyjskiej rewolucji sprzed dwudziestu lat.

Przekonał się wtedy, że minister skarbu w gabinecie madryckim, Juan Negrin, będzie chętnie współpracować z nim w jego finansowych planach. Jawne kupowanie broni gdziekolwiek bądź na rynku światowym było dla Madrytu niemal niemożliwe. Rząd republikański zdeponował dużą sumę z rezerw złota hiszpańskiego w bankach paryskich w nadziei importu sprzętu wojennego z Francji. Ale na przeszkodzie stanęła stanowcza odmowa banków francuskich wydania złota, ponieważ Franco zagroził, że wniesie skargę przeciwko nim o zwrot, o ile zwycięży. Ponieważ groźby mało obchodziłyby daleki Kreml, gdyby złoto było w jego rękach, Staszewski zaofiarował że zabierze je do Rosji Sowieckiej, a w zamian dostarczy rządowi republikańskiemu broni i amunicji.

Za pośrednictwem Negrina udało mu się dojść do porozumienia z rządem Caballero.

Pogłoski o tej umowie w jakiś sposób przedostały się za granicę. Oskarżano Caballero w prasie zagranicznej, że część zapasu złota narodowego oddał w zastaw Sowiecom za obietnicę pomocy.

3 grudnia, akurat gdy transport złota był organizowany, Moskwa oficjalnie zaprzeczyła istnieniu takiej umowy — tak jak często czyniła zaprzeczając w ogóle istnieniu sowieckiej interwencji w Hiszpanii. W naszym wewnętrznym kółku nazywaliśmy żartobliwie Staszewskiego „najbogatszym człowiekiem na świecie”, z powodu jego nadzoru nad hiszpańskimi skarbami.

W czasie mojej rozmowy ze Staszewskim w Barcelonie w listopadzie wyłaniały się już następne posunięcia Stalina w sprawie Hiszpanii. Staszewski nie ukrywał przede mną, że następną głową rządu madryckiego będzie Juan Negrin. Wprawdzie Caballero był wtedy powszechnie uważany za kremlowskiego faworyta, ale Staszewski już wybrał Negrina jako jego następcę.

Caballero był prawdziwym radykałem, ideowym rewolucjonistą. Robota OGPU, które pod kierunkiem Orłowa zaczynało stosować w Hiszpanii na wzór Rosji czystkę wszystkich dysydentów, niezależnych i anty-stalinowców, nie przypadła mu do smaku. Wszystkich tych tępionych komuniści obejmowali wspólną nazwą „trockistów”.

Z drugiej strony dr Juan Negrin miał wszystkie cechy zawodowego polityka. Mimo swego naukowego zawodu był człowiekiem interesów i miał odpowiedni światopogląd. Akurat takiego człowieka potrzebował wówczas Stalin. Tak jak gen. Miaja miał on dobrą „fasadę” do pokazania Paryżowi, Londynowi i Genewie. Mógł robić dobre wrażenie na świecie jako przedstawiciel „zdrowego rozsądku” i „dobrych manier” republikańskiej sprawy, nie strasząc nikogo rewolucyjnymi wypowiedziami. Był żonaty z Rosjanką, a przy tym jako człowiek praktyczny pochwalał czystkę „krnąbrnych” i „wichrzycieli”, choćby tą „czyszczącą” była obca ręka Stalina.

Oczywiście dr Negrin widział zbawienie swego kraju jedynie w ściślejszej współpracy ze Związkiem Sowieckim. Było jasne, że aktywna pomoc mogła przyjść jedynie stamtąd. Był więc gotów iść we wszystkim po linii Stalina dla zapewnienia sobie jego pomocy, poświęcając wszystkie inne względy.

Sprawy te były dyskutowane w czasie mego pobytu w Barcelonie, na sześć miesięcy przed upadkiem rządu Caballera. Tyle właśnie czasu było potrzeba by doprowadzić do tej zmiany. Zostało to nareszcie osiągnięte przy pomocy spisku OGPU w Barcelonie. Oficjalny ambasador sowiecki Marcell Rosenberg, wygłaszał tam mowy i pokazywał się ciągle publicznie, ale Kreml nigdy nie przywiązywał wagi do jego roboty. Robotę Stalina wykonywał cichutko i skutecznie Staszewski.

Dla inspekcji hiszpańskiej tajnej policji, wzorowanej na rosyjskiej, wysłany został z Moskwy szef zagranicznego wydziału



OGPU Słucki. Przybył w parę dni po moim wyjeździe. W tym czasie OGPU działało na całym terytorium republikańskim, ale koncentrowało się w Katalonii, gdzie grupy niezależnych były najsilniejsze, i gdzie mieli swoją centralę prawdziwi trockiści.

„Mają tam dobry materiał — powiedział mi Słucki, gdy w kilka tygodni potem wrócił do Paryża — ale brak im doświadczenia. Nie możemy pozwolić na to by Hiszpania stała się obozowiskiem dla wszystkich anty-sowieckich elementów, które napływają tam z całego świata. Bądź co bądź to jest teraz nasza Hiszpania, część frontu sowieckiego. Musimy ją solidnie umocnić. Kto wie ilu tam jest szpiegów między tymi ochotnikami? A co do anarchistów i trockistów, to wprawdzie są oni anty-faszystowskimi żołnierzami, ale jednocześnie naszymi wrogami, kontrrewolucjonistami i musimy ich wykończyć”.

OGPU po mistrzowsku wykonało tę robotę. Już w grudniu 1936 terror ogarnął Madryt, Barcelonę i Walencję. OGPU miało własne, specjalne więzienia, a jego oddziały dokonywały zabójstw i porwań, zapełniały ukryte ciemnice i urządzały nagle obławę. Naturalnie, OGPU działało zupełnie niezależnie od rządu republikańskiego. Ministerstwo Sprawiedliwości nie miało nad nim władzy, OGPU było państwem w państwie. Była to potęga przed którą drżeli nawet niektórzy z wyższych urzędników w rządzie Caballera. Zdawało się, że Związek Sowiecki trzymał już republikańską Hiszpanię w garści, niemal jak swoją własność.

16-go grudnia Largo Caballero wydał wyzywającą proklamację do Franco: „Madryt nie upadnie! Teraz wojna się zacznie naprawdę, mamy już potrzebny sprzęt wojenny!”.

Następnego dnia w Moskwie *Prawda*, oficjalny organ Stalina, otwarcie stwierdziła, że czystka w Katalonii już się zaczęła i że „będzie prowadzona z taką samą energią, jak to miało miejsce w Związku Sowieckim”.

Heroiczna, rozpaczliwa obrona Madrytu dosięgała szczytu. Eskadry lotnicze Franco burzyły stolicę, jego wojska były już niemal na przedmieściach. Ale republikanie mieli teraz bombowce i pilotów, czołgi i artylerię. Nasza pomoc wojskowa przysła w samą porę by uratować Madryt. Gen. Berzin i jego sztab skrycie kierowali obroną, którą gen. Míała dowodził oficjalnie, a Kleber, generał Kominternu, nadawał jej wobec świata cechy wielkiego dramatu.

Zarazem był to koniec pierwszego stadium interwencji Stalina w wojnie domowej. Akcja stalinizowania Hiszpanii rozpoczęła się na całego. Objęło ją OGPU, a Komintern został odsunięty na tyły. Gen. Kleber został usunięty z dowództwa nad Międzynarodową Brygadą. Ogłoszono że będzie przeniesiony do Malagi

dla organizowania tam obrony, lecz nigdy już o nim nikt nie usłyszał.

Gdy w kilka tygodni potem byłem w Moskwie, dowiedziałem się że zniknięcie Klebera miało związek z czystką w czerwonej armii i z licznymi aresztowaniami wśród oficerów sztabowych. Wielu z jego bliskich towarzyszy rozstrzelano jako spiskowców. Natknąłem się wówczas na brata Klebera, odwołanego z zagranicy w kwietniu. W kilka dni później OGPU zaaresztowało go również.

Zniknięcie kominternowskiego generała w czasie wielkiej czystki znaczyło po prostu, że był on jednym z tych których Stalin już nie potrzebował, ale który wiedział za dużo. Stalin uznał, że Komintern spełnił swoje zadanie w Hiszpanii. Berzin i Staszewski trzymali teraz rząd mocno w rękach.

Zniknięcie gen. Klebera nie wywołało żadnych komentarzy ze strony tych, którzy opiewali jego sławę po całym świecie. Ta wyęta chwała umarła razem z nim. Gen. Lukacz był nieco szczęśliwszy. Prawdziwe imię jego było Mata Zalka, był on węgierskim pisarzem komunistycznym. Zginął na froncie hiszpańskim.

Pomyślna obrona Madrytu z pomocą broni sowieckiej dopomogła OGPU do rozszerzenia swej władzy. Nastąpiły areszty tysięcy ludzi wraz z wielu obcymi ochotnikami, którzy przyjechali by walczyć przeciwko Franco. Każda krytyka metod, każda niepochlebna opinia o dyktaturze Stalina w Rosji, wszelkie stosunki z ludźmi o heretyckich politycznie przekonaniach, stawały się teraz zdradą. OGPU używało wszelkich wypróbowanych w Moskwie metod dla wydostania zeznań i doraźnych egzekucji.

Nie znam liczb anty-stalinistów „zlikwidowanych” w republikańskiej Hiszpanii. Mógłbym opisać dziesiątki indywidualnych wypadków, ale ograniczę się do jednej przypuszczalnej ofiary, która być może jeszcze żyje. Tych kilka faktów, które opowiem, może pomogą jego rodzinie do uratowania go. Młody Anglik, inżynier radiowy, który się nazywał Friend, miał w Leningradzie brata żonatego z Rosjanką. Był to entuzjastyczny anty-faszysta, a Związek Sowiecki był krajem jego marzeń. Udało mu się po długich staraniach dostać pozwolenie na wjazd do Związku Sowieckiego, gdzie zamieszkał.

Gdy zaczęła się interwencja sowiecka w Hiszpanii został wysłany tam jako technik radiowy. Na początku 1937 przyszedł raport do moskiewskiej centrali OGPU, że Friend wykazuje „trockistowskie sympatie”. Znałem tego chłopca i nie miałem żadnej wątpliwości, że był on całym sercem oddany sprawie Republiki Hiszpańskiej i Związkowi Sowieckiemu. Prawda, że spotykał socjalistów i innych radykałów, co było rzeczą naturalną dla mło-

Gdy spytałem Słuckiego jak to się skończy, powiedział.

„Będą mieć szczęście jeżeli uda im się stąd wyjechać po zakończeniu wojny. Tymczasem muszą zostać w naszych rękach”.

Na parę dni przed tą rozmową zauważyłem w moskiewskiej prasie listę wysokich urzędników OGPU, którzy otrzymali order Czerwonego Sztandaru. Między nimi było kilka znajomych nazwisk. Przyszło mi na myśl spytać Słuckiego jakie szczególne zasługi przyniosły im te tak upragnione odznaki. Odpowiedział, że byli oni kierownikami specjalnego oddziału, liczącego około trzydziestu zaufanych oficerów, którzy byli posłani do Odessy w grudniu, do pracy w charakterze robotników portowych.

Ogromna ilość złota przybyła wtedy z Hiszpanii i Stalin zlecił wyładowanie tego skarbu najwyższym urzędnikom tajnej policji, obawiając się by wiadomość o tym nie rozeszła się po kraju. Kazał Jeżowowi wybrać osobiście ludzi do tego zadania. Operacja była otoczona tak ścisłą tajemnicą, że nawet ja dopiero teraz dowiedziałem się o niej.

Jeden z moich współpracowników, który w niej uczestniczył, opisał mi jak to wyglądało w Odessie. Cały teren dokoła przystani był opróżniony i otoczony kordonem oddziałów specjalnych. Przez tę pustą przestrzeń od doków do kolei najwyżsi urzędnicy OGPU nosili skrzynie ze złotem na własnych plecach. Dzień po dniu dźwigali to złote brzemię i ładowali je do towarowych wagonów, które następnie jechały do Moskwy pod opieką uzbrojonych konwojów.

Ilość złota które wyładowano w Odessie, mój podwładny określił w oryginalny sposób. „Przechodziliśmy właśnie przez Czerwony Plac. Wskazał na kilka akrów placu przed nami i powiedział: „Gdyby wszystkie skrzynie ze złotem, które wyładowaliśmy w Odessie były ułożone jedna obok drugiej tu na Czerwonym Placu, pokryłyby go od końca do końca”.

Wkrótce po upadku rządu Caballero, gdy pewnego dnia siedziałem w biurze Słuckiego, zadzwonił telefon. Telefonowano z sekcji dla spraw specjalnych. Pytano czy panna Staszewska wyjechała ze Związku Sowieckiego.

Słucki, który był przyjacielem Staszewskiego i jego rodziny, zaniepokoił się. Zadzwonił z innego aparatu telefonicznego do oddziału paszportowego. Gdy odłożył słuchawkę odetchnął z ulgą. Panna Staszewska przekroczyła granicę. Podał tę wiadomość sekcji dla spraw specjalnych.

Wiedzieliśmy obaj, że ten telefon nie wróżył nic dobrego dla Staszewskiego, który właśnie powrócił na swoje stanowisko w Barcelonie. Jego żona Regina pracowała w sowieckim pawilonie na wystawie w Paryżu. Staszewski postarał się, aby jego dziewczęt-

nastoletnia córka pojechała do matki i aby wraz z nią tam pracowała. Dziewczyna dojechała do Paryża, ale w miesiąc potem, w czerwcu, kazano jej zawieźć do Moskwy niektóre eksponaty z sowieckiego pawilonu. Nic nie podejrzewając wróciła do Związku Sowieckiego.

W międzyczasie ojciec jej został odwołany z Hiszpanii. W lipcu 1937 byłem z powrotem w Paryżu. Ciągłe telefonowano do Staszewskiej starając się dowiedzieć kiedy jej mąż będzie w Paryżu. Pewnego dnia powiedziała mi, że jej mąż i gen. Berzin przejechali przez Paryż, ale zatrzymali się tylko od pociągu do pociągu i pojechali dalej, do Moskwy, w wielkim pośpiechu. Nie mogła ukryć swego niepokoju. W czerwcu Stalin wymiół niemal całe wyższe dowództwo czerwonej armii z marszałkiem Tuchaczewskim na czele.

Spotykałem panią Staszewską wielokrotnie. Nie miała żadnych wiadomości ani od męża ani od córki. Zaczęła telefonować do swego mieszkania w Moskwie, wiedząc że jeżeli ich tam nie ma, to ktoś z ich przyjaciół mieszkałby w ich mieszkaniu. Przez szereg dni i nocy operatorzy zagranicznych telefonów z jej polecenia próbowali połączyć się z numerem w ich mieszkaniu. Odpowiedź była zawsze ta sama: „Nie ma odpowiedzi”.

Nie mogła zrozumieć co się stało i nie dawała za wygraną. Nareszcie uzyskała połączenie. Odpowiedziała służąca że Staszewski nie przyjechał i nikt nawet nie wiedział, że jest w Moskwie. Nie było też żadnej wiadomości o córce, zwabionej jako zakładniczka przed miesiącem. Minęły dwa tygodnie bez wiadomości. Z początku sierpnia pani Staszewska dostała krótki list od męża z prośbą, by wszystko zwinęła w Paryżu i wróciła do Moskwy. Wiedziała po swoich wiadomościach telefonicznych, że list ten przyszedł z więzienia. Spakowała rzeczy i wróciła do Związku Sowieckiego — do wszystkiego co jej zostało na świecie.

Gen. Berzin też znikł. Rozstrzeliwanie głównych dowódców czerwonej armii było złą wróżbą dla Berzina. Tak samo jak Staszewski był w bliskich stosunkach z aresztowanymi komisarzami i generałami od początku sowieckiej rewolucji. Wobec tego faktu ani jego wyczyny w Hiszpanii ani ścisła i posłuszna lojalność nie znaczyły nic. Do dnia dzisiejszego należy on do tej wielkiej liczby zaginionych sowieckich przywódców, o których losie można tylko robić przypuszczenia i być może nigdy nie będzie można go ustalić.

Kiedy zdawało się, że Stalin dotarł do swego celu w dalekiej Hiszpanii, w 1937 Japonia uderzyła na Chiny, Niebezpieczeństwo dla Związku Sowieckiego na Dalekim Wschodzie stało się alarmujące. Wojska japońskie zajęły Pekin, bombardowały

Szanghaj, maszerowały na Nanking. Rząd Czang-Kai Szeka zawarł pokój z Moskwą i prosił o pomoc.

Jednocześnie państwa faszystowskie na zachodzie stawały się coraz bardziej agresywne. Włochy i Niemcy interweniowały zupełnie otwarcie po stronie Franco. Sytuacja wojskowa Republiki Hiszpańskiej stawała się coraz trudniejsza. Chcąc utrwalić swoje zdobycze w Hiszpanii musiałby Stalin dać jej teraz pełną pomoc, niezbędną dla pobicia Franco i jego aliantów. Ale więcej niż kiedykolwiek bał się ryzyka rozpętania wojny. Jego nakaz: „Trzymajcie się z dala od ognia artylerii”, po inwazji japońskiej Chin i groźby na granicy Syberii, stał się tym bardziej obowiązujący.

Rola Stalina w Hiszpanii zbliżała się do haniebnego końca. Interwencja jego była tam zbudowana na nadziei, że mając odskocznice w podległej mu Hiszpanii, otworzy drogę z Moskwy do Londynu i Paryża i w ten sposób dotrze ostatecznie do Niemiec. Manewr ten nie udał się. Zabrakło mu prawdziwej odwagi. Rozgrywał partię śmiało z hiszpańskim narodem przeciwko jego niepodległości, ale lękliwie przeciwko Franco. Powiodło mu się w morderczych intrygach, ale sfuszerował prowadzenie wojny. W Paryżu i Londynie przybrano przyjaźniejszą postawę wobec Franco. Stopniowo w ciągu 1938 roku Stalin wycofał się z Hiszpanii.

Stos złota hiszpańskiego — to było wszystko co mu zostało z tej awantury.



## R o z d z i a ł I V

### STALIN FAŁSZUJE DOLARY

Pierwsza pięcioletka obejmowała lata 1928-1932. Był to okres wielkich zakupów za granicą maszyn i materiałów niezbędnych dla zakrojonej na olbrzymią skalę industrializacji Rosji. Jednym z następstw tej akcji był dotkliwy brak walut zagranicznych w Moskwie.

W ciągu tych lat w całym świecie pojawiło się moc fałszywych studolarowych banknotów Federalnego Banku Stanów Zjednoczonych. Zaczęły najpierw napływać powoli do Skarbu Stanów Zjednoczonych z Szanghaju i San Francisco, z Houston (Texas) i New Yorku, z Montrealu i Havany, z Warszawy, Genewy, Bukaresztu, Berlina, Wiednia, Sofii, Belgradu. Źródłem ich był Stalin, który w ten sposób puścił w obieg na całym świecie około 10 milionów fałszywych dolarów amerykańskich.

Jest to fakt interesujący nie tylko moralnie, ale również dlatego, że odsłania prymitywność umysłową tego Gruzina — jego ignorancję współczesnych stosunków w świecie oraz gotowość uciekania się do pospolitego przestępstwa jako zaradczego chwytu w krytycznej sytuacji. Stalin wysunął się na czoło partii bolszewickiej jako organizator „ekspropriacji”, to znaczy rabunku banków celem uzupełnienia kasy partyjnej. Borys Suwarin w swojej ostatniej książce *Życie Stalina* opisuje taką ekspropriację w Tyflisie, przygotowaną i kierowaną przez Stalina, ale bez jego bezpośredniego w niej udziału. Osiem bomb wybuchło wówczas na ulicach, 3 osoby zostały zabite, 50 odniosło obrażenia. 341 tysięcy rubli, czyli £ 34.000 wpłynęło z tej imprezy do kasy partyjnej. Nic więc dziwnego że w innym kryzysie, kiedy dawał się odczuwać wielki brak pieniędzy, Stalinowi przyszła do głowy myśl wydostania ich ze Skarbu Stanów Zjednoczonych.

Pieniądze były potrzebne na gwałt. Zapas walut zagranicznych w Skarbie sowieckim był bardzo mizerny w stosunku do wymagań najważniejszych ministerstw przemysłowych. Zagraniczne wydziały OGPU i sowieckiego wywiadu wojskowego znajdowały się w krytycznej sytuacji finansowej właśnie w chwili, kiedy musiały rozbudować swoje agendy. Poszukiwanie „waluty” — w złocie lub jego ekwiwalencie — stało się głównym zajęciem rządowego aparatu sowieckiego. OGPU założyło specjalne „Biuro walutowe”. Wszelkie możliwe metody i pomysły, od oszukaństwa do terroru, zostały zastosowane dla wydobycia od ludności obcej waluty i wszelkich innych kosztowności. Akcja ta dosięgła kulminacyjnego punktu w tzw. „Inkwizycji Walutowej”, która wyraziła się w systematycznym wymuszaniu od obywateli sowieckich przesyłek pieniężnych, przysyłanych przez krewnych tytułem pomocy z Ameryki. Wiele z tych ofiar OGPU więziło i torturowało dopóki pieniądze na wykup ich nie przyszły z zagranicy.

Wszystko to było znane szerokiej publiczności, ale swój bardziej prymitywny sposób wyduszania pieniędzy trzymał Stalin w głębokiej tajemnicy. Do dzisiaj techniczne źródło sfalszowanych 100 dolarowych banknotów pozostało tajemnicą, nawet dla amerykańskiego i europejskiego wywiadu. Istniały, a nawet były wypowiedzane głośno podejrzenia, że szajka fałszerzy rezyduje i działa w Rosji sowieckiej. Ale z żadnej poważnej strony nie było wysunięte przypuszczenie, że fałszerzem jest rząd sowiecki.

Faktem jest jednak, że Stalin założył i osobiście kierował tą szajką fałszerzy. Ich maszyny drukarskie były w Moskwie, w najgłębszych zakątkach OGPU, a rozprawdzali fałszywą walutę agenci sowieccy.

Banknoty drukowano na specjalnej maszynie, przywiezionej ze Stanów Zjednoczonych. Były tak świetnie wykonane, że kasjerzy bankowi w Ameryce przyjmowali je za autentyczne w ciągu wielu lat po ukazaniu się. Fałszerze będąc pewni że ich banknoty wytrzymają każdą próbę, zaoferowali do wymiany wielką ich ilość czółowym instytucjom finansowym w Ameryce.

Agenci Stalina działali w porozumieniu z przestępczym podziemiem, na przykład w Berlinie z szajką amerykańskich opryszków, operujących we wschodniej Europie, a w Chicago ze znanymi gangsterami. Fakty te zostały ustalone poprzez badania policyjne. Ale, o ile wiadomo, sami agenci nie korzystali osobiście z tej operacji. Chcieli po prostu pomóc Związkowi Sowieckiemu.

W więzieniu federalnym w Lewisburg, w Pensylwanii, odsiada obecnie 15-letnią karę więzień, który za pomocą fałszywych banknotów przyprawił banki w Chicago o stratę 25 tysięcy dolarów. Tym więźniem jest dr Valentine Gregory Burtan, lekarz z

New Yorku, znany jako wybitny komunista. Dr Burtan przyjął wyrok ze stoicyzmem, nie robiąc żadnych aluzji o swoich moskiewskich wysokich koligacjach, których był oddanym agentem. Dlatego też jego proces w 1934 r., mimo że był poprzedzony bardzo starannym śledztwem tajnej policji Stanów Zjednoczonych, nie odkrył tajemnicy źródła tych fałszywych banknotów.

Na kilka lat przed aresztowaniem dr Burtana rząd sowiecki kupił okreśłą drogą prywatną firmę bankierską Sass and Martini w Berlinie jedynie po to, aby móc wymieniać fałszywe pieniądze w wielkich ilościach. Fiasco przedsięwzięcia i ucieczka jego organizatora wywołała międzynarodową sensację, a śledztwo policji stwierdziło związki z podziemiem. Ale zamieszany w to agent, którego dobrze znałem, podjął się tej ryzykownej misji, rozumiejąc ją jako poświęcenie się w służbie dla Związku Sowieckiego. Nie był wprawdzie ujęty przez policję, ale życie jego z powodu tego wydarzenia zostało zrujnowane.

Na pierwszą wskazówkę co do fałszerskich operacji Stalina natrafiłem 23 stycznia 1930 r. w pociągu pomiędzy Wiedniem a Rzymem. Kupując po drodze na stacji gazetę zauważyłem w „Berliner Tageblatt” wielki nagłówek poprzez całą gazetę u góry: „Kto fałszuje dolary?”. Sensacyjna opowieść brzmiała:

„Wiadomość o krążeniu fałszywych studolarowych banknotów stała się głównym tematem rozmów na giełdzie i w kołach bankowych. Dotychczas nie wykryto ani fałszerzy, ani ich warsztatu. Jednakże ostatnie dochodzenia ustaliły, że Franz Fischer z Neue Winterfeldstrasse 3, który podjął się puszczenia w obieg w Berlinie fałszywych banknotów, w marcu 1929 r. powrócił z Rosji”.

Uderzyło mnie nazwisko Franza Fischera. „Co u diabła! — pomyślałem. — To musi być nasza sprawka”. Reszta wiadomości umieszczonych w tej i innych gazetach kupionych w drodze potwierdziła moje najgorsze obawy. Wynikało z tych wiadomości, że grupa amerykańskich przedsiębiorców, robiących interesy w kanadyjskim górnictwie, nabyła w jesieni 1929 roku prywatny dom bankowy Sass and Martini, założony w roku 1846. Nabywcy wkrótce przekazali prawo własności niejakiemu p. Simonsonowi, a ten z kolei sprzedał je Paulowi Roth, byłemu komunistycznemu członkowi berlińskiej Rady Miejskiej. Wiedziałem, że Roth jest tajnym urzędnikiem sowieckiej ambasady w Niemczech.

Franz Fischer był przedstawiony w gazecie jako główny klient banku. Znałem go od roku 1920 i pracowałem z nim w 1923, pomagając zorganizować sztab wojskowy niemieckiej partii komunistycznej. Wiedziałem, że był od dawna w służbie sowieckiego wojskowego wywiadu i pracował tam pod nadzorem „Alfre-

da", jednego z naszych czołowych oficerów za granicą. Wiedziałem również, że od roku 1927 Alfred spędził najwięcej czasu w Stanach Zjednoczonych.

Pomiędzy Fischerem a mną istniała więź osobista. Znałem i szanowałem jego matkę, weterana-rewolucjonistkę i wybitną działaczkę ruchu komunistycznego w Niemczech. Jej dom był w czasie wielkiej wojny kolebką Związku Spartakusa, kierowanego przez Karola Liebknechta. Franz wyrósł w atmosferze społecznej rewolty. Choć ostatnio straciłem z nim kontakt, byłem pewien że pozostał zawsze bezkompromisowym idealistą. Nie byłby zdolny do fałszerstwa dla celów zysku. Jego rola w tej historii bankowej Sass and Martini musiała mieć podłoże polityczne. Krótko mówiąc, nie miałem wątpliwości, że jeżeli zamieszany jest w tę aferę Fischer, to zamieszana jest również Moskwa.

Ponadto, w sprawozdaniach prasowych rozpoznawałem znany wzór sowiecki. Nabycie starej firmy bankowej przez nieuchwytną grupę „kanadyjsko-amerykańskich” przedsiębiorców, odstąpienie jej natychmiast jakiemuś p. Simons, który z kolei, jak się okazało, działał w imieniu Paula Roth — wszystko to wyglądało na witrę sklepową, zwykle przez naszą tajną służbę używaną dla zamaskowania czegoś z tyłu za nią. Stary bank berliński był kupiony wyraźnie w celu wzbudzenia zaufania do fałszywej waluty, która tam będzie puszczana w obieg.

Dowiedziałem się z „Tageblattu”, że 10 grudnia 1929 Franz Fischer wymienił w banku Sass and Martini 19.000 dolarów w banknotach studolarowych. Bank zdeponował je w Deutsche Bank, który przesłał część do National City Bank w New Yorku. Ponieważ banknoty były dawnego większego rozmiaru, już od pewnego czasu w Ameryce nie drukowane, wzbudziły zainteresowanie w Federal Reserve Bank w New Yorku, dokąd w końcu trafiły. Badania mikroskopowe, dokonane przez ekspertów, wykryły że są sfalszowane, podług pewnego wzoru już Skarbowi Stanów Zjednoczonych znanego. 23 grudnia, New York zawiadomił telefonicznie Berlin, że banknoty są fałszywe, ostrzegając zarazem władze i banki niemieckie, że są najlepszą z dotychczas znanych imitacją.

Policja berlińska pod nadzorem komisarza von Lieberman na natychmiast wkroczyła do Banku Sass and Martini i odsłoniła jego sztuczny charakter. Wszystkie transakcje dokonywane na podstawie fikcyjnych rachunków, prowadziły do Franza Fischera, który ulotnił się. Władze wiedziały, że w latach 1925-27 był zatrudniony w sekcji samochodowej sowieckiej misji handlowej w Berlinie. W pewnym okresie wyścigi samochodowe były jego

ulubionym zajęciem. Policja doszła do wniosku, że był on tylko paserem w tej aferze. Wyższy niemiecki urzędnik oświadczył:

„Szajka musi mieć gdzieś dużą drukarnię ze sztabem ekspertów, gdyż bez tego nie mogłaby wyprodukować wielkiej ilości tak doskonałego towaru. Fałszerze nafabrykowali go tyle, że musieli być w zмовie z jakąś wielką firmą papierniczą, prawdopodobnie za pomocą przekupienia urzędników tej firmy. Musieli oni mieć ogromne zyski”.

Według komentarzy prasowych, policja niemiecka podejrzewała, że szajka fałszerzy ma swoją siedzibę w Polsce lub na Bałkanach. Byłem ciekaw, ile czasu minie, zanim oczy policji zwrócić się ku Moskwie. Obawiałem się poważnych skutków dla nas wszystkich. Kupowałem wszystkie gazety i studiowałem każdą wiadomość i każdy artykuł na temat tej afery. Główną moją troską było zabezpieczenie roboty naszego wojskowego wywiadu. Przerażało mnie, że niektórzy nasi agenci byli zamieszani w tę wariacką imprezę.

Niepokoiliem się również o Franza Fischera. Jego przełożony „Alfred” był wprawdzie szefem wojskowego wywiadu w Stanach Zjednoczonych, ale do jego rozważań i zdolności oceny nie miałem żadnego zaufania. Gdy czytałem o nalocie policji na bank Sass and Martini najbardziej uderzającą cechą fałszerskiej imprezy wydała mi się elementarna głupota. Rząd Stanów Zjednoczonych, myślałem sobie, na pewno wysledzi źródło w Moskwie. Im więcej rozmyślałem nad tym, tym bardziej fantastyczne wydawało się we współczesnej epoce angażowanie się wielkiego państwa w podobne praktyki. Czułem, że powinienem coś zrobić lub powiedzieć w celu zahamowania tej imprezy.

Na szczęście, miałem spotkać w Rzymie osobistego i zaufanego wysłannika Stalina, gen. „Ter” Tairowa, który był za granicą na turze inspekcyjnej naszych tajnych placówek. Urodzony na Kaukazie, tak jak Stalin, Tairow był później ambasadorem sowieckim w Mongolii Zewnętrznej, czyli faktycznie wicekrólem z ramienia Stalina\*).

Na moim horyzoncie Tairow pojawił się po raz pierwszy w roku 1928 w Paryżu, dokąd przybył rzekomo jako przedstawiciel Sowieckiego Syndykatu Naftowego. W rzeczywistości jego zadaniem było wejrzeć we wszystko razem i w każdą rzecz z osobna — dla Stalina. W ciągu tego spotkania z Tairowym zapoznałem się po raz pierwszy z wybitnym charakterem dyktatury Stalina. Jako oficer wojskowego wywiadu, byłem nauczony służyć moim

\*) Według wiadomości *New York Times* jego nazwisko było na liście aresztowanych w r. 1939 oficerów.



przełożonym, a jako członek partii, być posłusznym Komitetowi Centralnemu. Tairow zabrał się do rzeczy w zupełnie inny sposób. Mimo że pracował w wydziale dalekim od mojego, ofiarował od ręki każdą pomoc jakiej tylko mógłbym potrzebować.

„Jeżeli ci czegoś potrzeba, jakiejś pomocy od ambasady lub kogokolwiek innego, daj mnie wprost znać o tym, a ja napiszę parę słów szefowi”. Rozmowa z nim była naszpikowana tego rodzaju osobistymi aluzjami, jak „Dowiedziałem się o tym wprost od Stalina”, lub „Stalin powiedział mi to”. Byłem skłonny wziąć tego człowieka za pyszałka i zapytałem mego szefa w Moskwie, gen. Berzina, czy można mu dowierzać. Berzin dał mi znać, że przechwałki Tairowa o bliskich stosunkach ze Stalinem nie są bynajmniej wymysłem. Tairow był jednym z tych, którzy służyli pod Stalinem podczas Wojny Domowej. Później, w roku 1932, był wsadzony przez Stalina do Ministerstwa Wojny by kontrolować pocztę komisarza wojennego Woroszyłowa i innych generałów.

Spotkałem teraz Tairowa w Tivoli w Rzymie i od razu przystąpiłem do sprawy fałszowania dolarów.

„To jest paskudna sprawa, ta w Berlinie — powiedziałem. Bardzo obawiam się, aby nie stała się międzynarodowym skandalem, który może zrujnować naszą organizację wywiadu i skompromitować rząd sowiecki”.

„Niczewo! — odrzekł Tairow robiąc charakterystyczny ruch ramionami i załatwiając w ten nie do naśladowania rosyjski sposób całą sprawę. Słowo „niczewo” oznacza mniej więcej „to nic”, lub „och, to nie ma znaczenia”.

„Nie zdziwię się, jeżeli my wszyscy zapłacimy za to głową” — powiedziałem jeszcze. — To nie przejdzie bez śladu. Ktokolwiek to rozpoczął wpakuje nas wszystkich w dobrą kabałę”.

„Nie martw się tym — zapewnił mnie Tairow. — Szef w tym siedzi. Myślisz, że chłopcy z IV Wydziału zaczęliby takiego rodzaju historię bez wiedzy Stalina?”.

Przez chwilę czułem się zaskoczony. To prawda, że gen. Berzin nie zaryzykowałby takiej imprezy bez aprobaty Stalina. Jednakże kontynuowałem swój wywód.

„Niezależnie od względów politycznych — mówiłem dalej — impreza jest też pod względem finansowym absurdalna. Zastanów się tylko, czy dużo fałszywej waluty można wymienić na rynkach światowych? Następnie, oblicz koszty urządzenia drukarni i puszczenia banknotów w obieg. Obrót pieniężny w dzisiejszych czasach odbywa się przeważnie bezgotówkowo. Gotówka daleko nie idzie. Ten kto powziął cały ten plan jest, moim zdaniem, dzikusiem”.

„No, właśnie dlatego kupiliśmy bank w Berlinie” — rzekł Tairow.

„I cóż z tego wyszło? Kupiliście bank za prawdziwe pieniądze. A ile waluty mógł bank upłynnić — nawet gdyby był się ostał? Czy nasi ludzie w Moskwie nie mają pojęcia o świecie, w którym żyjemy? Czyż nie mogą oni oszacować kosztów i możliwych zysków, oraz zważyć ryzyko z góry? I cóż oni teraz poczną? My zbudowaliśmy tutaj wielkim kosztem i ryzykiem sieć wywiadu, którą ta dziecinna impreza może zrujnować”.

Tairow przyznał, że nie wie co zrobić z aferą Sass and Martini, ale w dalszym ciągu starał się uzasadnić fałszerski plan ostrym brakiem walut niezbędnych dla wykonania pięciolatki.

Wskazałem na trudności napotymane przez nas, agentów wywiadu, wskutek niezdarności naszych finansowych biurokratów w wymianie prawdziwych pieniędzy nadsyłanych nam z Moskwy. Czasami kurier przywozi cały plik 500-dolarowych banknotów, a innym znów razem 10 tysięcy dolarów w banknotach jednodolarowych. Zdarza się, że banknoty mają pieczętkę sowieckiego Banku Państwa. Ryzyko ujawnienia naszego wywiadu przy wymianie tych prawdziwych pieniędzy było i tak znaczne. A teraz Moskwa proponuje zaopatrywanie nas w fałszywą walutę. To byłoby równoznaczne z wyrokiem śmierci dla całej naszej roboty. Tairow był wstrząśnięty moimi argumentami i ustąpił:

„Być może, masz rację — przyznał — w odniesieniu do Europy. Ale musisz pamiętać, że ten interes był pierwotnie organizowany z okiem zwróconym na Chiny. Upłynniamy tam miliony tych dolarów i bardzo ich tam potrzebujemy”.

To mnie zaskoczyło, gdyż nic nie wiedziałem o stosunkach w Chinach. Porzuciliśmy ten temat aż do następnego spotkania w Ostii, nadmorskiej miejscowości koło Rzymu. Tam znów usiłowałem — z lepszym tym razem wynikiem — przekonać go, że należy położyć kres całej tej imprezie. Sprawa Sass and Martini odbijała się echem z każdego zakątka świata.

Związek Banków w Berlinie wydał publiczne ostrzeżenie przed fałszywymi studolarowymi banknotami Stanów Zjednoczonych z owalnym portretem Benjamina Franklina. Dla ułatwienia rozpoznania ich opisał kilka drobnych usterek w podrobionych banknotach.

Policja berlińska obwieściła, że te 100-dolarowe banknoty są tak umiejętnie podrobione, że żaden bank zagraniczny nigdy tego nie zauważył, oraz że prawdopodobnie „miliony dolarów w tych fałszywych banknotach kursują w Ameryce i w Europie”.

23 stycznia 1930 telegram z Genewy donosił, że „urzędnicy Skarbu amerykańskiego ostrzegli policję szwajcarską w Bernie, że

te fałszywe banknoty, bardzo dokładnie podrobione, są w obiegu w Szwajcarii”.

Następnego dnia nadeszła wiadomość z Berlina, że dotychczas wykryto około 40 tysięcy dolarów w fałszywych banknotach. Za pojmanie Fischera policja wyznaczyła nagrodę.

26 stycznia Associated Press podała następującą wiadomość z Havany:

„Policja wykryła w Hawanie międzynarodową szajkę fałszerzy pieniędzy, która w ciągu ostatniego tygodnia miała puścić w obieg od 75 do 100 tys. dolarów w fałszywych banknotach po 100 dolarów Federal Reserve Bank w New Yorku”.

„Inspekcja banków amerykańskich w Hawanie wykazała, że każdy z nich posiada pewną ilość tych banknotów. Oddział hawański National City Bank ma 14 i odmówił przyjęcia około 16 tysięcy dolarów dalszych. Wszystkie banki zainstalowały specjalnych kasjerów dla sprawdzania waluty w dużych odcinkach. Narodowe Kasyno, wystawny dom gry, otrzymało podobno dużo podrobionych banknotów”.

29-go stycznia, szeroko znany adwokat niemiecki, dr Alfons Sack (który w kilka lat później był obrońcą oskarżonych w słynnym procesie o podpalenie Reichstagu) zadeklarował przed berlińskim sądem gotowość udowodnienia, że 100 dolarowe fałszywe banknoty zostały wykonane w sowieckiej państwowej drukarni w Moskwie. Dr Sack twierdził, według *New York Times* z 30.I, że podczas niedawnych zamieszek sowieccy agenci puścili w obieg w Chinach dwa i pół miliona fałszywych banknotów dolarowych i funtowych.

6-go lutego nadeszła wiadomość z Warszawy o zaarrestowaniu wybitnego komunisty, u którego znaleziono walutę amerykańską. W 10 dni później druga wiadomość z Warszawy doniosła, że „znaczne ilości podrobionych 100-dolarowych banknotów Stanów Zjednoczonych zostały stwierdzone w wyniku badania ich w jednym z banków we Lwowie” i były podobne do wykrytych uprzednio w bankach niemieckich.

Mniej więcej w tym czasie berlińska policja ogłosiła sprawozdanie o wykryciu w Antwerpii szajki fałszerzy zalewającej Europę podrabianymi 500 i 100-dolarowymi banknotami amerykańskimi, i o aresztowaniu trzech ludzi, Rumuna, Węgra i Czecha.

Federal Reserve Bank w New Yorku wydał 22 lutego 1930 okólnik wskazując w nim na pewną ilość minimalnych usterek w fałszywych banknotach, m.in. na to, że ciemne tło pomiędzy cyfrą 1 a pierwszym zerem liczby 100 w rogach banknotu jest nieco szersze niż w autentycznym.

3 marca wielkie ilości podrobionej waluty zostały wykryte w Mexico City. Wykonanie oceniono jako znakomite.

7 marca siedmiu szmuglerów fałszywej waluty zatrzymano w Cieszynie, na granicy polsko-czeskiej.

Podczas gdy echa afery rozlegały się w całym świecie, Tairow, po dłuższym komunikowaniu się z Moskwą, uzyskał wreszcie dla mnie polecenie zlikwidowania jej. W międzyczasie powróciłem z Wiednia, gdzie widziałem się z Aleksandrowskim, ówczesnym szefem naszego wojskowego wywiadu w Austrii. Znalazłem go w zupełnym rozstroju nerwowym na tle tej afery. Był szczególnie rozsierdzony na Alfreda, który sprowadził Fischera do Wiednia i teraz domagał się od Aleksandrowskiego dostarczenia zbiegowi kryjówki i zaopatrzenia go w dokumenty dla tajnego przedostania się z Austrii do ZSSR. W tym czasie po całej Europie rozesłano ulotki z opisem i podobizną Fischera.

„Powiedziałem Tairowowi, gdy był tutaj, że nie chcę mieć nic do czynienia z tą sprawą — mówił z rozdrażnieniem Aleksandrowskij. To ten bałwan Alfred jest sprawcą całego tego zamieszania. Niechże teraz pije piwo, które nawarzył”.

„Co powiedział Tairow?” — spytałem.

„Powiedział, że za tym stoi Szeł” — odrzekł Aleksandrowskij, co oznaczało oczywiście, że nie ma wyboru i musi być posłuszny.

Zaopatrzył Fischera w paszporty, potrzebne do przejazdu przez Rumunię i Turcję do Odessy, a stamtąd do Moskwy. Widziałem Fischera w Wiedniu na krótko przed odjazdem. — Wysoki na 6 stóp, szczupły, lecz dobrze zbudowany, zawsze elegancko ubrany, był dobrze znany ze swego dziarskiego wyglądu. Teraz miał przyprawione wąsy i ubrany był niedbale. Przy tym był rzeczywiście zmieniony, w zniechęconym nastroju, wyglądał naprawdę żałośnie.

„Jestem skończony” — powiedział mi.

Fischer wiedział, że skoro trafi do Związku Sowieckiego, już nigdy nie zdoła wydostać się stamtąd. Rozumiał także, że Stalin nie może pozostawić go żywym za granicą. Byłem głęboko poruszony jego losem. Przecież wykonał tylko robotę w zakresie obowiązków, zleconych mu przez rząd sowiecki.

Spotkałem Alfreda w Café Kuenstler w Wiedniu, w marcu, i rozpocząłem rozmowę słowami niezbyt dla niego pochlebnymi.

„Ech, ty, zakuta pało — rzekłem. — Mieszkałeś długie lata w zachodniej Europie i w Stanach Zjednoczonych i niczego się nie nauczyłeś”.

Próbował się bronić.

„Ależ ty nie rozumiesz — mówił — że to są prawdziwe pieniądze. To nie zwykła fałszywa waluta, to autentyczny pieniądz. Dostałem ten sam papier, jakiego używają w Stanach Zjednoczonych. Jediną różnicą jest to, że pieniądze są drukowane nie w Waszyngtonie, lecz na naszych maszynach drukarskich”.

W czasie naszej rozmowy Alfred kilkakrotnie powoływał się na „Nicka”, Amerykanina łotewskiego pochodzenia, który był jego pomocnikiem w puszczaniu w obieg fałszywych pieniędzy w Stanach Zjednoczonych. Alfred był przejęty swoim rzekomym powodzeniem, tak że dużo wysiłku trzeba było użyć, aby go uświadomić o powadze sytuacji. Tłumaczyłem mu, że bankructwo banku Sass and Martini nadało całej sprawie odmienny charakter. Punkt po punkcie wyjaśniłem niebezpieczną sytuację, w którą nas wpakował. Siedział jak podsądny słuchający wyroku śmierci i w końcu spytał błagalnym tonem:

„Cóż mam zrobić?”.

Powiedziałem mu, że wszystkie banknoty mają być wycofane z obiegu, agenci jego chwilowo zwolnieni, a on sam ma wracać do Moskwy. Nie byłem pewny, czy Alfred posłucha moich rozkazów, toteż urządziłem nasze spotkanie z Tairowym, by je potwierdził.

Dowiedziałem się wtedy od Alfreda pewnych szczegółów tej fałszerskiej afery. Chociaż była zorganizowana w Moskwie pod nadzorem Stalina, Alfred twierdził, że był to jego własny pomysł. W każdym razie to on uzyskał w Stanach Zjednoczonych i załadował na statek wielką ilość specjalnego papieru do drukowania banknotów.

Nazwisko Alfreda było Tilden, należał w naszym wydziale do łotewskiego kółka, którego głową był gen. Jan Berzin. Alfred był wysokiego wzrostu, niebieskooki, o rysach mocnych, lecz prostych. Znałem jego żonę Marię od wielu lat. Maria, majestatyczna kobieta, była znana jako znakomity strzelec i uważana powszechnie w Moskwie za mózg całej rodziny.

Wiosną 1928 roku Alfred przyjechał do Paryża, aby zwolnić od dotychczasowych obowiązków i przenieść do Ameryki jednego z naszych najlepszych agentów, Lydię Stahl. Starałem się usilnie odwieść Alfreda od zamiaru zabrania Lydii ze sobą. Zwracająca uwagę, przystojna kobieta, wówczas w wieku lat 30-tu, niegdyś żona carskiego oficera, a potem bałtyckiego arystokraty, barona Stahla, Lydia weszła do naszej tajnej służby będąc na uchodźstwie w Finlandii w 1921 r. Była jednym z naszych najlepszych agentów. Alfred postawił na swoim i wziął Lydię ze sobą do Stanów Zjednoczonych. Pracowała tam około 3 lat, lecz gdy w końcu 1932 roku w Paryżu wybuchła szpiegowska afera Gordon Switz, Lydia



została aresztowana i zasądzona na 5 lat więzienia. Żona Alfreda, Maria, ulokowana wówczas jako agent naszego wojskowego wywiadu w Finlandii, została również złapana i obecnie odsiaduje 10-letni wyrok w fińskim więzieniu.

Mimo całej swojej nieudolności Alfred osobiście nigdy nie wpadł w ręce policji. Ale zawalenie się afery fałszerskiej było porażką dla jego kariery. Jednym z najgroźniejszych skutków niepowodzenia musiało być skompromitowanie komunistycznych partii w zachodniej Europie, których wybitnych przedstawicieli jak Franz Fischer lub Paul Roth, Alfred zatrudniał.

Likwidacja tej afery i wysłanie do Moskwy pozostałej fałszywej waluty zajęło mi kilka tygodni. W maju 1930 Alfred powrócił do siebie, a Fischer szczęśliwie dotarł do Rosji. W połowie czerwca 1930 burza zdawała się milknąć, chociaż studolarowe banknoty nadal kursowały i dotąd kursują na Bałkanach. Około 20 czerwca wróciłem do Moskwy by zdać raport gen. Berzinowi. Tairow był również w Moskwie i brał udział w naszej konferencji. Gen. Berzin uściśnął mnie i wyraził wdzięczność za szybką interwencję i zapobieżenie katastrofie spowodowanej upadkiem banku Sass and Martini. W ciągu rozmowy poczyniłem otwarcie szereg krytycznych uwag o całej imprezie.

„Podrabianie pieniędzy nie jest stosownym zajęciem dla potężnego państwa — powiedziałem. — Stawia nas to na poziomie małych podziemnych grup, nie mających środków do działania”.

Berzin znów powtarzał, że plan był opracowany pod kątem Chin, gdzie takie operacje na wielką skalę są możliwe, lecz przyznał, że nie nadawały się na zachodnie stosunki. Dowodziłem, że plan wszędzie był niedorzeczny.

„A czy Napoleon nie drukował angielskich banknotów?” — zareplikował Berzin. Rozpoznałem w tym zdaniu głos samego Stalina.

„Porównanie nie starczy za argument — powiedziałem na to. — Obecne warunki monetarne są zupełnie inne. Kilka milionów dolarów na nic poważnego nie wystarczy, natomiast narazi prestiż państwa, które je fałszuje”.

Wyszedłem pod wrażeniem, że fałszerska impreza została na zawsze utracona i pozostałe banknoty zniszczone. Jak wykazały późniejsze wydarzenia, w New Yorku i Chicago, omyliłem się.

Alfred był później przeniesiony do Mińska, blisko granicy z Polską, gdzie objął dowództwo zmotoryzowanych wojsk białoruskiego okręgu wojskowego. Franz Fischer, zaraz po przyjeździe do Związku Sowieckiego przybrał nowe nazwisko i choć był weteranem — komunistą niemieckim, nie został przyjęty do rosyjskiej partii komunistycznej, co było dla niego wielką niewygodą. Po

pewnym czasie przydzielono go do wydziału budowlanego OGPU i wysłano jako przodownika na Kołymę w północno-wschodniej Syberii, bliżej bieguna i Alaski niż najbliższej rosyjskiej stacji kolejowej. Niektórzy z nas posyłali Franzowi paczki z ciepłą odzieżą, lecz nigdy nie potwierdził ich odbioru.

Późną jesienią 1931 roku gen. Berzin nagle wysłał mnie ponownie do Wiednia w roli likwidatora jakiegoś bałaganu. Natrafiłem wtedy znowu na ślady naszej fałszerskiej imprezy. Poznałem parę amerykańską, robiącą dobre wrażenie, zamieszkującą wtedy w hotelu Regina. Spędziłem z nią sporo miłych chwil w Wiedniu. Byli to Nick Dozenberg i jego przystojna młoda żona, ten sam Nick, który pracował z Alfredem w Stanach Zjednoczonych. Rodem z Bostonu, był jednym z założycieli partii komunistycznej w Ameryce. W 1927, po przyjeździe Alfreda, Dozenberg wszedł w „podziemie”, tzw. stał się nieczynny w publicznym ruchu komunistycznym i zaczął działać tajnie jako jeden z naszych agentów.

Wysoki, tęgi, z dużą głową, dobrze ubrany, Nick wyglądał na mającego powodzenie amerykańskiego przedsiębiorcę lub handlarza. Działał teraz w Rumunii, gdzie prowadził amerykańsko-rumuńskie towarzystwo eksportu filmów. Przyjechał do Wiednia chcąc od nas dostać pieniądze na podróż do Ameryki dla zakupu tam kosztownego aparatu filmowego. Ale sytuacja walutowa w Moskwie była krytyczniejsza niż kiedykolwiek. Brak waluty obcej był tak dotkliwy, że nawet nasi kluczowi ludzie byli skrzępowani przez budżetowe restrykcje. Przy tym Dozenberg przywykł był do znacznie wyższej stopy życiowej niż my, obywatele sowieccy.

Minęły dwa lata od skandalu Sass and Martini. Podrabiane banknoty zniknęły z obiegu. Prasa zapomniała o nich. Franz Fischer był na brzegach Oceanu Lodowatego a jego podobizny na europejskich stacjach kolejowych i w urzędach pocztowych pokryły się kurzem. Miałem powody do przypuszczania, że amerykańska i europejska policja zaniechała poszukiwań źródła tych fałszywych banknotów.

Na początku 1932 roku Nick Dozenberg z żoną wyjechali do Berlina, a stamtąd do Stanów Zjednoczonych. W pierwszych dniach kwietnia wyszło nagle z Genewy nowe ostrzeżenie do wszystkich banków europejskich, by miały się na baczności przed tymi samymi studolarowymi banknotami. 29 kwietnia berlińska *Börsenzeitung* doniosła, że podrobione 100-dolarowe banknoty znów się pojawiły w Wiedniu i Budapeszcie. Nie przypisałem tej wiadomości większej wagi, sądząc, że jakiś dawny paser Alfreda zachował pewną ilość tych banknotów do czasu aż sprawa zostanie zapomniana i zdoła bezpiecznie je wymienić. Nie połączyłem

W 3-ej sekcji pracowało około 40-50 osób. Około dwunastu szefów wydziałów odbywało kolejno co pewien czas 24-godzinny dyżur inspekcyjny w lokalach sekcji. W ciągu tych 24 godzin oficer inspekcyjny był odpowiedzialny za każdy list, dokument, świadek papieru, tajny telefon itp. oraz za każde wejście i wyjście z lokalu 3-ej sekcji. Każda przepustka wydana w czasie mego dyżuru musiała mieć mój podpis i pieczętkę 3-ej sekcji. Ta właśnie pieczętka gdzieś zginęła.

Urzędnik śledczy O.G.P.U. był zmuszony zgodzić się z tym, że według naszej książki inspekcyjnej wręczyłem pieczętkę memu następcy wraz z innymi oznakami władzy. Jednakże nie zadowolnił się tym i rozpoczął generalną indagację.

„Od jak dawna jesteście w partii, towarzyszu?” — zapytał.

Nie podobał mi się ton jego pytania i nie miałem zamiaru folgować mu.

„Nie macie prawa stawiać mnie podobnych pytań — powiedziałem. — Wiecie jakie stanowisko zajmuję. Nie mam prawa poddać się dalszemu badaniu bez upoważnienia mego szefa, gen. Berzina. Pozwólcie że zaraz zatelefonuję do niego”.

Zadzwoiłem do gen. Berzina, szefa naszego wywiadu wojskowego, wyłuszczyłem sytuację i zapytałem czy mam się poddać generalnemu przesłuchaniu.

„Ani słowa dopóki ci nie dam odpowiedzi — odrzekł Berzin. — Za 15-20 minut zadzwonię do ciebie”.

Urzędnik śledczy O.G.P.U. czekał niecierpliwie chodząc po pokoju. Po 20 minutach Berzin zadzwonił.

— „Odpowiadaj tylko na pytania dotyczące aktualnej sprawy” — polecił mi.

Wręczyłem słuchawkę urzędnikowi O.G.P.U., któremu Berzin powtórzył swoją instrukcję.

„Dobrze — rzekł kwaśno — możecie iść”.

Wróciłem do swego biura. Mniej więcej w pół godziny później przyszedł do mnie młody człowiek w okularach wyglądający na studenta, który pracował w naszym oddziale Bliskiego Wschodu. Nie był członkiem partii i był przydzielony do naszej sekcji jedynie z powodu znajomości języka perskiego.

„Wiecie, Krywickij — powiedział z widocznym strachem — zostałem wezwany do O.G.P.U.”.

„Dlaczego? — spytałem. — Przecie nie pełnicie służby inspekcyjnej, nieprawdaż?”.

„Oczywiście że nie — odpowiedział. — Mnie by jej nie powierzono. Nie jestem przecie członkiem partii”.

Młody człowiek stawiał się na wezwanie O.G.P.U. i nigdy stamtąd nie powrócił.

W kilka dni później zagubiona pieczętka „odnalazła się”. Jestem pewien, że była skradziona przez O.G.P.U. aby oskarżyć służbę wywiadowczą i przekonać Politbiuro, że O.G.P.U. powinno objąć swoim szpiegostwem również nasz wydział. Służba wywiadowcza zazdrośnie strzegła swej niezależności i podpadła pod władzę O.G.P.U. dopiero na ostatku, po wszystkich innych urzędach sowieckich, niemal w 10 lat po tym prowokacyjnym zamachu ze stycznia 1926.

Fabrykacja takich incydentów należała do specjalności OGPU. Za pomocą przekonywania bolszewickich grubych ryb, a w końcu osobiście Stalina, że ich utrzymanie się przy władzy zależy od nieustającej czujności organów tajnej policji, OGPU wciąż rozszerzało swoją władzę, aż wreszcie stało się państwem w państwie. Jedną z najbardziej niehumanitarnych jego cech było to, że zaczawszy jakieś „śledztwo” tego rodzaju dla celów nie mających nic wspólnego z wykryciem przestępstwa, musiało dla uzasadnienia swoich czynności znaleźć „winnego”. To wyjaśnia niewątpliwie los mego perskiego studenta.

W kraju, gdzie rządzący uważa każdy objaw odrębnej opinii za bezpośrednią groźbę, jest rzeczą naturalną, że tajna policja staje się panią wszystkiego, nawet samego władcy.

Historia O.G.P.U. zaczyna się w grudniu 1917, w miesiąc po rewolucji bolszewickiej, gdy Lenin przesłał Dzierżyńskiemu, weteranowi polskich rewolucjonistów, memorandum zawierające projekt dekretu o „zwalczaniu kontr-rewolucji, spekulacji i sabotażu”. Zapowiadało ono utworzenie Nadzwyczajnej Komisji dla zwalczania wrogów rządu bolszewickiego z uprawnieniami sądu doraźnego. Nadzwyczajna Komisja stała się znana pod nazwą „Czeka” — od pierwszych liter jej nazwy po rosyjsku. Rozrosła się w narzędzie terroru i masowych egzekucji, szczególnie w lecie 1917 roku po zamachu na Lenina i zabójstwie bolszewickiego przywódcy Uryckiego.

Pierwszy szef Czeka, Feliks Dzierżyński, był bezlitosnym, lecz całkowicie nieprzekupnym rewolucjonistą. W ciągu wojny domowej posłał na śmierć niezliczoną liczbę ludzi — w szczerym przekonaniu, że nie ma innego sposobu obrony sowieckiego ustroju przeciw jego „klasowym wrogom”.

Pomimo całej grozy związanej z nazwą Czeka w ciągu pierwszych lat rewolucji bolszewickiej, ani sam Dzierżyński, ani większość jego zaufanych współpracowników nie kierowała się w swojej akcji niczym innym, jak tylko fanatycznym zapałem działania jako miecz rewolucji. Tajna policja była wówczas postrachem ogółu ludności, lecz ci co pracowali lojalnie dla państwa sowieckiego nie obawiali się jej. W miarę jak państwo sowieckie na-

bierało coraz więcej cech totalitarnych, jak sama partia bolszewicka stawiała się ofiarą tego co stworzyła w 1917 roku, tajna policja zyskiwała coraz większą władzę, terror stał się celem sam w sobie, a nieustraszeni rewolucjoniści zostali powoli zastąpieni przez zakamieniałych, wyuzdanych i zdemoralizowanych katów.

W roku 1923 nazwa tajnej policji „Czeka” została zmieniona na „O.G.P.U.” od pierwszych liter rosyjskich słów: „Obszczeszozujnoje Gosudarstwiennojie Politiczeskoje Uprawlenie”. Zmiana nazwy miała na celu pozbycie się nieprzyjemnych skojarzeń, ale nowa nazwa zaczęła wkrótce wywoływać jeszcze większy strach.

O.G.P.U. pozostało w tym samym gmachu, który zajmowała Czeka. Nazywał się Łubianka i był przed rewolucją siedzibą towarzystwa ubezpieczeniowego. Ten zielony budynek, stojący frontem do placu, miał pierwotnie 5 pięter, ale od 1930 roku zaczęły się dobudówki, w tym trzy nowe piętra z żółtej cegły i całkiem nowy, 11-piętrowy luksusowy gmach na podstawie z czarnego marmuru.

Główne wejście do Łubianki prowadzi wciąż przez stary budynek, przez drzwi, przy których widnieje duża płaskorzeźba przedstawiająca Karola Marksa. Od strony bocznych ulic są jeszcze inne wejścia, a wszystkie budynki w bezpośrednim sąsiedztwie należą faktycznie do O.G.P.U. i są zamieszkałe przez urzędników tego urzędu.

Położona na wzniesieniu grupa starych i nowych budynków O.G.P.U. przy Łubiańskim placu jest jedną z najokazalszych i najpiękniejszych osobliwości miasta. Przez główne wejście od placu wchodzi tylko najwyżsi urzędnicy O.G.P.U. Zwykli obywatele muszą dostać przepustki w specjalnym biurze przy ulicy Kuźniecki Most naprzeciwko Komisariatu Spraw Zagranicznych. Długie sznury żon, krewnych i przyjaciół, błagających o zezwolenie widzenia się z więźniem, lub pragnących posłać listy czy paczki z odzieżą, tłumnie wypełniają zwykle biuro przepustek. Z typu ludzi stojących w tych ogonkach można w mgnieniu oka zorientować się w sowieckiej polityce danego okresu. W pierwszych latach rządów bolszewickich wystawały tam żony i krewni oficerów i kupców, później przeważali krewni aresztowanych inżynierów, profesorów i techników. W 1937 roku widziałem długie ogonki członków rodzin naszych sowieckich ludzi, oraz żony i najbliższych krewnych naszych przyjaciół, towarzyszy i kolegów.

Co 20 kroków w długich, ciemnych korytarzach Łubianki stały strażę, a przepustki kontrolowano co najmniej trzy razy zanim ktokolwiek obcy przestąpił próg biur O.G.P.U.

W podwórzu starego budynku Czeka wybudowała specjalne więzienie dla ważnych więźniów politycznych, zwane obecnie



„Izolator”, gdyż większość więźniów trzymana jest w nim w zupełnym odosobnieniu. Okna były tam odgródzone nie tylko żelaznymi prętami, ale głuchą żelazną żaluzją, przez którą przedostawał się do celi tylko mały promyk światła. Więzień był zupełnie odcięty od widoku podwórza lub nieba.

Gdy urzędnik O.G.P.U. chce zbadać jakiegoś więźnia w swoim biurze telefonuje do komendanta więzienia, a ten posyła więźnia pod strażą poprzez podwórze i ciemne wąskie schody do budynku mieszczącego biura. Jest tam winda, która dowozi więźniów na wyższe piętra.

W jesieni 1935 r. widziałem jednego z najbardziej wyróżniających się więźniów Łubianki, bliskiego towarzysza i współpracownika Lenina, I-go prezesa Komunistycznej Międzynarodówki i przez pewien czas najwyższego szefa leningradzkiej partii i Sowietu. Był to kiedyś mocny człowiek. Teraz, szurgający nogami po korytarzu, w biało-niebieskiej piżamie, miał wygląd wynędzniały i zrezygnowany. Po raz ostatni widziałem wówczas człowieka, który niegdyś nazywał się Grzegorz Zinowiew. Prowadzono go na przesłuchanie. W kilka miesięcy później został rozstrzelany w podziemiach Łubianki.

Najważniejszym meblem w biurze każdego urzędnika śledczego jest kanapa, gdyż charakter jego pracy jest taki, że często trwa ona 20 do 40 godzin nieprzerwanie. Jest wtedy niemal w tym samym stopniu uwięziony jak jego więzień. Obowiązki urzędnika śledczego nie znają granic, mogą rozciągać się od przypiekania więźnia aż do zastrzelenia go.

Jedną z osobliwości sowieckiej procedury sądowej jest brak formalnego kata, mimo ogromnej ilości egzekucji. Czasami wyroki śmierci kolegium O.G.P.U. wykonują w piwnicach urzędniczy i strażnicy gmachu, czasami czynią to sami urzędnicy śledczy i prokuratorzy. Aby przeprowadzić analogię z amerykańskimi stosunkami, trzeba by wyobrazić sobie nowojorskiego prokuratora okręgowego, który uzyskawszy wyrok śmierci na oskarżonego, śpieszy do więzienia Sing-Sing, by własnoręcznie uruchomić prąd elektryczny dla stracenia skazańca.

Kaci O.G.P.U. zbierali największe żniwo śmierci w ciągu 1937 i 1938 roku, gdy wszystko zostało ogarnięte przez wielką czystkę. Przedtem, w roku 1934, Stalin dał folę OGPU w stosunku do masy członków partii bolszewickiej. Periodyczne „prze-czyszczania” szeregów partyjnych, właściwa funkcja Komisji Kontrolnej, zostały powierzone tajnej policji. Wówczas to po raz pierwszy każdy członek partii bolszewickiej został poddany indywidualnemu badaniu przez policję. Jednakże w marcu 1937 Stalin zdecydował, że wszystkie te czystki nie dosięgły dość głęboko.

Utrzymał się u władzy w latach 1931-36 głównie dzięki Jagodzie i jego tajnym agentom, którzy sprawnie i z żarliwą lojalnością tępił starą partię bolszewicką i dowództwo armii czerwonej. Ale w toku tej akcji Jagoda zbyt dobrze poznał metody czystki stalinowskiej i zanedbato zbliżył się do steru władzy. Stalin postanowił wobec tego zmienić katów w połowie ich roboty. Następcą Jagody został Nikołaj Jeżow, którego przed kilku laty Stalin wsadził na stanowisko sekretarza CK partii i szefa biura personalnego, głównego szafarza posad. Zajmując to stanowisko Jeżow po cichu konstruował równoległy aparat O.G.P.U., podległy tylko osobiście Stalinowi. Gdy objął następstwo po Jagodzie, wprowadził do tajnej policji około dwustu swoich zaufanych ludzi z tego nowego aparatu. Hasłem Stalina w marcu 1937 było: spotęgować czystkę! Jeżow przełożył to hasło w krwawą akcję. Pierwszą jego czynnością było oznajmienie staremu OGPU że jest niedbałe, przekupne i że nowa wzmocniona czystka musi się zacząć od samego OGPU.

18 marca 1937 Jeżow przemawiał na zebraniu wyższych urzędników OGPU w lokalu klubu znajdującego się w dobudówce do głównego gmachu Łubianki. Wszyscy bezpośredni pomocnicy Jagody i wszyscy szefowie wydziałów, z jednym wyjątkiem, byli już pod kluczem. Teraz miał spaść cios na wyższe dowództwo. Obszerny lokal klubu był zatłoczony przez weteranów Czeka. Wielu z nich służyło w tajnej policji prawie od 20-tu lat. Jeżow miał właśnie przemawiać po raz pierwszy w charakterze nowego szefa OGPU, czyli „Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych”, jak się odtąd miał ten urząd nazywać. Zmiana nastąpiła znów w celu pozbycia się okropnych skojarzeń. Był to dla Jeżowa wielki dzień. Miał zdemaskować wobec pozostałych przy życiu sztabowców OGPU samego wielkiego ich szefa, Jagodę.

Jeżow oświadczył na wstępie, że nie jest jego zadaniem udowadnianie błędów Jagody. Gdyby Jagoda był niezachwianym i uczciwym bolszewikiem, nie mógłby stracić zaufania Stalina. Korzenie błędów Jagody zapuściły głębiej. Tu Jeżow przerwał na chwilę, a wszyscy obecni wstrzymali oddech czując że zbliża się moment decydujący. Nastąpiło dramatyczne oświadczenie Jeżowa, że Jagoda służył w „Ochranie” carskiej tajnej policji od roku 1907. Zgromadzeni dygnitarze policyjni przyjęli tę wiadomość bez zmruczenia oka. W roku 1907 Jagoda miał 10 lat! Ale to jeszcze nie wszystko! — zawołał Jeżow. Niemcy wywłachali od razu prawdziwy charakter Jagody i uplasowali go w Czeka pod Dzierżyńskim już w pierwszych latach rewolucji. „Przez cały czas istnienia państwa sowieckiego — wołał Jeżow — Jagoda był szpiegiem niemieckim”. Audytorium ogarnął strach, a Jeżow wołał dalej: „Jagoda miał swoich szpiegów w każdej kluczowej komórce, a nawet

szefowie wydziałów OGPU, Mołchanow, Gorb, Gaj, Pauker, Wołowicz — wszyscy byli szpiegami!” — „Możę udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że Jagoda i jego nominaci byli pospolitymi złodziejami! Czy Jagoda nie mianował Lurji nadzorcą działu budowlanego OGPU? A któż jest Lurje jeśli nie łącznik pomiędzy Jagodą a służbą szpiegowską państw obcych?”.

W ciągu długich lat, według jego słów, Jagoda i Lurje oszukiwali partię i kraj. Budowali kanały, drogi i gmachy nadmiernym kosztem, ale w sprawozdaniach wykazywali bardzo niskie wydatki. „Jakże to mogli, te łotry, pytam was towarzysze, postępować w ten sposób? Jak, pytam się was?”.

Jeżow patrzył uporczywie w twarz swego osłupiałego z przerażenia audytorium i po chwili wypalił: „Bardzo prosto. Budżet Komisariatu Spraw Wewnętrznych nie podlega kontroli. To z tego budżetu, z budżetu jego własnej instytucji brał Jagoda pieniądze umożliwiające mu budować wystawne gmachy po nadzwyczajnie niskich cenach”.

„A dlaczego Jagoda i Lurje budowali te gmachy i drogi? Robili to w pogoni za popularnością, za rozgłosem i odznaczeniami. Ale czyż może zdrajca zadowolić się tym? Po co Jagoda ubiegał się o popularność? Potrzebował jej dlatego, że w rzeczywistości uprawiał politykę Fouché’go!”.

Kanonada sprzecznych oskarżeń oszołomiła audytorium. Jagoda miał służyć w Ochronie mając lat 10. Jagoda był złodziejem. Złodziejem szukającym rozgłosu. A teraz okazało się że ten pospolity szpieg, ten prowokator i złodziej chciał również współzawodniczyć ze znanym ministrem policji Napoleona!

„To jest bardzo poważna sprawa, towarzysze — ciągnął Jeżow. — Partia była zmuszona przez wszystkie te lata bronić się przed wzrostem fouché’izmu w naszych szeregach. To nie było rzeczą prostą. Tak, towarzysze — muszę wam powiedzieć i każdy z was powinien to zachować mocno w pamięci — nawet Feliks Edmundowicz Dzierżyński, osłabł w swej obronie rewolucji”.

Jeżow zakończył przemówienie konkluzją: potrzebne są czystki i czystki, coraz więcej czystek. Ja, Jeżow, nie będę miał wątpliwości, ani wahań, ani słabości. Jeżeli możliwe jest kwestionowanie roboty zmarłego Feliksa Dzierżyńskiego, dlaczego mieliśmy respektować reputację nawet najstarszych wypróbowanych czekistów?

Starsi członkowie komendy OGPU, weterani rewolucji bolszewickiej, czując że będą najbliższymi ofiarami, siedzieli bladzi i nieruchomi. Oklaskiwali Jeżowa jak gdyby ta sprawa wcale ich nie dotyczyła. Oklaskiwali, aby zademonstrować swoją gorliwość i oddanie. Kto wie? Przyznanie się w czas może jeszcze uratować

przed kulą w nasadę czaszki. Może jeszcze raz uda im się okupić życie przez wydanie swoich najbliższych przyjaciół?

W dalszym ciągu zebrania zabrał głos Artuzow, zrusyfikowany Szwajcar, o którym już wyżej była mowa, bolszewik od roku 1914. Wiedział o co tu idzie. Siwa bródka tego aktywnego starego czekisty drżała gdy powstał by mówić: „Towarzysze” — zaczął. — „W najtrudniejszym dla rewolucji czasie Lenin postawił na czele Czecha najlepszego bolszewika Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego. W jeszcze trudniejszej chwili nasz wielki Stalin mianował szefem Komisariatu Spraw Wewnętrznych swego najlepszego ucznia, Nikołaja Iwanowicza Jeżowa. Towarzysze, my bolszewicy, nauczyliśmy się być bezlitośni nie tylko względem naszych wrogów, ale również względem nas samych. Tak, Jagoda chciał grać rolę Fouché'go. Próbował obrócić OGPU przeciw partii. A my, z powodu swej ślepoty, uczestniczyliśmy w tej intrydze”.

Głos Artuzowa stał się mocniejszy, pewniejszy siebie, gdy ciągnął dalej:

„W 1930 roku, towarzysze, partia po raz pierwszy dostrzegła tę tendencję i, aby ją zahamować mianowała starego bolszewika Akułowa szefem OGPU. Co zrobiliśmy wówczas, my, by pomóc Akułowowi? Spotkaliśmy go z gwałtowną wrogością. Jagoda robił co mógł, aby robotę Akułowa utrudnić. A my, towarzysze, nie tylko podtrzymywaliśmy sabotaż Jagody, ale posunęliśmy się jeszcze dalej. Muszę otwarcie powiedzieć, że cała organizacja partyjna w OGPU z zaparciem sabotażowała Akułowa.

Nerwowo wzrok Artuzowa poszukiwał jakiegoś znaku aprobaty na małej, kanciastej twarzy Jeżowa. Artuzow czuł, że w tym jego manewrze, mającym odwrócić podejrzenie od niego, nadszedł moment kiedy trzeba podjąć główny atak.

„Zapytuję was kto stał wtedy na czele organizacji partyjnej w OGPU?”. — Nastąpiła krótka pauza, po czym Artuzow zawołał: „Ślucki!”.

Rzuciwszy w ten sposób swego kamrata lwom na pożarcie, Artuzow triumfalnie zeszedł z estrady.

Ślucki, podówczas szef zagranicznego działu OGPU powstał aby bronić siebie. Był też starym doświadczonym bolszewikiem. Wiedział równie dobrze o co tu chodzi. Rozpoczął swoją obronę raczej słabo, wyczuwając że karty były zawczasu ułożone przeciwko niemu.

„Artuzow starał się odmalować mnie jako najbliższego sprzymierzeńca Jagody. Odpowiadam, towarzysze: naturalnie, byłem sekretarzem organizacji partyjnej w OGPU. Ale kto z nas, Artuzow, czy ja, był członkiem kolegium OGPU? Czy mógł ktokolwiek, pytam was, być w tamtym czasie członkiem kolegium, naj-

wyższego organu OGPU, nie posiadając pełnego zaufania i aprobaty Jagody? Artuzow twierdzi, że nominację za granicę otrzymałem za moją „dobrą robotę” dla Jagody, jako sekretarz organizacji partyjnej, w uznaniu mego sabotażowania Akułowa. Według Artuzowa, wykorzystałem tę nominację dla ustanowienia kontaktu pomiędzy szpiegowską organizacją Jagody i jego pryncypałami za granicą. Ale ja stwierdzam, że mój przydział do służby zagranicznej nastąpił wskutek zdecydowanego nacisku ze strony Artuzowa, który przez długie lata utrzymywał najbardziej przyjacielskie stosunki z Jagodą”.

W tym miejscu Słucki wymierzył swój główny cios.

„Pytam się was, Artuzow, gdzie wyście mieszkali? Kto mieszkał naprzeciwko was? Bułanow? Czy nie jest on w pierwszej partii ostatnio aresztowanych? A kto mieszkał akurat nad wami, Artuzow? Ostrowski. On również został aresztowany. A kto mieszkał akurat pod wami, Artuzow? Jagoda! A teraz pytam was, towarzysze, kto w obecnych warunkach mógł mieszkać w jednym domu z Jagodą i nie być jego absolutnym zaufanym?”.

Stalin i Jeżow woleli uwierzyć obu, Artuzowowi i Słuckiemu — i w odpowiednim czasie sprzątnęli obydwóch.

Taki był charakter tej intensywnej, czyli Wielkiej Czystki, która rozpoczęła się w marcu 1937 r. Rząd sowiecki stał się wielkim domem wariatów. Tego rodzaju dyskusje, jak opisana wyżej, odbywały się w każdym wydziale OGPU, w każdej komórce partii bolszewickiej, w każdej fabryce, pułku wojskowym i kołchozie. Każdy był zdrajcą dopóki nie udowodnił, że było przeciwnie, przez wydanie kogoś innego jako zdrajcy. Rozważni ludzie starali się, by o nich zapomniano, lub by dano im możliwie kancelaryjną robotę — cokolwiek co pozbawiłoby ich znaczenia i usunęło z frontu sceny.

Nic nie znaczyły długie lata oddanej pracy dla partii. Nawet uroczyste zapewnienia lojalności wobec Stalina były nieprzydatne. Sam Stalin rzucił hasło: „Całe pokolenie musi być poświęcone”.

Powoli pogodziliśmy się z myślą, że starzy muszą odejść. Ale czystka była teraz w młodych. Pewnego wieczora owej wiosny mówiliśmy ze Słuckim o liczbie aresztów od marca. Szacowaliśmy na 350, może nawet 400 tysięcy. Słucki mówił z wielką goryczą.

„Wiecie, my jesteśmy naprawdę starzy. Oni wezmą mnie i was, jak wzięli innych. Należymy do pokolenia, które musi zginąć. Stalin powiedział, że całe przedrewolucyjne i wojenne pokolenia muszą być zniszczone jako kamień młyński u szyi rewolucji. Ale teraz oni już rozstrzelują młodych, 17 i 18-latków, chłopców i dziewczyny urodzonych w państwie sowieckim i nie znających



niczego więcej... I wielu z nich idzie na śmierć z okrzykiem: Niech żyje Trocki!”.

Jednym z najbardziej tragicznych przykładów tego rodzaju był los mego młodego przyjaciela Wołodi Fiszer. Wołodia urodził się w Saratowie, wstąpił w czasie wojny domowej do komсомоłu, a później uczęszczał na uniwersytet Swierdłowski. W okresie kolektywizacji był przydzielony do jednego z politycznych urzędów tzw. „Politatdzielów”, stworzonych przez OGPU do tej akcji. Fiszer przyjął ten przydział i pracował z zapałem w przekonaniu, że pomaga w zniszczeniu chciwych, bogatych chłopów, odmawiających żywności dla niedożywionych mieszkańców miast. Gdy jego robota po wsiach została zakończona, powrócił do OGPU. W jego rejestrze służbowym było napisane, że wykonał „świetną robotę” po wsiach. Zaczął szybko posuwać się w górę i w końcu został wysłany przez OGPU do Kopenhagi jako konsul sowiecki. Wszyscy urzędnicy konsularni rządu sowieckiego są urzędnikami OGPU. Był to pierwszy wyjazd Wołodi poza granice Rosji. Znalazł w Kopenhadze zupełnie inną atmosferę niż ta, którą dotąd oddychał. W niezliczonych wystawach sklepowych widział odzież do kupienia po śmiesznie niskiej, jak mu się wydawało, cenie. Wszędzie było pełno żywności i tak taniej, że Wołodi zdawało się, że znalazł się w krainie baśni.

„Wiecie — powiedział mi — przed wyjazdem do Kopenhagi nigdy nie widziałem pomarańczy. Pierwszym moim sprawunkiem była wytłaczanka do pomarańczy i każdego ranka wypijałem kwartę soku pomarańczowego, Patrzcie, jak się moje muskuły rozwinęły!”.

Roboty miał Wołodia w Kopenhadze niewiele. Jedynym naprawdę jego obowiązkiem jako konsula było mieć oko na sowiecką ambasadę — toteż był szczęśliwy i zadowolony w tym zdumiewająco rozkosznym świecie.

Nagle, w pierwszych dniach kwietnia 1937, otrzymał telegram wzywający go do Moskwy. Po przyjeździe udał się wprost ze stacji do OGPU by zobaczyć się ze Słuckim. Poszli razem na obiad i Słucki powiedział mu, że ma być wkrótce wysłany do Austrii lub Rumunii. Po obiedzie, pojechał w doskonałym nastroju do Bogorodska, wsi niedaleko Moskwy, by odwiedzić swego brata Ljowkę, który był przodownikiem na robocie budowlanej. Bratowa spotkała go ze łzami i z wieścią, że Ljowka w listopadzie ubiegłego roku został aresztowany. Szlochając opowiedziała Wołodi całą historię:

Ljowka pracował na budowie. Jego towarzysze-robotnicy bardzo go polubili i wybrali na prezesa swego klubu. Podczas przygotowań do święta 7 listopada, rocznicy rewolucji, Ljowka miał sobie powierzone udekorowanie lokalu klubu. Dostał najlepsze

jakie istniały, portrety sowieckich przywódców i zawiesił je na honorowym miejscu na ścianie. Wieczorem w dniu obchodu, gdy wszyscy robotnicy zebrali się, ktoś zauważył pomiędzy twarzami na obrazku twarz Karola Radka. Ljowka jej nie dostrzegł, ponieważ połowa twarzy Radka była przykryta gazetą. Sekretarz komórki partyjnej w klubie zdecydował, że Ljowka jest „szkodnikiem”, ponieważ wystawił na wpół ukrytą twarz osobnika ostatnio ogłoszonego za „wroga ludu”. Tejże nocy Ljowka został aresztowany.

Wołodia popędził z powrotem do Moskwy, aby zobaczyć się ze swoim przyjacielem Aleksandrowskim, zastępcą szefa moskiewskiego okręgu OGPU.

„Jaka jest przyczyna całego tego nonsensu? — pytał Wołodia. — Ljowka jest moim bratem, dobrym kolegą i pracownikiem. Jak może ktokolwiek nazywać go szkodnikiem?”.

„To nie jest tak proste jakby się wydawało, Wołodia — odpowiedział spokojnie Aleksandrowskij. — Sprawa podobizny Radka, choć jest dosyć poważna, nie jest jedynym zarzutem przeciwko Ljowce. Są tam inne poważne sprawy. Twój brat miał pokój w willi historyka Frydlanda, który został aresztowany”.

Przez chwilę Wołodia był oszołomiony. Ljowka ani razu w swym życiu nie zamienił słowa z Frydlandem, a pokój był mu przydzielony urzędowo przez władze po zaaresztowaniu Frydlanda. Wołodia wpadł w pasję.

„Ty łotrze! — wrzasnął — co do króćset diabłów usiłujesz we mnie wmówić? To ci nie ujdzie na sucho! Już się postaram, aby wyżej stojący od ciebie dowiedzieli się o tym”.

Wołodia był pewny, że jego pozycja była mocna. Wpadł z hałasem z biura Aleksandrowskiego zdecydowany uzyskać sprawiedliwość nie tylko dla swego brata, ale i dla wszystkich innych, którzy mogli być fałszywie oskarżeni przez tego obłąkanego urzędnika.

Wołodia zwrócił się najpierw do KC partii komunistycznej, ale nie został przyjęty. Próbował uzyskać audiencję u Jeżowa, ale bez skutku. Wciąż jeszcze nie tracił swej młodościowej wiary. Przypisywał zwłokę po prostu biurokratycznej bezwładności i nie wiadomo dlaczego doszedł do przekonania, że Ljowka będzie zwolniony na święto 1 maja.

30 kwietnia wieczorem jedliśmy razem obiad. Po raz pierwszy Wołodia był posępny. Ale w parę dni potem wpadł do mnie uśmiechnięty od ucha do ucha.

„Wiesz — zawołał — nareszcie wydobędę Ljowkę! Szapiro z OGPU wezwał mnie do siebie”. Szapiro był wówczas szefem specjalnego wydziału OGPU stworzonego przez Jeżowa i zwane-

go „Seksja spraw szczególnej wagi”. — „Cóżby innego mógł Szapiro chcieć ode mnie?” — zawołał i wybiegł, by stawić się o wyznaczonej godzinie.

Gdy tylko znalazł się przed Szapiro wyrecytował szybko i z pewnością siebie wszystkie fakty i okoliczności sprawy swego brata. Szapiro czekał aż Wołodia skończy, po czym wolno wstał z fotela za biurkiem.

„Ty, członek partii i urzędnik OGPU, ośmielasz się obrażać kolegę czekistę? OGPU nie aresztuje niewinnych ludzi!”.

Zanim Wołodia zdołał ochłonać Szapiro zmienił temat.

„A propos, czy będąc w Kopenhadze otrzymałeś zeszłego roku list od Mandelstamma, ówczesnego attaché Komisarjatu Spraw Zagranicznych?”.

Mandelstamm siedział już w więzieniu pod nieokreślonym jeszcze oskarżeniem. Zaskoczony tym pytaniem Wołodia zmieształ się:

„Mandelstamm? On jest mężem mojej poprzedniej żony. Znam go oczywiście, ale nie otrzymywałem od niego żadnej pocztę będąc w Danii”.

„Jesteś pewien?”.

„Tak, jestem pewien”.

„Dobrze — rzekł sucho Szapiro. — W razie potrzeby przyślemy po ciebie”.

Nadzieje Wołodi na uwolnienie brata po wyjściu z biura Szapiry było mocno zachwiane. Nie mógł spać tej nocy i nagle naderanem wyskoczył obydwoma nogami z łóżka.

„Dostałem wówczas list od Mandelstamma” — przemknęło mu przez głowę — i cała historia odtworzyła się w pamięci.

Przed kilku miesiącami kurier dyplomatyczny przywiózł pewnego dnia do Kopenhagi, jak zwykle, zapieczętowany worek z pocztą, i sięgnąwszy tym razem do kieszeni napomknął niedbale:

„Oto list, który wręczył mi Mandelstamm dla was, w chwili kiedy wychodziłem z Narkomindiełu”.

Wołodia raniutko wpadł do mnie i opowiedział tę całą historię.

„Co było w tym liście?” — spytałem ze strachem.

„Ach, treść była zupełnie niewinna. Coś na temat nowej posady i o wieczornych kursach, na które chodził do uniwersytetu. Nic więcej, przysięgam”.

„Wołodia — powiedziałem — Idź zaraz wprost do Szapiro i powiedz mu to wszystko co powiedziałeś mi przed chwilą.

Wołodia zrobił tak jak mu poradziłem.

„Towarzyszu Szapiro — rozpoczął swoje usprawiedliwienie — „pomyliłem się wczoraj. Otrzymałem list od Mandelstamma, ale zupełnie zapomniałem o nim”.

Zamiast odpowiedzi Szapiro otworzył szufladę swego biurka i pokazał Wołodi fotokopię listu Mandelstamma.

„Bardzo przepraszam — wyjąkał Wołodia — wczoraj zapomniałem o tym zupełnie”.

„Wczoraj skłamałeś — odrzekł Szapiro. — Możesz teraz iść”.

25 maja Wołodia Fiszer został aresztowany przez OGPU. Nie słyszałem więcej o nim. Został zgładzony, ponieważ ciążyły na nim dwa przestępstwa, do których się nie przyznał: otrzymał list od męża swojej byłej żony i jego brat wywiesił na ścianie klubu robotniczego w Bogorodsku połowę twarzy Karola Radka.

W ciągu Wielkiej Czystki w Rosji sowieckiej takich wypadków były liczne tysiące.

W komorach OGPU słowo „wina” straciło wszelkie znaczenie. Powód aresztowania nie miał już żadnego związku z podniesionymi przeciwko aresztowanemu zarzutami.

Najlepszym tego przykładem była sprawa samego Jagody. Pomędzy wieloma fantastycznymi oskarżeniami tego szefa OGPU podczas jego procesu w marcu 1938 r., najbardziej absurdalne w swej istocie było oskarżenie o usiłowanie otrucia Stalina, Jeżowa i innych członków Politbiura.

W ciągu długich lat obowiązkiem Jagody było karmienie najwyższych dygnitarzy Związku Sowieckiego, łącznie ze Stalinem. Specjalny wydział OGPU, podległy bezpośrednio Jagodzie, nadzorował całą dostawę żywności ze specjalnie wybranych kolektywnych gospodarstw. Produkty zbierane były tam pod okiem agentów Jagody i podawane sowieckim dostojnikom przez innych jego agentów. Sadzenie, zbieranie, transport, gotowanie i podawanie — wszystkie te czynności wykonywali specjaliści OGPU, odpowiedzialni osobiście i bezpośrednio przed Jagodą. Każdy z nich odpowiadał głową, ale Jagoda niósł sam jeden na sobie tę niszczącą nerwy odpowiedzialność, przez długie lata. Stalin, który pod wielu względami zawdzięczał życie lojalnej czujności Jagody, jadł tylko to co mu personel szefa OGPU przygotował.

Podczas procesu zostało „dowiedzione” że Jagoda stał na czele ogromnego spisku i zmusił do uczestnictwa w nim nawet weteranów — lekarzy kremłowskich. Ale to nie wszystko. „Dowiedzione” też zostało, że Jagoda, ten arcywładca Kremla, niezadowolony z konwencjonalnych sposobów trucia, planował zatruć Jeżowa powoli, za pomocą rozpylania w jego biurze trujących

gazów. Wszystkie te wstrząsające „fakty” wyszły na jaw na przewodzie sądowym i wszystkie zostały przez Jagodę jego zeznaniami potwierdzone. Są to rzeczy znane i zaprotokołowane. Nikt w Rosji nie odważył się napomknąć o fakcie, że przez cały czas owego rze-komego spisku Jagoda był zupełnym panem kremłowskiej kuchni.

Były, oczywiście, podjęte przeciwko niemu i inne oskarżenia. Okazało się, że oprócz sprzeniewierzenia pieniędzy OGPU przeznaczonych na budowę, odbierał nawet chleb od ust wład-ców sowieckich, sprzedając żywność kremłowską obcym i chowa-jąc zysk do kieszeni. Według zeznań sądowych używał tych pie-niędzy na urządzenie rozrzućnych orgii.

Jak wiele innych „faktów” ujawnionych podczas pokazo-wych procesów w Moskwie, ta historia z Jagodą kradnącym chleb i mięso ze stołu Stalina, mieściła w sobie w zasadzie okru-szynę prawdy. Jagoda rzeczywiście zwykł był zamawiać więcej żywności niż to było potrzeba dla kremłowskich dygnitarzy. Tę nadwyżkę rozdzielał pomiędzy niedożywionych towarzyszy z OGPU.

W ciągu kilku lat wyżsi urzędnicy OGPU otrzymywali od Jagody tajne paczki z żywnością w uzupełnieniu normalnych racji żywnościowych. Niektórzy oficerowie wywiadu wojskowego sarkali na to i Jagoda rozciągnął na pewien czas na nas swoją jał-mużnę, tak że i ja uczestniczyłem w tych okrucach z kremłow-skiego stołu. Gdy zbadano rachunki Jagody okazało się, że na przykład Mołotow był obciążony co najmniej dziesięciokrotnie większą ilością cukru, niż by mógł skonsumować.

Prócz oskarżenia Jagody o wymyślny spisek dla otrucia ludzi, których mógł on otruć jednym skinieniem ręki, oraz o sprzeda-wanie kremłowskiej żywności dla osobistego zysku, trybunał sta-linowski zanotował również, że rozdawał on na zewnątrz skra-dzioną żywność i na tej podstawie oskarżył go o kupowanie sobie popularności dla intryg à la Fouché.

Nie po to opowiadałem te fantastyczne rzeczy, a raczej kosz-mary, aby zabawić czytelnika. Chcę tylko udowodnić mu swoje twierdzenie, że w czasie stalinowskiej czystki wszelkie pojęcie o winie zostało zagubione. Powody aresztowania kogoś nie miały związku z oskarżeniem wniesionym przeciwko niemu — i nikt nawet nie oczekiwał aby one miały mieć ten związek. Nikt w ogóle tego nie żądał. Prawda stała się czymś zupełnie niewłaściwym, nie-stosownym. Gdy mówię, że rząd sowiecki stał się olbrzymim do-mem wariatów, rozumiem to dosłownie. Amerykanie śmieją się gdy wyliczam im niektóre z tych absurdalnych rzeczy, które się wydarzyły — a mógłbym całe tomy nimi zapełnić — ale nam było wtedy nie do śmiechu. To nie jest zabawne kiedy nasi długoletni



przyjaciele i koledzy znikają po nocach i umierają dokoła nas. Przypomnijcie sobie, proszę, że byłem mieszkańcem tego olbrzymiego domu wariatów.

Wartość „przyznania się do winy” wydostawanego przez OGPU doskonale ilustruje sprawa pewnego socjalisty austriackiego, który będąc wyjęty spod prawa we własnym kraju, znalazł azyl w kraju sowieckim. W roku 1935 został on aresztowany w Leningradzie. Szef leningradzkiego OGPU Zakowskij wydał od niego „przyznanie się” do pracy w wiedeńskiej policji. Na tej podstawie oskarżono go o szpiegostwo dla Austrii. Jakąs okreśną drogą uwięziony zdołał przesłać list do Kalinina, formalnej głowy Związku Sowieckiego. Sprawa dostała się do Słuckiego, który pewnego dnia zadzwonił do mnie.

„Słuchaj no, Walter, jest tu u mnie sprawa pewnego członka austriackiego Schutzbundu, w której nie mogę się zorientować. Mógłbyś może mi pomóc”.

„Przyslij mi akta, zobaczę co będę mógł zrobić”.

Wkrótce posłaniec Słuckiego przyniósł mi akta. Najpierw był tam raport Zakowskiego do jego przełożonych w Moskwie o tym jak uzyskał przyznanie się do winy owego Austriaka. Był to dość zwykły sposób. Więzień nie okazał większego oporu. Ale nie byłem tym wyznaniem przekonany. Przeglądając dalsze papiery natrafiłem na kwestionariusz wypełniany z reguły przez każdego cudzoziemca przy wjeździe do Związku Sowieckiego. Kwestionariusz zawierał całą biografię oskarżonego, między innymi opowiadanie o tym, jak przed wojną wstąpił do austriackiej partii socjalistycznej i odbywał służbę wojskową na froncie podczas wojny. Po wojnie, stosując się do instrukcji swojej partii, która rządziła wtedy w Wiedniu, wstąpił do komunalnej policji miejskiej. Z akt wynikało także że był dowódcą batalionu Schutzbundu, socjalistycznej Ligi Obrony, w czasie walk z faszystowską Heimwehrą w lutym 1934 roku. Zadzwoniłem do Słuckiego i wyjaśniłem mu to wszystko.

„Ten austriacki socjalista służył w policji z polecenia swojej partii, tak jak ty tutaj służysz. Poślę ci raport o tym zaraz”.

„Nie, nie — zaoponował szybko Słucki — nie przysyłaj mi raportu. Zajdź do mnie sam”.

W biurze jego ponownie wytłumaczyłem mu, że socjalista austriacki nie może być dziś oskarżony o szpiegostwo jedynie na tej podstawie, że był policjantem w czasie socjalistycznych rządów.

Słucki potakiwał. „Tak, wiem. Zakowskij wydobył od niego zeznanie, że był socjalistycznym policjantem w Wiedniu. To też jest

jakieś przyznanie się! Ale nie myśl nawet o pisaniu raportu o tym. W obecnych czasach nie należy niczego pisać”.

Mimo swego braku skrupułów Słucki wstawił się u Kalinina za aresztowanym socjalistą austriackim.

Postępowanie Zakowskiego było zgodne z generalną linią polityki OGPU. Przyznawania się tego rodzaju, jak w danej sprawie, były głównym pokarmem, którym OGPU żywiło się. Mój socjalista austriacki nie był ani więcej ani mniej winnym niż setki tysięcy innych, którzy nie mieli tylko jego szczęścia.

W tym mniej więcej czasie miałem rewelacyjną rozmowę z Kiedrowym, jednym z najzdolniejszych urzędników śledczych OGPU. Spotkałem go w restauracji OGPU w Moskwie i w rozmowie potrąciłem o sprawę gen. Primakowa, jedną z najważniejszych, którymi się wtedy zajmował. W roku 1934 gen. Primakow, członek wyższego dowództwa armii czerwonej, został aresztowany i przekazany Kiedrowowi dla zbadania. Kiedrow zabrał się do roboty nad tą swoją wybitną ofiarą, stosując wszystkie zwykłe sztuczki. Wzdychał opowiadając mi o tym.

„Wiecie co się wydarzyło? — mówił. — Akurat kiedy zaczynał załamywać się i wiedzieliśmy, że całkowite jego przyznanie się jest już tylko kwestią dni lub tygodnia, nagle został zwolniony na żądanie Woroszyłowa”.

Na tym przykładzie również widoczny jest brak związku pomiędzy oskarżeniem a przyczyną więzienia — nawet gdy więzień jest już na progu do „przyznania się” do wszystkiego. Za granicą dyskutuje się problem czy wymuszone przez OGPU przyznania się są prawdziwe, czy nie. W kole wewnętrznym OGPU nigdy takie kwestie nie powstały. To nie są rzeczy o które w śledztwach chodzi.

Gen. Primakow, wyrwany z rąk OGPU w przededniu „przyznania się” służył swemu krajowi przez trzy lata, a 12 czerwca 1937 razem z marszałkiem Tuchaczewskim i siedmiu innymi starszymi generałami został rozstrzelany — każdy zresztą z innych powodów.

Jedyny raz w życiu, w sierpniu 1935 roku, przesłuchiwałem politycznego więźnia. Był to Włodzimierz Dieduszok, skazany w 1932 roku na 10 lat obozu koncentracyjnego na Wyspach Sowieckich. Był aresztowany w wyniku skandalu powstałego na tle powiązania szefa naszego wywiadu w Wiedniu z niemieckim wywiadem wojskowym. Sam Dieduszok, którego znałem, był zupełnie niewinny, ale nasz szef zbyt poważną figurą, aby jego sprawa mogła być schowana pod sukno, i Dieduszok miał zostać kozłem ofiarnym. Był to Ukrainiec, który przystąpił do partii w czasie wojny domowej i przez przeszło dziesięć lat służył w wy-

do mnie wiadomość o tych projektowanych procesach zagranicznych. Byłem w biurze Słuckiego gdy zadzwonił telefon i nastąpiła długa jego rozmowa z kimś kogo nie wymienił. Powiesiwszy słuchawkę Słucki powiedział: „Jeżow i Stalin zdają się sądzić, że mogą aresztować ludzi w Pradze równie łatwo jak w Moskwie!”.

„Co masz na myśli?” — spytałem.

„Słuchaj, Krywickij, oto jak sprawy stoją: — odrzekł. — Stalin żąda zrobienia procesu szpiegów trockistowskich w Europie. Mogłoby to dać poważne skutki, gdyby udało się pomyślnie przeprowadzić. Praska policja idzie nam na rękę i zaaresztuje Grylewicza. Ale nie możemy przecież podporządkować sobie Czechów tak jak naszą własną ludność. Wszystko co mam zrobić tu, w Moskwie, to otworzyć bramy Lubianki i wepchnąć tam tyle ludzi ile chcę. Ale w Pradze są jeszcze niektórzy z tych czeskich legionistów, co zwalczali nas w roku 1918. Oni wciąż sabotują naszą robotę.

Antoni Grylewicz, były komunista niemiecki i członek pruskiego sejmu, który później stał się trockistą, uszedł do Czechosłowacji po dojściu Hitlera do władzy. Aresztowanie go w Pradze, przewidziane przez Słuckiego, nastąpiło natychmiast po egzekucji generałów armii czerwonej, 12 czerwca 1937. Dowiedziałem się z innego źródła o dalszym przebiegu tej moskiewskiej intrygi.

Czeski detektyw okazał Grylewiczowi w dniu aresztowania walizę, zostawioną przed kilku miesiącami w domu przyjaciela, której nie otwierał od października 1936. Walizka zawierała radykalne broszury, korespondencję w sprawach interesów i inne nieszkodliwe materiały. Nic z tego nie mogło być potraktowane jako wykroczenie przeciwko czeskiemu prawu, nie mówiąc już o dowodzie wojskowego czy innego szpiegostwa, lub czegoś podobnego — co dawał do zrozumienia detektyw pokazując mu walizę. Ale wieczorem pojawił się inny urzędnik śledczy, który natychmiast wciągnął Grylewicza do rozmowy o moskiewskich procesach. Dając w ten sposób do zrozumienia o co właściwie chodzi, okazał Grylewiczowi trzy fałszywe paszporty, negatyw filmu zawierającego niemiecki plan okupacji Sudetów, datowany 17 lutego 1937 i notatkę napisaną niezwykle charakterem pisma. Zanim Grylewicz mógł przyjrzeć się tej notatce urzędnik śledczy wyrwał mu ją z rąk i zawołał:

„Przypuszczam, że pan tego nie pisał, nieprawdaż?”.

Notatka zawierała instrukcję jak należy używać sympatycznego atramentu. Wszystko to miało być znalezione — powiedziano Grylewiczowi — w jego walizie. Na usilne żądanie Grylewicza zostali zawezwani zwykli czescy policjanci i w ich obec-

ności stwierdził on, które rzeczy były jego, a które podrzucone. O północy był pod kluczem.

15 lipca został przeniesiony do innego więzienia. W tydzień potem został zbadany uprzejmie przez czeskiego sędziego śledczego, który dał mu do zrozumienia, że moskiewskie OGPU ma coś przeciwko niemu i zdaje się posiadać wśród czeskiej policji gorliwych przyjaciół.

W połowie listopada Grylewicz został zwolniony po obaleniu punkt po punkcie wszystkich wysuniętych przeciw niemu zarzutów i po udowodnieniu, że każdy świstek oskarżających go zeznań był sfałszowany. Cała ta machinacja, na którą natknąłem się w Moskwie, miała na celu udowodnić współpracę czeskich trockistów z Hitlerem przeciwko rządowi w Pradze, lecz nie udało się. Gdyby się powiodła, byłby uczyniony wielki krok naprzód w przekonaniu europejskich sceptyków, że zeznania i dowody w moskiewskich procesach są autentyczne. OGPU planowało proces „trockistowsko-faszystowski” nawet w New Yorku, ale dopóki cała historia zginiecia Julietty Stuart Paynth, jak również szczegóły afery Robinson-Rubens nie zostaną odgrzebane, nie można wiedzieć dokładnie jak daleko zaszły te przygotowania.

Bezspornie zostało ustalone tylko tyle, że któregoś dnia pomiędzy końcem maja a pierwszymi dniami czerwca 1937 roku, w czasie historii z Grylewiczem w Pradze, Juliette Stuart Paynth, niegdyś wybitna działaczka amerykańskiej partii komunistycznej, wyszła ze swego pokoju w klubie Stowarzyszenia Kobiet przy 353 West 57 Street w New Yorku. Szafę jej, książki i inne ruchomości zastano później w stanie który wskazywał, że miała wrócić tego samego dnia. Ale nigdy potem już o niej nie słyszano.

„Donald Robinson”, alias Rubens, był aresztowany w Moskwie dnia 2 grudnia 1937 roku, a jego żona, obywatelka amerykańska, wkrótce potem, za wjazd do Rosji za fałszywym paszportem. Robinson służył przez długie lata jako oficer sowieckiego wywiadu wojskowego w Stanach Zjednoczonych i innych krajach. Po zaaresztowaniu wszelki słuch o nim zaginął. Żona jego, po niedawnym zwolnieniu przez władze sowieckie napisała list do swej córki w Stanach Zjednoczonych, w którym dawała do zrozumienia, że nie spodziewa się już spotkać swego męża przy życiu. Mimo że była obywatelką amerykańską nie dostała pozwolenia na wyjazd ze Związku Sowieckiego.

Ale najbardziej wyraźną aluzję, że Moskwa poważnie przygotowywała proces szpiegowski amerykańskich wrogów Stalina, usłyszałem od Śluckiego w uwadze uczynionej w kilka dni po jego wzmiance o Grylewiczu.

Mówił mi wówczas o moim pomocniku przez pewien czas w II sekcji, Walentynie Markinie, który potem stał się szefem OGPU w Stanach Zjednoczonych. W roku 1934 żona Markina w Moskwie dostała wiadomość, że mąż jej został zabity przez gangsterów w nowojorskim nocnym klubie i że historia o tym została mnie przekazana. Ale w maju 1937 Słucki powiedział mi: „Wiedzie, okazało się, że ten wasz przyjaciel Walentyn Markin, który został trzy lata temu zabity w New Yorku, był trockistą i zapełnił aparat OGPU w Ameryce trockistami”.

W naszych kołach tego rodzaju uwagi nigdy nie padają jako okruczości jakichś błahych plotek, zwłaszcza z ust szefa wydziału zagranicznego OGPU. W związku z innymi przygotowaniami w Moskwie, o których mówił, wzmianka o „trockistach” w amerykańskim wydziale OGPU znaczyła, że coś się fabrykowało w Stanach Zjednoczonych zanim jeszcze wynikły afery Payntha i Robinsona. W języku urzędowym sowieckim słowo „trockiści” używa się jako połażanka w stosunku do wszystkich oponentów Stalina.

Trzeba pamiętać, że prawdziwi agenci OGPU w Stanach Zjednoczonych byli rzeczywiście zajęci szpiegostwem. Obok wojskowego szpiegostwa mieli stale na oku anty-stalinistów, zwłaszcza radykałów i b. komunistów. Znaczna ilość elementów do spreparowania kolosalnego pokazowego procesu na wzór moskiewskich już istniała. Moskwa widocznie miała nadzieję opłacać niektórych swoich prawdziwych agentów wspólnie z całkiem niewinnymi anty-stalinowcami zwabionymi w kompromitującą sytuację. Jednakże zdaje mi się, że wymyślny plan OGPU, by za pomocą zaaranżowania procesu „trockistów” w Ameryce dowieść, że amerykańscy radykali, przeciwni Stalinowi, są agentami hitlerowskiego Gestapo, całkiem się nie udał. Nic nie wynikło z tego w Stanach Zjednoczonych i, pomimo prawdopodobnego porwania p. Payntha i tajemniczego aresztowania „Robinsona” — również nic w Związku Sowieckim.

Nie miała także powodzenia próba OGPU połączenia Rykowa i Bucharina, dwóch wybitnych działaczy bolszewickich, z rosyjskimi mieńszewickimi socjal-demokratami na emigracji w Paryżu. W tym celu OGPU porwało w Hiszpanii Marka Reina, syna Rafała Abramowicza, emigracyjnego przywódcy mieńszewików. Rein opuścił Rosję jako dziecko i wychował się w Berlinie i Paryżu. W przeciwieństwie do swego ojca sympatyzował z komunistami i Związkiem Sowieckim. Walczył w szeregach republikańskich w Hiszpanii i starał się o połączenie partii socjalistycznej z komunistyczną.



Gdy w Moskwie dowiedziano się, że syn Abramowicza jest na terytorium uważanym za własne, postanowiono wykorzystać go w pokazowym procesie, mającym powiązać Bucharina i Rykova z emigracyjnymi wrogami sowieckiego reżymu, 9 kwietnia 1937 OGPU wywabiło Reina z hotelu Continental w Barcelonie i więcej go już nie widziano. Ojciec jego natychmiast wyruszył do Hiszpanii i poszukiwał syna blisko miesiąc, lecz bezskutecznie. Żaden z członków rządu republikańskiego nie mógł naprowadzić go na wątek tajemnicy. Jednakże, cokolwiek OGPU mogło zrobić z Reinem, nie wydostało od niego zeznania potwierdzającego związek ojca z bolszewickimi oponentami Stalina. Było to drugie pokrzyżowanie planów OGPU w stosunku do Abramowicza. W toku poprzedniego procesu pokazowego w 1931 roku zeznawano, że Abramowicz odbył tajemną wycieczkę do Rosji w celu organizowania spisku przeciwko rządowi sowieckiemu. Jednakże zaledwie ta bomba wybuchła, a już zostało ponad wszelką wątpliwość ustalone, że w tym czasie, kiedy rzekomo Abramowicz miał być w Rosji, faktycznie znajdował się w Amsterdamie jako jeden z głównych mówców na kongresie II Międzynarodówki socjalistycznej. Kompletnie fiasco imprezy OGPU zostało przypiętowane przez prasę europejską, w której ukazały się zdjęcia Abramowicza na amsterdamskim kongresie w towarzystwie licznych międzynarodowo znanych działaczy socjalistycznych i Partii Pracy. Zanim ta kłopotliwa sprawa została ujawniona, miałem okazję rozmawiania z zastępcą szefa OGPU. W roku 1931 rozmawialiśmy jeszcze otwarcie, nazywając rzeczy po imieniu.

„Ależ narobiliście sami sobie bigosu — powiedziałem. — Któż uwierzy, że Abramowicz był w Moskwie?”

„Wiem to równie dobrze jak i wy — odpowiedział — ale co mamy robić? Rządowi potrzebny jest proces, a my musimy przygotować do niego wszystko co trzeba”.

W kulminacyjnym punkcie Wielkiej Czystki, terroryzującej całą Rosję, Stalin wygłosił przemówienie o więzi łączącej przywódców bolszewickich z narodem rosyjskim. Posłyszał gdzieś o greckiej legendzie Anteusza i użył jej dla ilustracji. Anteusz był synem Posejdona, boga morza, i Gai, bogini ziemi i czuł się mocno przywiązany do matki, która go zrodziła, karmiła i wychowywała. Nie było takiego herosa, którego by Anteusz nie zwyciężył.

— Jakaż była tajemnica jego siły? — pytał Stalin. — Źródłem jej było to, że w każdej walce z wrogiem, w której groziło mu niebezpieczeństwo, przywierał do ziemi-matki, która go zrodziła i wykarmiła, i w ten sposób nabierał nowej mocy. Ale groziło mu zawsze niebezpieczeństwo oderwania od ziemi. To

był jego słaby punkt. Nieprzyjaciele dowiedzieli się o tej jego bolączce. Zjawił się przeciwnik, który wykorzystał ją i pokonał go. Był to Herkules. Ale jak Herkules osiągnął to zwycięstwo? Oderwał Anteusza od ziemi, wzniosł go w powietrze, pozbawił go możliwości przywarcia do ziemi i w ten sposób zdusił go w powietrzu”.

„Sądzę, że bolszewicy przypominają nam Anteusza. Jak on, są oni również silni przez to, że są przywiązani do swej matki, do mas które ich zrodziły, wykarmiły, wyhodowały. I tak długo jak długo utrzymują oni związek z matką, z narodem, będą mieć wszelkie szanse by być niezwyciężonymi”.

„Taka jest tajemnica niepokonanego charakteru bolszewickiego przywództwa”.

Troszcząc się przesadnie o utrzymanie kontaktu z masami ludzkimi, Stalin zatrudniał specjalny personel liczący około stu osób, zwerbowany spośród najwyższych urzędników sowieckich i ich żon. Jednego dnia jeżdżą oni moskiewskimi tramwajami przysłuchując się rozmowom, innego dnia stoją w długich ogonkach i notują czy gospodynie są zadowolone, czy też narzekają. Innym znów razem jadą pociągami do Kijowa, Odessy, na Ural. Wszędzie ci wybrani obserwatorzy starają się utrzymać związek z matką, to znaczy z masami ludności. Stalin chciał, aby — jak się wyraził — „patrzyli oni w oczy narodowi rosyjskiemu”.

Łączność Stalina z masami utrzymywana była również za pomocą prawdziwej armii szpiegów OGPU i prowokatorów, wyspecjalizowanych w aresztowaniu zwykłych obywateli za przypadkowe odezwanie się przeciwko reżymowi. Ten system policyjnych rządów, udoskonalony w Rosji, został przyswojony też przez nazistowskie Niemcy. W mowie swej w Reichstagu w dniu 1 września 1939 Hitler oświadczył, że w czasie wojny będzie uważał swoich podwładnych za odpowiedzialnych za nastroje ludności w każdej prowincji, na każdej ulicy i w każdym niemieckim domu. Różnica polega na tym jednak, że około 1937 roku Stalin stracił zaufanie nawet do swej szpiegowskiej armii. Jak widzieliśmy, ustanowił on organizację szpiegów nad szpiegami. A pewnego dnia, według opowiadania wyższych urzędników, przestał ufać komukolwiek i stał się własnym Czekistą. Powziąwszy podejrzenie na jednego ze swoich urzędników, z powodu jakichś jego czynności, zaczął go śledzić i zaobserwował, że ten osobnik wykonuje szczególne operacje wewnątrz jego biblioteki. Według opowiadania, które do nas doszło, okazało się w końcu, że ten urzędnik był związany z pewną grupą kremłowskiej straży, knującą spisek w celu zamordowania nie tylko Stalina, ale i całego Politbiura.

Wysoki urzędnik OGPU opowiadając mi o tym zaznaczył, że niewiedza o tym spisku była dla nich niezmiernie kłopotliwa. Poszło w kurs powiedzonko, że „najlepszym Czekistą jest sam Stalin”.

Ów spiszek stał się pretekstem do wielkiej fali aresztów nie tylko w Kremlu, ale w całym kraju. Jednakże ten rzeczywisty zamach na życie Stalina nigdy nie był wspomniany w żadnym z owych dramatycznych „pryznawań się do winy” podczas moskiewskich pokazowych procesów. Kursowały setki fantastycznych powiastek o spiskach na życie Stalina, ale ten rzeczywisty spiszek, wykryty przez samego Stalina, nigdy nie doczekał się publikacji.

W roku 1935 miałem rzadką okazję zaobserwowania jak Stalin utrzymuje swoje miłosne związki z masami ludności. Szukałem dla siebie letniska i moja dość naiwna przyjaciółka, Walia, zasugerowała abym pojechał do Metiszje.

„Szef OGPU w Metiszje jest moim przyjacielem. On ci pomoże znaleźć odpowiednie miejsce”.

Pojechaliśmy do Metiszje odległego około godziny drogi od Moskwy. Ujrzelśmy tam piękny dom o 12-u pokojach, w którym mieszkał szef OGPU i obszerne biuro, w którym liczny personel Ogepistów pracował intensywnie. Gospodarz był bardzo uprzejmy i znalazł mi właśnie takie letnisko, jakiego potrzebowałem.

Wieczorem powróciliśmy do niego na obiad i w czasie jedzenia wyłuszczył nam, jaką ważną jest tu osobą, jaką doskonałą maszyną OGPU dysponuje i w ogóle dał do zrozumienia, że jest czymś w rodzaju młodszego Jagody. Nie mogłem zrozumieć po co potrzebny jest w tym spokojnym letnisku taki aparat OGPU, tak dalece nieproporcjonalny do rozmiarów tej miejscowości.

„Ale po co tu ten ogromny aparat? — spytałem. — Do czego on jest tu potrzebny?”.

„Czy nie wiecie, towarzyszu Krywickij, że tu, niedaleko, jest fabryka lokomotyw, zatrudniająca kilka tysięcy robotników”.

Nasz gospodarz oczekiwał widocznie, że powiem na to: „Ach tak, to wyjaśnia całą sprawę. Gdzie są robotnicy, tam oczywiście jest robota dla OGPU”. Ale ja milczałem.

Jednakże Walia podchwyciła koniec naszej rozmowy. „Naturalnie — powiedziała — obecnie robotnicy bardziej narzekają niż ktokolwiek inny”...

Takie było OGPU w roku 1935. W dwa lata później, gdy już Jeżow stał na jego czele, spoglądaliśmy wstecz, na sytuację w 1935 niemal z tęsknotą. Nikt w historii nie zrobił dla swego władcy tego, co Jeżow zrobił dla Stalina.

Częściowa lista ofiar Jeżowa zawiera prawie wszystkich 80 członków Najwyższej Rady Wojennej utworzonej przez Stalina w roku 1934; większość KC i Komisji Kontrolnej; większość członków Komitetu Wykonawczego Sowietów, Rady Komisarzy Ludowych, Rady Pracy i Obrony większość przywódców Kominternu; wszystkich szefów i ich zastępców OGPU; gromadę ambasadorów i dyplomatów; głowy wszystkich dzielnicowych i autonomicznych republik Związku Sowieckiego; 35 tysięcy członków korpusu oficerskiego; prawie cały personel „Prawdy” i „Izwestij”; wielką liczbę pisarzy, muzyków i dyrektorów teatrów; wreszcie większość przywódców Komsomołu, śmietanki tego pokolenia, od którego oczekiwano największego dla Stalina poszanowania.

Ogólny plan działalności Jeżowa w ciągu 26 miesięcy kiedy stał on na czele OGPU był tak potworny, że musiał za niego zapłacić głową. Strach ogarnął wszystkich do tego stopnia, że Stalin, by uchronić siebie, musiał sprzątnąć swego kata. Mimo płaszczenia się i rzeczywistego oddania Stalinowi, Jeżow musiał zapłacić za swoją wszechwładną pozycję w Rosji stalinowskiej. 8 grudnia 1938 nagły komunikat urzędowy ogłosił, że Jeżow został zwolniony ze stanowiska komisarza Spraw Wewnętrznych i zastąpiony przez Ławrentija Berię, krajana Stalina. Zgodnie z ustalonym porządkiem rzeczy Jeżow pozostał komisarzem Transportu Wodnego, lecz faktycznie zniknął kompletnie i ostatecznie.

Ze wszystkich czystek Stalina najstraszniejsza była czystka dzieci. Gdyby było możliwe zapomnieć wszystkie inne, wymazanie tej czystki z pamięci przerażonej ludzkości jest nie do pomysłenia.

W pierwszych dniach października 1935 OGPU złożyło Biuru Politycznemu raport o przestępczości wśród małoletnich. Egzekucje, deportacje i głód w latach 1932-33 stały się przyczyną nowej fali „bezprizornych”, bezdomnych sierot, wałęsających się po wsiach. OGPU zbadało ogrom dziecinnej tragedii i skandalicznych warunków, w których te dzieci żyły. Fala przestępstw była popełniana przez małe dzieci, niszczyły je choroby, a deprawacja seksualna była prawie powszechna. Dla Stalina jeszcze bardziej gorszące było to, że jak ujawnił raport, tysiące dzieci chcąc wymknąć się ze swego ciężkiego życia, przystało do sekt religijnych.

Stalin postanowił działać. Rzecz dziwna, OGPU zawsze miało ambicję wpływać na wychowanie dzieci i rzeczywiście potrafiło wyratować garstkę spośród milionów porzuconych bez opieki w czasie rewolucji bolszewickiej i wojny domowej. Ale wobec nowej fali sierot Stalin postanowił wziąć inny kurs.

08 8 kwietnia 1935 *Izwiestija* opublikowały dekret rządu podpisany przez prezydenta Kalinina i premiera Mołotowa i noszący tytuł: „Środki zwalczania przestępczości wśród małoletnich”. Dekret rozciągał karę śmierci na dzieci ponad lat 12 za przestępstwa w granicach od drobnej kradzieży do zdrady stanu. Uzbrojone w tę straszną broń OGPU spędzało do kupy setki tysięcy dzieci i skierowywało je do obozów koncentracyjnych, do komend pracy, a w wielu wypadkach — na śmierć.

Akurat w czasie kiedy działały się te okropności Stalin wynurzył się ze swego na wpół klasztornego odsobnienia i zaczął pozować przed aparatami fotograficznymi jako ojciec chrzestny małych dzieci w Rosji. Zobaczyliśmy po raz pierwszy Stalina wśród dzieci na ich placach zabaw. Pokazywano go na tych fotografiach prowadzącego za rękę 12-letnią dziewczynkę na defiladę na Placu Czerwonym i pożyczającego od marszałka Woroszyłowa dla niej pieniądze. Kiedy indziej przyjmował prezenty od ładnego dziecka, prymusa w zbieraniu bawelny w swoim powiecie, przybyłego z dalekiego Turkiestanu by odebrać od „ojca ludów” order Lenina, złoty zegarek i pocałunek. Nie ironizuję pisząc to, lecz stwierdzam fakty. Ta komedia była rozmyślnie odegrana w ciągu najstrasznějších miesięcy, kiedy OGPU, niszczyło 12, 13 i 14-letnie dzieci, oskarżając je „o zdradę stanu, szpiegostwo, trockizm, faszyzm, służbę dla Hitlera lub Mikado”.

Dopiero w lutym 1939 roku uzyskał świat pewne pojęcie o tej najstrasznější z wszystkich czystce. Nastął wtedy czas — jak to zwykle bywało — kiedy trzeba było znaleźć kilka kozłów ofiarnych — pomniejszych urzędników OGPU, których jedyną winą było to, że słuchali rozkazów. Wybrano w tym celu prokuratora OGPU i kilku jego pomocników w Lenińsku-Kuzniecku. Z sali sądowej w tym dalekim mieście na Uralu dowiedział się świat zewnętrzny, że 10-letni chłopcy byli torturowani dla wydobycia przyznania się do „faszystowskich terrorystycznych czynów”. Świat usłyszał, że 160 dzieci szkolnych wpakowano do cel razem z pospolitymi przestępcami, gdzie spały bez pościeli i były poddawane nieustannym krzyżowym badaniom w nocy, w ciągu 8 miesięcy. Torturujący te dzieci dostali kary więzienia od 5 do 10 lat. Ale dekret z 8 kwietnia nigdy nie został uchylony i liczba jego ofiar-dzieci, tak samo torturowanych lub zgładzanych w krótkiej drodze od roku 1935, nigdy nie była i nie może być ustalona. Wszystko co oficjalnie wiadomo — to tylko tyle, że w Lenińsku-Kuzniecku, który jest drobnym punkcikiem na mapie ZSSR, 160 dzieci było poddanych przez OGPU średniowiecznym torturom według prawa wprowadzonego przez Stalina, podczas



kiedy sam Stalin był pokazywany na fotografiach uśmiechnięty łaskawie pośród swoich dzieci chrzestnych.

W ten sposób, za pośrednictwem swego OGPU Stalin jest związany stale ze swoją matką — z masami narodu, które go zrodziły, i wykarmiły.

## R o z d z i a ł   V I

### DLACZEGO PRYZNAWALI SIĘ?

Twórca systemu sowieckiego, Lenin, ostrzegał swoich zwolenników przed stosowaniem kary śmierci w stosunku do członków partii bolszewickiej. Powoływał się przy tym na przykład rewolucji francuskiej, która pożarła własne dzieci — Jakobinów. Przez 15 lat władze sowieckie trzymały się ściśle tego przykazania Lenina. Odstępców bolszewickich usuwano z partii, osadzano w więzieniu, skazywano na banicję, pozbawiano pracy lub środków utrzymania. Ale obowiązywało niepisane prawo, że członek partii nie może być skazany na śmierć za polityczne przestępstwa.

Wiosną 1931 roku, na specjalnym posiedzeniu Politbiura, Stalin wystąpił z żądaniem stosowania kary śmierci również względem członków partii bolszewickiej. Posiedzenie to zwołane było dla rozważenia sprawy grupy opozycyjnej, utworzonej przez jednego z głównych szefów moskiewskiej maszyny partyjnej, Riutina.

W tym czasie skutki stalinowskiej przymusowej kolektywizacji zaczęły przybierać rozmiary ogólnej katastrofy. Głód ogarniał zwolna najbardziej urodzajne obszary kraju. Zdarzały się powstania chłopskie. Klęska gospodarcza zaglądała w oczy całego narodu. Machina partyjna Stalina zaczynała trzeszczeć. Coraz więcej opozycyjnych grup bolszewickich podnosiło głowy i głosy, odzwierciadlając tym ogólny niepokój. Domagano się zmiany polityki i zmiany przywództwa na Kremlu.

Grupa Riutina została aresztowana przez OGPU i na moskiewskiej „wierzchuszcze” aż huczało od komentarzy na ten temat. Sekretarz komórki partyjnej w wydziale wywiadu wojskowego, do której należałem, zaprosił mnie na tajne zbranie, gdzie nasz szef, gen. Berzin, miał zreferować tę sprawę. Sekretarz dodał, że wobec wyjątkowej tajności posiedzenia nie wszyscy członkowie komórki partyjnej będą obecni.

Berzin odczytał nam wyjątki z tajnego programu Riutina. Stalin był tam określony jako „wielki agent-prowokator, niszczyiciel partii”, oraz jako „grabarz rewolucji i Rosji”. Grupa Riutina podjęła walkę o usunięcie Stalina z przywództwa partii i szefostwa rządu.

Była to pierwsza sposobność dla Stalina by spróbować obalić zasadę Lenina o niestosowaniu kary śmierci do członków partii. Stalin chciał załatwić się doraźnie z Riutynym i jego adherentami. Jedyne członki Politbiura zdobył się na odwagę przeciwstawienia się Stalinowi w tej krytycznej chwili. Każdy wtajemniczony na Kremlu wiedział, że tym jedynym oponentem był Siergiej Kirow, sekretarz leningradzkiej maszyny partyjnej, który na tym stanowisku miał dominującą w partii pozycję. Podparł go Bucharin i inni oponenti mający wciąż jeszcze znaczny wpływ. I Stalin tym razem ustąpił. Riutin i jego współpracownicy zostali uwięzieni i zesłani ale nie rozstrzelani.

W ciągu następnych 5-u lat Stalin zdołał różnymi sposobami utrzymać się przy władzy. Ale niezadowolenie i bunt szerzyły się przez ten czas po całym kraju jak pożar. Oszłołomieni i rozwścieczeni kampanią „całkowitej kolektywizacji” chłopcy walczyli z wojskami OGPU z bronią w rękach. Całe prowincje obróciły się podczas tej walki niemal w pustynię, miliony chłopów deportowano, setki tysięcy przykuto do pracy przymusowej. Salwy egzekucyjne głużyła tylko propaganda partyjna. Nędza i głód mas były tak wielkie, że oburzenie na Stalina zaczęło ogarniać nawet szeregi partyjne. W końcu 1933 r. Stalin zmuszony był zarządzić „oczyszczenie” partii. W ciągu następnych dwóch lat wyrzucono z partii około miliona opozycjonistów. Ale to nie rozwiązało zagadnienia, ponieważ wypędzeni byli wciąż na swobodzie i cieszyli się sympatią mas ludności. Gdyby mieli przywódcę i program, mogli by wówczas obalić Stalina. Ale takich przywódców nie było z wyjątkiem starej gwardii bolszewickiej, kolegów Lenina, których Stalin od lat już łamał, zmuszał do kapitulacji, „przyznawania się do błędów” i uznawania go za nieomylnego wodza. Pomimo tych kapitulacji, tak długo powtarzanych, że w końcu przestano w nie wierzyć, ci starzy bolszewicy, niemal wbrew własnej woli, stali się rzecznikami, jeśli nie prawdziwymi przywódcami tej początkowo pozapartyjnej opozycji. Stalin nie mógł być pewien, czy te luźne siły, składające się z byłych członków partii, nie potrafią w przyszłości połączyć się i zorganizować. Kapitulacje już nie wystarczały, Stalin zorientował się, że inne środki są tu konieczne, że musi znaleźć sposób, aby nie tylko zniszczyć autorytet starej gwardii, ale również wstrzymać działalność wszystkich głównych ludzi tej groźnej opozycji.

Akurat w porę, w nocy 30 czerwca 1934 r., nastąpiła krwawa czystka Hitlera. Bezwzględność, z jaką Hitler wytepił natychmiast swoją opozycję, zrobiła na Stalinie ogromne wrażenie. Studiował dokładnie wszystkie tajne raporty nadsyłane przez naszych agentów o przebiegu tej nocy.

1 grudnia 1934 został zamordowany w tajemniczych okolicznościach w Leningradzie Siergiej Kirow. Tego samego dnia Stalin ogłosił dekret nadzwyczajny, reformujący kodeks karny w tym sensie, że odtąd sprawy o polityczne zabójstwo miały być sądzone w ciągu 10 dni przez trybunały wojskowe niejawnie, bez udziału adwokatów, a wyroki wykonywane natychmiast, bez prawa odwołania się do łaski prezydenta Związku Sowieckiego.

Hitler pokazał drogę, a śmierć Kirowa, który przed trzema laty przeszkodził Stalinowi wprowadzić karę śmierci dla członków partii, otworzyła na oścież bramę do Wielkiej Czystki. Zabójstwo Kirowa było, punktem zwrotnym kariery Stalina. Rozpoczęło erę jawnych i tajnych procesów Starej Gwardii bolszewickiej, erę „przyznawania się”, i „kajania”. Nie ma zapewne w historii świata drugiego przykładu, aby zabójstwo pewnej oficjalnej wysokiej osobistości pociągnęło za sobą taką masakrę, jak to się stało po zabójstwie Kirowa.

Tajemnica okrywająca to zabójstwo zaczęła się w październiku, kiedy to straż Kirowa zaaresztowała w Leningradzie młodego komunistę, Leonida Nikołajewa, z powodu jego podejrzanego zachowania się. W teczce aresztowanego znaleziono rewolwer i notatnik. Szef leningradzkiego OGPU, Zaporozec, przed którym postawiono więźnia, zwolnił go i pojechał specjalnie do Moskwy, aby złożyć osobiście sprawozdanie Jagodzie o tym niezwyklej postępkach.

W dwa miesiące później 1 grudnia ten sam Nikołajew zastrzelił Kirowa. Tegoż wieczora Stalin pojechał do Leningradu, by objąć kierownictwo śledztwa. Badał Nikołajewa i kilku jego współników spośród Komsomołu, również aresztowanych. Nic podobnego nie zdarzyło się nigdy w Związku Sowieckim. Szef OGPU Jagoda, również tegoż wieczora wyruszył do Leningradu dla objęcia śledztwa w ramach swych obowiązków. Już przedtem chodziły pogłoski o oziębieniu się stosunków Stalina z Jagodą, ale ta noc wyraźnie zapoczątkowała otwarte zerwanie pomiędzy nimi. Stalin starał się wszelkimi sposobami trzymać Jagodę z dala od śledztwa. W czasie pobytu Stalina w Leningradzie wydarzył się z Jagodą tajemniczy wypadek: kiedy w nocy jechał samochodem na przedmieście, gdzie miał badać kilku ludzi, jakaś ciężarówka w sposób podejrzany zderzyła się z jego samochodem. Szef OGPU o włos uniknął śmierci wydobywszy się żywy z rozbitego

samochodu. W kołach OGPU w Moskwie było dużo gadania o tym „wypadku”.

Na początku śledztwa powstało podejrzenie, że Nikołajew popełnił zbrodnię z bezpośrednim udziałem leningradzkiego OGPU. Ale śledztwo nie starało się wyjaśnić tej okoliczności. Stalin nie nakazał bezwzględnego przesłuchania leningradzkiego OGPU, które przed dwoma miesiącami zwolniło zabójcę, aresztowanego z rewolwerem w kieszeni. Dwunastu wyższych Ogepistów, łącznie z ich szefem Miedwiediem, zostało aresztowanych za niedbalstwo i skazanych na 2 do 10 lat więzienia, ale to nie było poważne. Miedwiedia, którego wiosną 1935 roku skazano na trzy lata, widziałem o tej samej porze roku 1937 w Moskwie na wolności. On i jego zastępca Zaporozec zostali zwolnieni przez Stalina przed upływem terminu kary.

Wyjaśnienie tajemnicy Nikołajewa nigdy nie nastąpiło. Na ostatnim z wielkich procesów o „zdradę stanu”, odbywającym się w marcu 1938, w którym Jagoda figurował jako jeden z głównych „kajających się” sprawa pierwszego aresztowania i niewyjaśnionego zwolnienia Nikołajewa wypłynęła na powierzchnię. Ale prokurator Wyszyński przerywał Jagodzie za każdym razem kiedy ten próbował poruszyć tę okoliczność. „To nie tak było”, kilka razy wtrącał Jagoda gdy Wyszyński przytaczał coś z tajnych zeznań Jagody. O udziale Stalina w początkach śledztwa nie wspomniano na procesie. Nie zostało też wyjaśnione dlaczego Stalin zadowolnił się dziwnym zwolnieniem przez Miedwiedia i Zaporozca schwytanego z rewolwerem i politycznym notatnikiem Nikołajewa.

Dziennik ten był oczywiście centralnym punktem w sprawie Kirowa. Gdy Nikołajew i jego 16-tu towarzyszy z Komsomołu zostali straceni po niedawnym procesie, sowiecka prasa nieraz powoływała się na ten notatnik. Czyniono do niego aluzje przy wielu różnych okazjach. Ale nigdy publiczność o jego treści nie dowiedziała się.

W wewnętrznym środowisku OGPU nastrój w stosunku do sprawy Kirowa był tajemniczy i posepny. Nawet najbliżsi towarzysze na Łubiance unikali poruszania tego tematu. Pewnego dnia zwróciłem się bezpośrednio do Słuckiego, szefa zagranicznego działu OGPU z zapytaniem, czy jego zdaniem leningradzka tajna policja była zamieszana w zabójstwo Kirowa.

„Ta sprawa jest tak ciemna — odpowiedział, że najlepiej jest nie wścibiać nosa do niej. Trzymajcie się jak najdalej od tego”.

Sprawa Kirowa stała się tak samo użyteczna dla Stalina, jak pożar Reichstagu dla Hitlera. Obydwa te wydarzenia oznaczają początek fali terroru. Rozwiązać zagadkę: „kto zabił Kirowa?” nie jest tak łatwo jak odpowiedzieć na pytanie: „kto podpalił Reich-



stag?”. Poza Stalinem może 3 lub 4 osoby mogłyby odstąpić tajemnicę morderstwa Kirowa. Jedną z nich jest Jeżow, następca Jagody i organizator „Wielkiej Czystki”, który zniknął też ze sceny na wiosnę 1939 roku. Być może, że obecnie Stalin jest już jedynym strażnikiem wszystkich okoliczności afery Kirowa.

Bezsporny jest fakt, że zabójstwo Kirowa posłużyło Stalinowi za pretekst do wprowadzenia pożądanej przez siebie kary śmierci na bolszewików. Zamiast wyśledzenia prawdziwej przyczyny tego morderstwa, Stalin skorzystał z niego aby aresztować główne osobistości bolszewickiej starej gwardii, poczynając od Kamieniewa i Zinowiewa, oraz aby wprowadzić karę śmierci również w stosunku do członków partii. Teraz mógł już rozpocząć systematyczną eksterminację wszystkich tych, którzy dzieląc z nim następstwo po Leninie i tradycje rewolucji październikowej, stawali się sztandarem mogącym skupić niezadowolone, zrewoltowane masy.

W owym czasie w mniej lub więcej skrajnej opozycji względem dyktatury Stalina znajdowały się nie tylko niezliczone masy chłopstwa, ale również większość armii, łącznie z jej najwybitniejszymi generałami, większość komisarzy, 90% dyrektorów fabryk i członków maszyny partyjnej. To nie było to samo, co wypłuć małą dawkę trucizny. Cała struktura sowieckiego państwa musiała być zrewidowana. Ale jak to zrobić? Zdyskredytować, oszkalać, napiętnować jako zdrajców i wystrzelać Starą Gwardię bolszewicką, oraz aresztować hurtem jej stronników, nazywając ich wszystkich „trockistami, bucharinowcami, zinowiewcami, sabotażystami, agentami Niemiec, Japonii czy Anglii”. Nazwać ich można jak się chce, ale aresztować, jako uczestników ogromnego spisku o zdradę stanu, trzeba wszystkich kluczowych opozycjonistów względem osobistych rządów Stalina — nazywanych przez ich obrońców „linią partyjną”. Decydując się na ten szatański program Stalin ustalił metody jego wykonania — metody procesów pokazowych i umiejętnie wyreżyserowanego „kajania się”. Już przedtem inscenizował wiele takich procesów, którym dziwował się cały świat, ale nigdy nie figurowali w nich jako aktorzy i pod sądni bolszewicy przywódcy. Świat zachodni nigdy nie zdawał sobie sprawy, że sowieckie procesy pokazowe nie były żadnymi procesami sądowymi, lecz tylko i wyłącznie bronią w walce politycznej. Nikt z „wierchuszki” sowieckiej, od chwili objęcia władzy przez Stalina, nie rozumiał tych procesów z ich dramatycznym „przyznawaniem się”, inaczej jak narzędzia politycznego, nikt nie przypisywał im jakiegokolwiek związku z wymiarem sprawiedliwości. Za każdym razem, gdy bolszewicka maszyna polityczna znalazła się w krytycznej sytuacji, demonstrowała narodowi grono

kozłów ofiarnych na procesie pokazowym, który miał tyle samo wspólnego ze sprawiedliwością co samowola satrapy.

Co prawda, niektórzy bolszewicy wysokiej rangi ostrzegali Stalina przeciw inscenizowaniu procesów pokazowych przeciwko Starej Gwardii bolszewickiej, nie tylko z powodu wrażenia jakie to wywoła w całym kraju, ale dlatego że mogą one odstręczyć pro-sowieckie elementy za granicą.

Stalin upierał się że kraj poprze tę akcję i pogardliwie odrzucił drugi argument:

„Europa przełknie to wszystko!”.

Ale Stalin nie robił swojej czystki na sposób hitlerowski. Hitler miał do czynienia z zorganizowaną i wyzywającą go opozycją i uderzył w nią błyskawicznie. Stalin nie miał przed sobą takiej opozycji, lecz ogólny i głęboki nastrój buntu: Jego zadaniem było zniszczyć wszystkich potencjalnych przywódców każdego możliwego, przeciw niemu wymierzonego ruchu. Dlatego działał powoli, posuwając się ku swemu celowi krok za krokiem i upewniając się po każdym kroku, że ma za sobą siły zbrojne, na które może liczyć.

Stalin nie dowierzał ani staremu OGPU ani starym dowódcom armii. Z pomocą Jeżowa, który jako szef biura personalnego partii, szafował wszelkimi dobrodziejstwami Komitetu Centralnego, Stalin sformował drugi aparat OGPU, wyłącznie mu podległy, coś w rodzaju legionu arcyterrorystów. Gdy ostatecznie Jeżow został wyznaczony przez Stalina na szefa całej policji w kraju, powysztukał wszystkich starych szefów OGPU z wyjątkiem jednego i zainstalował na ich miejsce swój z góry przygotowany aparat.

Wyjątkiem tym był Michał Frynowskij, od dawna szczególnie ulubieniec Stalina i naczelny dowódca wojsk OGPU. Wojska te nie podlegały dowództwu armii czerwonej i razem z tajną policją tworzyły dwie siły zbrojne, na których Stalin mógł oprzeć się w swojej akcji przeciwko Starej Gwardii. Nie zaczął, zanim przy pomocy Jeżowa i Frynowskiego nie zakończył przygotowania tych dwóch niezbędnych narzędzi akcji.

Gdy przygotowania zostały zakończone, Stalin mając za sobą zabójstwo Kirowa i nowe prawo o zdradzie stanu, zabrał się do wytępienia bolszewickiej Starej Gwardii i złamania w ten sposób opozycji przeciw swoim rządóm w każdym zakątku kraju. Całe gromady więźniów politycznych były już stracone, jako uczestnicy lub zamieszani w zabójstwo Kirowa. Dziesiątki tysięcy członków Komsomołu zostało deportowanych i włączonych do karnych brygad roboczych. Cała ta odpłata Stalina za śmierć Kirowa nie przeszkodziła mu do użycia wielokrotnie tego samego przestępstwa dla oskarżenia Starej Gwardii. Ogółem około 200 osób zo-

Sama cela była już torturą. Miała 2 piętra prycz, na których więźniowie leżeli lub spali. Było tak ciasno że ludzie nie mogli wyciągnąć się i spali na boku ze skurczonymi nogami, ciasno przylegając do siebie. Inaczej nie pomieściliby się w celi. Gdy ktoś musiał obrócić się lub wstać, starosta celi, to znaczy nadzorca nad współwięźniami, musiał dawać rozkaz całej grupie. W celi nie było miejsca na chodzenie.

Ani Bela Kun ani Muklewicz nie przyznali się. Inny więzień, Knorin, były członek Komitetu Centralnego partii bolszewickiej, również zachował milczenie, mimo że go zmuszano stać po 20 godzin bez przerwy.

Ta forma tortury była częścią pierwszego etapu „systemu przekazywania” w badaniach, i była zlecona do wykonywania młodym, brutalnym i początkującym adeptom śledztwa. Byli to tak zwani chłopcy Jeżowa. Zaczynali swoje badania krótkim i szorstkim rozkazem zwróconym do więźnia, gdy go już postawiono pod oślepiającym światłem.

„Przyznaj się, że jesteś szpiegiem!”.

„To nieprawda”.

„My wiemy że to prawda. Mamy dowody. Przyznawaj się — ty — taki a taki!”.

Po tym wstępie następował pryszcik przekleństw, nieprzyzwoitego łajania i gróźb. Jeżeli więzień trzymał się twardo, badający kładł się na kanapie pozostawiając więźnia godzinami w pozycji stojącej. Jeżeli badający wychodził z pomieszczenia, zastępował go strażnik który pilnował, by więzień nie usiadł, lub nie oparł się o ścianę, fotel czy krzesło.

W wypadkach gdy próba stania nie zdołała złamać badanego, sprawa była przekazywana starszemu lub bardziej zręcznemu urzędnikowi śledczemu, który używał bardziej wyrafinowanych środków. Nie było tu już bawienia się nabitym pistoletem, nie było obelg, oślepiającego światła ani fizycznej tortury. Przeciwnie, robiło się tam wszystko by dać odczuć więźniowi, że pierwszy etap był pomyłką, niefortunnym zdarzeniem. Wytwarzana była atmosfera ulgi i odprężenia. Charakterystycznym przykładem tego etapu „systemu przekazywania” było badanie Mraczkowskiego. Protokół tego badania jest może jedynym dokumentem znajdującym się poza Związkiem Sowieckim.

Mraczkowski, syn rewolucjonisty zesłanego przez carat na Syberię, był członkiem partii bolszewickiej od roku 1905. Wielokrotnie trafiał w ręce carskiej policji. W czasie wojny domowej organizował na Uralu oddział ochotników, z którym dokonał znakomitych wyczynów rozbijając kontrrewolucyjne wojska admi-

rała Kołczaka. W okresie Lenina i Trockiego zdobył sobie sławę niemal legendarnego bohatera.

W czerwcu 1935 wszystkie przygotowania do pierwszego pokazowego procesu były już zakończone. Uzyskano „przyznanie się” od 14 więźniów. Czołowe osoby dramatu, Zinowjew i Kamieniew, dostały swoje role i odbywały próby. Były jednak w tej grupie inne wyznaczone ofiary, które nie chciały wyznać swej winy. Jedną z nich był Mraczkowski, drugą jego kolegą, Iwan N. Smirnow, założyciel partii bolszewickiej, dowódca 5-ej armii podczas wojny domowej. Stalin nie chciał rozpoczynać procesu bez tych dwóch ludzi. Byli więc brani w krzyżowy ogień pytań, poddawani wszystkim praktykom Trzeciego Stopnia — i wciąż odmawiali przyznania się. Szef OGPU zadzwonił nagle do swego kolegi Słuckiego, by objął badanie Mraczkowskiego i „załamał go”. Obydwaj płakaliśmy, gdy Słucki opowiadał mi swoje przeżycie jako inkwizytora. Miał dla Mraczkowskiego, jak to się często zdarza, głęboki szacunek.

„Zacząłem badanie będąc gładko wygolony — powiedział. — A gdy skończyłem miałem wyrosniętą brodę. Badanie trwało 90 godzin. Co kilka godzin dzwonił telefon z urzędu Stalina. Głos jego sekretarza pytał bezlitośnie:

„No co, czy już złamaliście go?”.

„Czyżbyś chciał powiedzieć, że przez całe 90 godzin nie opuszczałeś swego biura? — spytałem.

„Nie, po pierwszych 10 godzinach wyszedłem by zaczerpnąć świeżego powietrza, zastępował mnie sekretarz. Ale Mraczkowski przez cały ten czas nie był zostawiony sam nawet przez minutę. Gdy szedł do klozetu towarzyszył mu strażnik”.

„Gdy go po raz pierwszy wprowadzono do mego biura zauważyłem że ciężko kulał na skutek rany z czasu wojny domowej. Wskazałem mu krzesło, usiadł. Badanie rozpocząłem słowami:

„Widzicie, towarzyszu Mraczkowski, otrzymałem rozkaz badania was”.

„Nie mam nic do powiedzenia — odpowiedział. — W ogóle nie chcę wchodzić w żadne z wami rozmowy. Jesteście znacznie gorsi od carskich żandarmów. A może byście powiedzieli, jakie macie prawo badania mnie? Gdzie byliście w czasie rewolucji? Jakoś nie mogę sobie przypomnieć, abym kiedykolwiek słyszał o was w czasie rewolucyjnej wojny”.

Mraczkowski rzucił okiem na dwa odznaczenia Czerwonego Sztandaru na piersi Słuckiego i mówił dalej: „Nigdy nie widziałem waszej twarzy na froncie. A te dekoracje to pewnie skradliście”.

Słucki milczał dając więźniowi możliwość wyładowania swojej goryczy. Mraczkowski mówił dalej:

„Zwróciliście się do mnie per „towarzysz”. Zaledwie wczoraj byłem badany przez innego człowieka waszego pokroju, który używał innych metod, nazywał mnie łotrem i „kontrrewolucjonistą”. Próbował na mnie końskich środków, ale ja się urodziłem w carskim więzieniu. Mój ojciec i matka zmarli na wygnaniu na Syberii. Wstąpiłem do ruchu rewolucyjnego i partii bolszewickiej będąc prawie dzieckiem”.

W tym miejscu Mraczkowski wstał, szybkim ruchem rozpiął koszulę i obnażył blizny po ranach otrzymanych w bitwach za ustrój sowiecki.

„Oto *moje* dekoracje! — zawołał.

Słucki wciąż milczał. Kazał przynieść herbatę, nalał więźniowi i podał papierosy. Mraczkowski chwycił tacę z herbatą i cisnął nią o ziemię.

„Chcecie mnie przekupić?! Możecie powiedzieć Stalinowi, że się nim brzydzę. To on jest zdrajcą. Zawieźli mnie do Mołotowa, który też chciał mnie przekupić. Plunąłem mu w twarz!”.

Słucki wreszcie przemówił:

„Nie, towarzyszu Mraczkowski, ja nie skradłem orderów Czerwonego Sztandaru, lecz otrzymałem je w czerwonej armii na taszkienckim froncie, gdzie walczyłem pod waszym dowództwem. Nigdy was nie miałem za łotra i nie mam dziś. Ale wyście szli przeciw partii i walczyli z nią. Oczywiście że tak. Więc partia kazała mi dziś badać was. A co do ran, to spojrzycie — i Słucki pokazał swoje blizny po ranach.

„One też są z czasu wojny domowej — powiedział.

Mraczkowski słuchał, rozmyślał przez chwilę, po czym rzekł:

„Nie wierzę wam. Dajcie dowód że tak jest”.

Słucki zażądał swego oficjalnego życiorysu z aktów OGPU i dał go Mraczkowskiemu do przeczytania.

„Byłem związany z trybunałem rewolucyjnym po wojnie domowej — powiedział. Później partia przesunęła mnie do OGPU. Obecnie spełniam tylko mój obowiązek wykonując rozkazy. Jeżeli partia każe mi umrzeć, zrobię to! (Słucki zrobił to rzeczywiście w 18 miesięcy później, kiedy ogłoszono, że popełnił samobójstwo).

„Nie, wy zwyrodnialiście w psa policyjnego, w zwykłego agenta Ochrony — wybuchnął Mraczkowski”. Po chwili zamilkł, zawahał się i dodał: „A jednak zdaje się, że dusza jeszcze nie całkiem uleciała od was”.

Po raz pierwszy Słucki poczuł, że jakaś iskra porozumienia zapaliła się między nim a Mraczkowskim. Zaczął więc mówić dłu-



go o wewnętrznej i zewnętrznej sytuacji rządu sowieckiego, o niebezpieczeństwach grożących z wewnątrz i z zewnątrz, o wrogach wewnątrz partii podkopujących władzę sowiecką, o potrzebie ratowania za wszelką cenę partii, jako jedyne go zbawcy rewolucji:

„Powiedziałem mu — opowiadał Słucki — o swoim głębokim przekonaniu, że on, Mraczkowski, nie jest kontrrewolucjonistą. Wziąłem z mego biurka „przyznania się” jego uwięzionych towarzyszy i pokazałem mu je jako dowód, jak nisko upadli oni w swej opozycji w stosunku do sowieckiego reżymu”.

Przez trzy dni i trzy noce rozmawialiśmy i spieraliśmy się. Mraczkowski nie miał ani chwili snu. Mnie udało się złapać 3-4 godziny snu w toku tej mojej z nim walki”.

Mraczkowski powiedział Słuckiemu, że dwukrotnie był wyprowadzony z więzienia i stawiany przed Stalinem. Gdy po raz pierwszy przyprowadzono go na Kreml, natknął się na premiera Mołotowa w poczekalni Stalina. Mołotow dał Mraczkowskiemu następującą radę:

„Za chwilę będziecie widzieli Jego. Mój drogi Siergieju, bądźcie z nim zupełnie szczerzy, niczego nie ukrywajcie. W przeciwnym razie skończycie przed plutonem egzekucyjnym”.

Stalin trzymał Mraczkowskiego u siebie przez większą część nocy, nalegając by wyparł się wszystkich opozycyjnych poglądów. Stalin dowodził, że kraj jest pełen elementów destrukcyjnych, zagrażających bolszewickiej dyktaturze. Konieczne jest, by wszyscy partyjni przywódcy pokazali krajowi, że jest tylko jedna linia polityki, mianowicie linia Stalina. Mraczkowski nie ugiął się i został odstawiony z powrotem do celi.

Kiedy wzięto go po raz drugi na Kreml, Stalin zachęcał go przynętami by podporządkował się jego żądaniom.

„Jeżeli będziecie współpracować maksymalnie — obiecywał Stalin — pošlę was na Ural na kierownicze stanowisko w przemyśle. Zostaniecie dyrektorem. Będziecie jeszcze robić wielkie rzeczy”.

Mraczkowski znów odrzucił ofertę Stalina. Wtedy to Słucki otrzymał zadanie złamania go i spreparowania dla pokazowego procesu.

Trzy dni i trzy noce trwały dyskusje Słuckiego z Mraczkowskim zanim więzień został przekonany, że jedynie Stalin może kierować partią bolszewicką. Mraczkowski był zdecydowanym zwolennikiem systemu monopartyjnego i musiał zgodzić się z tym, że nie ma tak mocnej grupy bolszewickiej, która mogłaby od wewnątrz zreformować maszynę partyjną, lub obalić przywództwo Stalina. Prawda, w kraju istnieje głębokie niezadowo-

lenie, ale rozwiązanie tego zagadnienia poza szeregami bolszewikimi byłoby równoznaczne z końcem dyktatury proletariatu, której Mraczkowski pozostał wierny.

Badający i badany, obydwaj zgodzili się w końcu, że wszyscy bolszewicy powinni podporządkować swoją wolę i swoje idee woli i idei partii. Zgodzili się z tym, że trzeba pozostać wiernym partii aż do śmierci, lub dyshonoru, albo do śmierci z dyshonorem, jeżeli to okaże się konieczne dla skonsolidowania władzy sowieckiej. Jest sprawą partii wziąć pod uwagę akty samopoświęcenia się przyznających się — jeżeli partia tak zdecyduje.

„Doprowadziłem go do takiego stanu, że zaczął płakać. Płakałem wraz z nim gdy doszliśmy do konkluzji, że wszystko jest stracone, że nic nie zostało z nadziei lub wiary, że jedyną rzeczą do zrobienia jest rozpaczliwa próba uprzedzenia próżnej walki ze strony niezadowolonych mas. W tym celu rządowi potrzebne są publiczne „przyznania się” przywódców opozycji.

Mraczkowski zażądał widzenia się z Iwanem Smirnowem, swoim bliskim kolegą. Słucki sprowadził go z celi i dwaj ludzie spotkali się w jego biurze. Dajmy głos samemu Słuckiemu dla opowiedzenia o tym spotkaniu.

„Była to męcząca i wstrząsająca scena. Dwaj bohaterowie rewolucji padli sobie z krzykiem na szyję. „Iwan Nikiticz — wołał Mraczkowski — ofiarujmy im to czego im potrzeba. To musi być zrobione”. Smirnow wzbraniał się mówiąc: „Nie mam do czego przyznawać się. Nigdy nie walczyłem przeciwko władzy sowieckiej ani przeciwko partii. Nigdy nie byłem terrorystą i nie usiłowałem zabić kogokolwiek”.

Mraczkowski próbował przekonać Smirnowa, lecz ten nie ustępował. Obydwaj przez ten czas trzymali się w objęciach i płakali. W końcu Smirnowa odprowadzono do celi.

„Mraczkowski zaczął znów protestować i irytować się — mówił Słucki. — Znowu wymyślał Stalinowi od zdrajców. Ale w końcu czwartego dnia podpisał całe to przyznanie się, które powtórzył na procesie”.

„Wróciłem do domu i przez cały tydzień nie byłem zdolny do żadnej roboty. Więcej nawet, nie byłem zdolny do życia”.

Do tej opowieści trzeba dodać, że gdy Mraczkowski złożył OGPU swoje przyznanie się, Smirnow również załamał się i poszedł w ślady swego towarzysza. Jednakże podczas pierwszego publicznego procesu zrobił kilka prób odwołania swego przyznania się. Za każdym razem prokurator ucinął go z miejsca.

W wypadkach kiedy te metody nie zdołały złamać więźnia lub, wedle terminu używanego w OGPU, „rozłupać” go, często uciekano się do osobistego stawienia więźnia przed Stalinem dla

rozmowy, w której czasami dobijano targu. Wiem, że Kamieniew i Zinowiew, najbliżsi współpracownicy Lenina, byli na takiej audiencji na kilka miesięcy przed oddaniem ich pod sąd. Zinowiew ugiął się przed żądaniem Stalina. Według późniejszego oświadczenia członka jego rodziny, dwie przyczyny złożyły się na decyzję Zinowiewa: „Po pierwsze, nie było innego wyjścia politycznego, po drugie — miał nadzieję ocalić swoją rodzinę przed prześladowaniem”. Również Kamieniew obawiał się represji w stosunku do swojej żony i trojga dzieci — jak to w swej obronie na procesie powiedział. Karanie rodziny oskarżonego o polityczne przestępstwo należało do zwykłych praktyk Stalina. Według obowiązującego obecnie w Związku Sowieckim kodeksu karnego rodzina rzeczywiście jest uważana za współwinną.

Karol Radek, jedna z głównych postaci drugiego pokazowego procesu odmówił wszelkich odpowiedzi na pytania młodego urzędnika śledczego Kiedrowa, któremu poruczone zostało zastosowanie „systemu przekazywania”. Gdy Kiedrow nic nie wskórał z tym więźniem, świetnym publicystą, za pomocą obelg, zaprowadzono go do Stalina. Po powrocie z Kremla Radek był w zupełnie innym nastroju. Doszedł ze Stalinem do porozumienia. Radek wiedział, czego „wielki wódz” potrzebował i podjął się teraz sam zrehabilitować swoje własne zeznanie:

„Możecie iść przespać się, Kiedrow. Ja sam zrobię co trzeba”.

Od tej chwili Radek sam prowadził badania przeciwko sobie.

Na „kajanie się” trzech najznakomitszych ofiar Stalina rzuca światło zachowanie się ich na zebraniu Komitetu Centralnego komunistycznej partii na Kremlu równo rok przedtem. Czystka dosięgała wtedy swego punktu kulminacyjnego. Cały kraj był zdemoralizowany, rząd ogarnął paraliż. Nikt nie wiedział co „wielki wódz” zamyśla. Nawet jego zastępcy w rządzie nie byli pewni, czy ich głowy będą jeszcze jutro na miejscu.

Członkowie Centralnego Komitetu w liczbie 70-u, trapieni strachem i podejrzeniem, zgromadzili się w wielkiej sali Kremla. Na rozkaz Stalina gotowi byli rzucić się sobie do gardła by wykazać swoją lojalność wobec władcy. Osobami tego historycznego dramatu byli Jagoda, Bucharin i Rykow. Złożony z urzędu szef OGPU Jagoda, niedawno zwany „niszczącym mieczem rewolucji”, był wciąż jeszcze na wolności. Zajął miejsce Rykowa jako komisarz Poczty i Komunikacji. Wiedział jednakże — i wszyscy wiedzieli — że dni jego są policzone.

Rozpoczęło się od przemówienia Stalina. Nakreślił w nim zarys polityki, która musi być prowadzona. Czystka nie poszła dość głęboko. Herezja i zdrada nie zostały należycie wykorzenione.

Konieczne są dalsze procesy. Potrzeba więcej ofiar. Awans oczekuje tych, którzy zrozumieją aluzję w pół słowa.

Strach i chytrłość malowały się na twarzach 70-u słuchaczy. Kto z nich wygra w rozgrywce o względy wodza, w walce o życie?

Jagoda słuchał w milczeniu. Wiele par oczu z nienawiścią zwróciło się ku niemu, idąc za złośliwym z ukosa spojrzeniem Stalina. Wkrótce ze wszystkich stron sali potok zapytań i oskarżeń polał się na Jagodę. Dlaczego cackał się z trockistowskimi łotrami? Dlaczego wśród swego personelu dawał schronienie zdrajcom? Towarzysze współzawodniczyli ze sobą w chłostaniu politycznego trupa Jagody. Wszyscy chcieli być słyszani przez Stalina, jak gdyby w celu przekonania go o swoim oddaniu dla niego i w ten sposób uniknięcia jego strasznej zemsty.

Nagle z grobowym spokojem Jagoda obrócił głowę w stronę atakującej go sfory. Jak gdyby mówiąc do siebie powiedział: „Woli i spokojnie:

„Jaka szkoda, że nie aresztowałem was wszystkich przedtem, kiedy miałem władzę w rękach”.

To było wszystko co Jagoda powiedział. Huragan szyderczych słów przeleciał przez salę. 70-ciu wyjących hersztów partyjnych wiedziało, że mógł być mieć ich „przyznania się”, gdyby ich aresztował sześć miesięcy temu. Jagoda powrócił do swej poprzedniej maski.

Dwóch więźniów zostało wprowadzonych do sali przez umundurowanych agentów OGPU. Byli to Nikołaj Bucharin, były prezes Kominternu i Aleksiej Rykow, następca Lenina na stanowisku sowieckiego premiera. Licho ubrani, bladzi i wyczerpani, zajęli miejsca pomiędzy dobrze ubranymi i wykarmionymi pacholkami Stalina, którzy ostrożnie odsuwali się od nich, zmieszani i zdumieni.

Stalin zainscenizował to widowisko przed Komitetem Centralnym aby zademonstrować swoje „demokratyczne” potraktowanie tych dwóch wielkich figur historii sowieckiej, założycieli partii bolszewickiej. Zebranie było już całkowicie przez Stalina ujarzmione. Bucharin wstał by przemówić. Zdławionym głosem zapewniał swoich towarzyszy, że nigdy nie brał udziału w jakiegokolwiek konspiracji przeciw Stalinowi lub partii bolszewickiej. Odrzucał zdecydowanie wszelkie podejrzenia o podobne czyny. Płakał i usprawiedliwiał się. Obaj, Bucharin i Rykow, wyraźnie żywili nadzieję na wywołanie iskry starego koleżeństwa wśród członków partii, której byli współzałożycielami. Ale towarzysze zachowali przezorne milczenie. Woleli poczekać na odpowiedź Stalina. I „wódz” przemówił, przerywając Bucharinowi:

„To nie jest sposób obrony rewolucjonisty” — wykrzyknął. „Jeżeli jesteście niewinni, możecie udowodnić to w celi więziennej”.

Na sali zagrmiały okrzyki: „Rozstrzelać zdrajcę! Do więzienia go z powrotem!”.

Podczas gdy Bucharin i Rykow, załamani i we łzach, byli odprowadzani do więzienia przez umundurowanych agentów OGPU, Stalinowi zgotowano owację.

Dwaj oskarżeni nie zrozumieli swojej sytuacji. W rozumieniu Stalina była to sposobność zademonstrowania swojej lojalności wobec partii przez przyznanie się do błędów i wystawianie jego przywództwa. Zamiast tego zaapelowali oni ponad jego głowę do zebranych członków Komitetu Centralnego, próbując usprawiedliwić się przed swymi dawnymi towarzyszami, obecnie już tylko marionetkami w rękach Stalina.

Zachowanie się Centralnego Komitetu dowiodło więźniom, jak absolutną jest władza Stalina. Wzmocniło to ich przekonanie, że drogi wbrew Stalinowi nie ma. Bucharin i Rykow nie zdobyli się na postępowanie według żądania dyktatora, a innych do wyboru nie było. Podobnie jak Ludwik XIV powiedział „Państwo — to ja”, Stalin przybrał postawę: „Partia — to ja”. Poświęcili oni całe swoje życie służbie dla partii, a teraz zobaczyli, że już nie mają innego sposobu służenia jej — a przez to samo trzymania się złudzenia służby dla rewolucji — jak tylko wykonując rozkazy Stalina.

Takie jest zasadnicze wyjaśnienie przyznawania się i kajania. Wszystkie te czynniki, które wymieniłem, grały pewną rolę w doprowadzeniu 54-ch spośród tych starych bolszewików do tak upokarzających usług. O jednym czynniku nie wspomniałem dotąd, sądzę bowiem, że miał na ogół niewielkie znaczenie, a u większości tych ludzi nie grał żadnej roli. Była to słaba nadzieja, że nie tylko ich rodziny i polityczni stronnicy, ale nawet oni sami mogą być oszczędzeni, jeżeli złożą żądane „przyznanie się”. W przededniu pierwszego procesu z Kamieniewem i Zinowiewem, jako głównymi oskarżonymi, Stalin ogłosił dekret przywracający prawo łaski i skracania terminu kary przez prezydenta Związku Sowieckiego. Był to krok przeznaczony niewątpliwie do wmówienia 16-tu oskarżonym, którzy właśniełożyć publicznie swoje „przyznanie się”, że mogą liczyć na wyrozumiałość. W toku procesu jeden oskarżony za drugim oświadczał, że „Nie jest moją rzeczą prosić o łaskę”, lub „Nie proszę o złagodzenie mojej kary”, albo też „Nie uważam za możliwe prosić o łaskę”.

Wczesnym rankiem 24 sierpnia na 16-tu oskarżonych zapadł wyrok śmierci przez rozstrzelanie. Zaraz potem złożyli podanie



o łaskę. Wieczorem tegoż dnia rząd sowiecki ogłosił postanowienie o uchyleniu próśb skazanych o łaskę i o wykonaniu wyroku. Czy to Stalin nie dotrzymał ubitego z nim targu? Bardziej prawdopodobne jest, że żywili oni słabą i chwiejną nadzieję — i to wszystko.

Podczas drugiego procesu pokazowego grupy Radek — Piatakow — Sokolnikow, Stalin działał w taki sposób jak gdyby chciał zapewnić sobie więcej kajań się w następnych procesach. Czterem skazanym z tej grupy kara śmierci została zamieniona na dożywotnie więzienie. Dwaj z nich, Radek i Sokolnikow, byli czołowymi ludźmi w partii, dwaj pozostali — nieznanymi agentami OGPU, wsadzonymi jako „świadkowie” dla urobienia innych.

W rok później, w czerwcu 1937, ośmiu wyższych generałów czerwonej armii z Tuchaczewskim na czele, zostało po rzekomo tajnym przewodzie sądowym straconych bez przyznania się. 9 lipca 1937 r. w Tyflisie, stolicy Gruzji, ojczyzny Stalina, to samo spotkało siedmiu wybitnych kaukaskich bolszewików, z byłym towarzyszem Stalina z czasu rewolucji, Budu Mdivani, na czele. Inna grupa ośmiu wybitnych bolszewików z Jenukidze na czele, który był jednym z mentorów Stalina w jego młodości, i zajmował wybitne stanowisko w rządzie sowieckim w ciągu 18-tu lat, uległa temu samemu losowi, też bez przyznawania się, po takim samym, rzekomo tajnym, sądzie.

Ostatni, jak dotąd, „proces zdrajców”, Bucharina, Rykowa i Jagody, rozpoczął się w marcu 1938. Wyrwanie przyznania się od 21 oskarżonych zajęło cały rok. Trzem skazanym z tej grupy zamieniono karę śmierci na więzienie. Oskarżenia w tym procesie opiewały od udziału w spisku o zamordowanie Kirowa i otrucia Maksima Gorkiego, aż do szpiegowania na rzecz Hitlera. Oczernianie samych siebie przez kajających się oskarżonych dosięgło niebywałych dotąd rozmiarów. Świat oniemiał na widok rywalizacji pomiędzy kajającymi się a oskarżycielami w potwierdzaniu winy oskarżonych.

W każdym procesie odbywało się prześciganie się oskarżonych w szkalowaniu siebie i przyznawaniu się do większej ilości grzechów i zbrodni. Każdy kolejny proces zwiększał rozmiary tej pozornie obłąkanej procedury.

Wielu ludzi wyobraża sobie, że za pomocą tych skrajnych środków ofiary procesów usiłowały zasłużyć na wybór do tej malutkiej grupy, którą Stalin ułaskawi. Być może, niektórzy — jeżeli przewyższyli w udawaniu niezrównanego prokuratora Wyszynskiego — żywili tę słabą nadzieję. Jednakże wątplię w to bowiem wszyscy znali Stalina. Wszystkim też były znane jego gniewne słowa, wypowiedziane na owym fatalnym zebraniu na

Kremlu do starego towarzysza Bucharina: „To nie jest właściwy sposób obrony siebie dla rewolucjonistów”.

Jako stary członek partii bolszewickiej sędzę, że jakkolwiek osłabieni i storturowani, jednakże przez jakąś fantastyczną namiętność swego kajania się „przyznający się” mieli nadzieję wykazać, iż te kajania się są, tak jak wszystko w tych pokazowych procesach, aktami politycznymi. Chcieli pokazać światu i historii że aż do śmierci trwali w walce politycznej, że te ich „przyznawania się” do zbrodni przeciwko partii były rozpaczliwym wysiłkiem przysłużenia się jej.

## R o z d z i a ł   V I I

### DLACZEGO STALIN ROZSTRZELAŁ SWOICH GENERALÓW?

W pierwszych dniach grudnia 1936, kiedy byłem u siebie w Hadze, dostał mi się przypadkowo do rąk klucz do mistrzowskiego spisku, zakończonego sześć miesięcy później egzekucją przez Stalina marszałka Tuchaczewskiego i prawie całego wyższego dowództwa czerwonej armii.

Bywają spiski knute przez ludzi pożąających władzy lub z zemsty, a bywają też i takie, które tworzy sam bieg wypadków. Czasami ścieżki obu takich konspiracji krzyżują się i przeplatają. Wówczas historyk staje przed płataniną, której rozwikłanie angażuje wszystkie jego siły. Do tej kategorii wydarzeń należy tajemnica wytepienia przez Stalina kwiatu armii czerwonej, jako szpiegów niemieckich.

Jest to tajemnica, która wciąż jeszcze wprawia w osłupienie umysły ludzkie na świecie. Wszędzie ludzie zadają następujące pytania:

Dlaczego Stalin ściął głowę czerwonej armii akurat wtedy, kiedy powszechnie uważano, że Hitler gorączkowo szykuje się do wojny? Czy był jakikolwiek związek pomiędzy czystką armii czerwonej a usiłowaniami Stalina by dojść do porozumienia z Niemcami? Czy rzeczywiście istniał jakiś spisek w dowództwie czerwonej armii przeciwko Stalinowi?

11-go czerwca 1937 Kreml ogłosił nagłe wykrycie spisku, uknutego przez wielkiego generała Tuchaczewskiego i 8-miu wyższych dowódców armii czerwonej w porozumieniu z nieprzyjawnym obcym mocarstwem.

Następnego dnia świat został oszołomiony wiadomością o egzekucji marszałka Tuchaczewskiego, szefa sztabu armii czerwonej; generała Jakira, dowódcy ukraińskiego okręgu wojskowego; generała Uborewicza, dowódcy białoruskiego okręgu wojskowego;

generała Korka, naczelnika sowieckiej Akademii Wojskowej; oraz generałów: Putny, Eidmanna, Feldmanna, Primakowa. Egzekucja odbyła się na podstawie rzekomego tajnego sądu wojennego. Marszałek Gamarnik, zastępca komisarza spraw wojskowych i szef wydziału politycznego armii czerwonej, miał podobno popełnić samobójstwo. Pomędzy tymi dziewięciu wyższymi dowódcami, nagle uznanymi za szpiegów Hitlera i Gestapo, było trzech Żydów.

Na długo przed „nagłym” odkryciem przez Stalina spisku czerwonej armii przeciwko jego władzy, byłem w posiadaniu, nie wiedząc o tym, głównego ogniwa w osobliwym łańcuchu wypadków, udowodniających, że sam Stalin był konspiratorem i co najmniej przez siedem miesięcy organizował eksterminację najwyższego dowództwa czerwonej armii.

Gdy wszystkie fragmenty zagadkowej wielkiej czystki armii czerwonej ułożyć razem, całkowity obraz wyjawia następujące fakty:

1) Plan Stalina uknuć kłamliwego oskarżenia Tuchaczewskiego i innych generałów został przygotowany co najmniej sześć miesięcy przed rzekomym odkryciem spisku czerwonej armii.

2) Stalin rozstrzelał marszałka Tuchaczewskiego i jego towarzyszy, jako szpiegów niemieckich, w tym samym czasie, kiedy, po kilkumiesięcznych tajnych pertraktacjach, był na progu zawarcia porozumienia z Hitlerem.

3) Stalin użył przywiezionych z Niemiec i tam podrobionych „dowodów”, spreparowanych przez Gestapo dla uknuć fałszywego oskarżenia przeciwko najlojalniejszym generałom czerwonej armii.

4) Te „dowody” zostały dostarczone OGPU przez carskie organizacje wojskowe za granicą.

5) Stalin kazał porwać szefa federacji carskich byłych wojskowych, generała Eugeniusza Millera. To śmiałe uprowadzenie, wykonane w Paryżu 22 września 1937, miało na celu zniszczenie jedyne go nie znajdującego się w rękach Stalina źródła informacji, prócz samego Gestapo, odnośnie „dowodów” przeciwko szefom czerwonej armii, oraz kanałów, którymi te „dowody” płynęły do Moskwy.

W pierwszych dniach grudnia 1936 kurier z Paryża przywiózł mi do Hagi pilny list od Słuckiego, szefa działu zagranicznego OGPU, który właśnie przyjechał do Paryża z Barcelony. Byłem wtedy szefem sowieckiego wojskowego wywiadu na zachodnią Europę.

Jak zwykle, przywieziony przez kuriera list był w postaci małej rolki filmowej. Gdy film został wywołany, okazało się, że zawiera następujące zlecenie:

„Wybierz ze swego personelu dwóch ludzi, którzy by mogli udawać niemieckich oficerów. Muszą mieć dostatecznie reprezentacyjną postawę, by móc uchodzić za *attachés* wojskowych, muszą umieć prowadzić rozmowy z oficerami i być wyjątkowo pewni i odważni. Wypraw ich do mnie natychmiast. Sprawa niezwyklej wagi. Spodziewam się zobaczyć z tobą za kilka dni w Paryżu”.

To dysponowanie przez OGPU moim wydziałem zirytowało mnie. W odpowiedzi Słuckiemu, wysłanej przez kuriera najbliższym samolotem, nie ukrywałem swego oburzenia z powodu rozbijania mego personelu w Niemczech przez wyrywanie z niego zdolnych ludzi. Jednakże wybrałem dwóch odpowiednich agentów i w dwa dni później wyjechałem do Paryża, gdzie stanąłem w Palace Hotel. Za pośrednictwem swego miejscowego sekretarza umówiłem się spotkać ze Słuckim w Café Viel na Boulevard des Capucines. Stamtąd udaliśmy się do perskiej restauracji niedaleko Place de l'Opéra. W drodze zapytałem go o ostatnie wiadomości z dziedziny naszej polityki ogólnej.

„Wzięliśmy kurs na rychłe porozumienie z Hitlerem”, odrzekł Słucki, „i rozpoczęliśmy rokowania. Posuwają się pomyślnie”.

„Pomimo tego co się dzieje w Hiszpanii? — wykrzyknąłem. Jakkolwiek bowiem obstawanie Stalina przy idei porozumienia z hitlerowską Rzeszą nie zadziwiło mnie, sądziłem, że wypadki hiszpańskie odsunęły ją daleko na dalszy plan.

Gdy usiedliśmy przy stole, Słucki zaczął rozmowę od powtórzenia uznania Jeżowa dla moich usług. Jako komisarz spraw wewnętrznych — taki był bowiem tytuł oficjalny szefa OGPU — Jeżow mówił w imieniu samego Stalina. Byłem osobiście pochlebiany.

„Wykonaliście doskonałą robotę”, mówił dalej Słucki. „Ale od dzisiaj będziecie musieli zredukować swoje operacje w Niemczech”.

„Czyżbyście sądzili, że rzeczy aż tak daleko zaszły?”, spytałem.

„Oczywiście, tak sędzę”, odpowiedział Słucki.

„To znaczy, że macie instrukcję dla mnie, że należy zahamować całą robotę w Rzeszy?”.

Powiedziałem to z żalem, ponieważ przewidywałem ponowne odwrócenie naszej polityki w niedalekiej przyszłości, a wtedy, w chwili największej potrzeby, moja organizacja okaże się rozbita. Zdarzało się już tak dawniej.

Słucki widocznie uchwycił bieg moich myśli, powiedział bowiem z naciskiem: „Tym razem jest to rzecz realna. W ciągu trzech lub czterech miesięcy dogadamy się z Hitlerem. Nie potrze-



bujecie zahamowywać wszystkiego, tylko nie forsujcie swojej roboty. Tu, na tym gnijącym ciele Francji z jej Frontem Ludowym, nie ma dla nas nic do roboty. Zachowajcie niektórych swoich ludzi w Niemczech, zamroźcie ich. Przerzućcie ich do innych krajów, puśćcie ich na ćwiczenia. Ale bądźcie gotowi na zupełną zmianę polityki". I, chcąc zapewne rozwiązać wszelkie możliwe wątpliwości, dodał znacząco: „To jest nowy kurs polityki Politbiura”.

Politbiuro stało się w owym czasie synonimem Stalina. Każdy w Rosji wiedział, że decyzja Politbiura jest tak samo ostateczna, jak rozkaz wojskowy w toku bitwy.

„Rzeczy zaszyły tak daleko”, mówił dalej Słucki, „że mogę powtórzyć wam pogląd Stalina jego własnymi słowami. Niedawno powiedział on do Jeżowa: „W najbliższej przyszłości dokonamy porozumienia z Niemcami”.

Nie było nic więcej do powiedzenia na ten temat. Po chwili milczenia, podjąłem sprawę niezwyklego żądania Słuckiego o dwóch moich ludzi z Niemiec.

„Co wy, u diabła, kombinujecie?” — spytałem. — „Czyż nie zdajecie sobie sprawy z tego co robicie?”.

„Oczywiście, zdajemy sobie”, odpowiedział. „Ale to nie jest zwykła sprawa. Tu chodzi o rzecz tak kolosalnej wagi, że musiałem odsunąć na bok wszelką inną robotę i przyjechać tutaj aby załatwić tę sprawę”.

Moi agenci nie mieli być wysłani do Hiszpanii, jak przypuszczałem. Widocznie, byli potrzebni do jakiejś desperackiej roboty we Francji. Ale protestowałem w dalszym ciągu przeciwko zabieraniu ich przez OGPU. W końcu Słucki oświadczył: „Jeżeli chcecie wiedzieć, to wam powiem, że rozkaz pochodzi od Jeżowa. Musimy dostać dwóch ludzi, którzy potrafią odegrać rolę rasowych niemieckich oficerów. I musimy mieć ich natychmiast. Ta sprawa jest tak ważna, że nic innego wobec niej się nie liczy”.

Powiedziałem mu, że już posłałem do Niemiec po dwóch moich najlepszych agentów i oczekuję ich w Paryżu każdego dnia. Rozmawialiśmy o innych sprawach do wczesnego ranka. Po paru dniach wróciłem do siebie do Hagi, rozmyślając nad sposobami dopasowania mojej organizacji w Niemczech do nowej polityki.

W styczniu 1937 cały świat zatrząsł się ze zdumienia na wiadomości o nowych „przyznaniach się” w Moskwie, gdzie toczył się właśnie drugi proces pokazowy o zdradę stanu. Na ławie oskarżonych siedziało grono wybitnych przywódców sowieckich, określonych przez oskarżycieli jako „centrum trockistowskie”. Jeden po drugim „przyznawali się” oni do wielkiego sprzyśiężenia, obejmującego również szpiegostwo na rzecz Niemiec.

Byłem w tym czasie zajęty demobilizowaniem znacznej części naszej służby wywiadowczej w Niemczech. Gazety moskiewskie drukowały dzień po dniu sprawozdania z przebiegu procesu. Pewnego dnia, siedząc w domu z żoną i synem, czytałem zeznania podsądnych, złożone 24 stycznia wieczorem. Nagle wstrząsnęło mną jedno zdanie z tajnych zeznań Radka, przytoczonych podczas procesu. Radek zeznał, że generał Putna, ostatnio sowiecki *attaché* wojskowy w Wielkiej Brytanii i więzień OGPU od kilku miesięcy, przyszedł do niego „z prośbą od Tuchaczewskiego”. Zacytowawszy to zdanie z tajnych zeznań Radka, prokurator Wyszyński zapytał Radka:

„Wyszyński: Chciałbym wiedzieć w związku z czym wymieniliście nazwisko Tuchaczewskiego?

Radek: Tuchaczewski miał polecone przez rząd wykonanie pewnego zadania, do którego nie mógł znaleźć potrzebnych materiałów... Tuchaczewski nie miał pojęcia ani o działaniach Putny, ani o mojej przestępczej działalności...

Wyszyński: A więc Putna przyszedł do Was z polecenia Tuchaczewskiego, w oficjalnym interesie, nie mającym związku z Waszymi sprawami, ile że Tuchaczewski też nie miał z nimi nic wspólnego”?

Radek: Tuchaczewski nigdy nie miał nic z nimi wspólnego.

Wyszyński: Czy dobrze Was rozumiem, że Putna miał do czynienia z członkami waszego trockistowskiego sprzysiężenia, oraz że Wasze powołanie się na Tuchaczewskiego nastąpiło w związku z faktem, że Putna przyszedł w urzędowym interesie z polecenia Tuchaczewskiego?

Radek: Potwierdzam, i oświadczam, że nigdy nie miałem i nie mogłem mieć żadnych spraw z Tuchaczewskim związanych z kontrrewolucyjnymi działaniami, ponieważ znałem Tuchaczewskiego jako człowieka absolutnie oddanego partii i rządowi.

Byłem tak mocno wstrząśnięty tymi zeznaniami Radka, że zauważywszy to, moja żona spytała co się stało. Wręczyłem jej gazetę, ze słowami:

„Tuchaczewski jest skazany”.

Żona przeczytała sprawozdanie, lecz zachowała spokój.

„Ależ Radek wciąż odgradza Tuchaczewskiego od jakiegokolwiek związku z konspiracją”, powiedziała.

„Zupełnie słusznie”, rzekłem na to. „A czy Tuchaczewski potrzebuje rozgrzeszenia ze strony Radka? Czy myślisz chociaż przez chwilę, że Radek ośmieliłby się z własnej inicjatywy wciągać nazwisko Tuchaczewskiego do tego procesu? Nie, to Wyszyński włożył nazwisko Tuchaczewskiego w usta Radka, a zrobił to pod suflerkę Stalina. Czy nie rozumiesz, że Radek mówi za Wyszyń-

ko wśród wojska ale również wśród całego narodu. Pamiętał też i to, że na każdym etapie jego rządów — przymusowej kolektywizacji, głodu, buntów chłopskich — generałowie popierali go niechętnie, stwarzali trudności na jego drodze i narzucali mu pewne układy. Nie miał pewności, czy teraz, będąc postawieni wobec nagłej zmiany polityki zagranicznej, zechcą oni uznawać nadal jego totalitarną władzę.

Takie były moje refleksje, byłem przeto ogromnie ciekaw jak Stalin zorganizuje „likwidację” swoich generałów.

Wkrótce zaczęły przychodzić do mnie wiadomości z Moskwy o zwiększającej się stopniowo izolacji nie tylko Tuchaczewskiego, ale i kilku innych generałów. Obręcz stalinowskich ludzi dokoła Tuchaczewskiego zacieśniała się z dnia na dzień. Stało się jasne, że nawet jego wyjątkowe czyny i mocna pozycja nie zdołają go uratować.

W marcu 1937 przyjechałem do Moskwy pozornie dla konferencji z Jeżowem w szczególnie poufnej sprawie. Dwa procesy o zdradę stanu przeciwko starym bolszewikom zachwiały wiarę pro-sowieckich elementów za granicą. Zasięg stalinowskiej czystki wzrastał z każdym dniem, szerząc zamieszanie wśród komunistów w zachodniej Europie.

W Moskwie zastałem atmosferę terroru nawet w najwyższych instancjach rządowych. Rozmiary czystki były nawet większe od tych powtarzanych za granicą. Moi dawni przyjaciele i koledzy wypróbowani, zaufani i lojalni oficerowie sztabu generalnego i innych wydziałów czerwonej armii, znikali jeden po drugim. Nikt nie był pewien czy nazajutrz znajdzie się za swoim biurkiem. Nie było cienia wątpliwości, że Stalin zarzuca swoje sieci na całe wyższe dowództwo czerwonej armii.

W tym rosnącym napięciu pewna wiadomość podzielała na mnie jak wybuch bomby. Ślucki, który powrócił do swojej siedziby w OGPU w Moskwie, poinformował mnie w ścisłej tajemnicy, że został już naszkicowany projekt porozumienia pomiędzy Stalinem a Hitlerem i że przywiózł go do Moskwy Dawid Kandelaki.

Kandelaki, rodem z Kaukazu, krajan Stalina, zajmował oficjalnie stanowisko delegata handlowego w Niemczech. W rzeczywistości, był poufnym emisariuszem Stalina do rządu nazistowskiego. Przyjechał właśnie z Rzeszy w towarzystwie „Rudolfa”, tajnego przedstawiciela OGPU w Berlinie. Obydwaj, wprost z dworca, pośpiesznie udali się na Kreml. „Rudolf” był podwładnym Śluckiego w służbie zagranicznej, ale jego pomoc dla Kandelakiego była widocznie uważana za tak ważną, że wolno mu było składać raport bezpośrednio Stalinowi ponad głową swego

zwierzchnika. Kandelaki odniósł powodzenie tam gdzie jego poprzednicy zawiedli. Nie tylko wszczął negocjacje z najwyższymi nazistowskimi przywódcami, ale uzyskał prywatną audyencję u samego Hitlera.

Charakter misji Kandelakiego był w całości znany tylko kilku ludziom. Dla Stalina był to triumf jego osobistej dyplomacji. Jedynie paru najbliższych jego ludzi wiedziało cośkolwiek o tym. Komisariat Spraw Zagranicznych, Rada Komisarzy Ludowych, czyli rząd sowiecki, Centralny Komitet Wykonawczy z prezydentem Kalininem na czele nie mieli w tym żadnego udziału. Skoro Stalin tępił swoich starych bolszewickich towarzyszy, jako nazistowskich szpiegów, prowadząc w tym samym czasie tajne rokowania z Hitlerem, nie mogło to być, oczywiście, szerzej znane.

Dla ludzi z wyższego kręgu sowieckiego nie było tajemnicą, że Stalin od dawna dąży do porozumienia z Hitlerem. Prawie trzy lata minęły od krwawej czystki hitlerowskiej, która przekonała go, że system nazistowski jest mocno osadzony i że musi dojść do porozumienia z potężnym jego dyktatorem.

Teraz, w kwietniu 1937, otrzymawszy sprawozdanie Kandelakiego Stalin nabrał pewności, że transakcja z Hitlerem dojdzie do skutku. Nie potrzebuje więc dłużej obawiać się ataku ze strony Niemiec. Droga do czystki w czerwonej armii stała otworem.

W końcu kwietnia stało się tajemnicą poliszyneła, że marszałek Tuchaczewski, wicekomisarz spraw wojskowych Gamarin i wielu innych najwyższych generałów siedzi w misternie i mocno przez specjalnych agentów splecionej sieci Stalina. Byli ci wojskowi wciąż jeszcze na wolności, ale już uchodzili za skazańców. Unikano ich w życiu towarzyskim. Rozmawianie z nimi uważane było za niebezpieczne. Otaczała ich zupełna cisza.

1-go maja 1937 widziałem mego dawnego dowódcę, marszałka Tuchaczewskiego, na uroczystości na Placu Czerwonym. Jest to jedna z niewielu okazji, kiedy Stalin pokazuje się publicznie. Środki ostrożności zastosowane przez OGPU podczas uroczystości pierwszomajowych w roku 1937 przewyższyły wszystko co zna historia naszej tajnej policji. Na krótko przedtem wypadło mi być w sekcji specjalnej OGPU, w biurze Karnielewa, któremu było zlecone wydawanie urzędnikom państwowym przepustek na wejście do ogrodu państwa wokoło mauzoleum Lenina, gdzie znajdowało się podium dla odbierających defiladę.

„Mam tu teraz piekielną robotę”, powiedział mi. „Od dwóch tygodni nie zajmujemy się w sekcji specjalnej niczym innym jak tylko środkami ostrożności na dzień 1 maja”.

Moją własną przepustkę dostałem dopiero 30 kwietnia wieczorem przez gońca OGPU.

Poranek 1 maja był jasny i słoneczny. Wyruszyłem na Plac Czerwony wcześnie. Co najmniej dziesięć razy byłem zatrzymywany w drodze przez patrole, sprawdzające nie tylko przepustkę ale i moje legitymacje. Dotarłem do mauzoleum Lenina piętnaście minut przed dziesiątą, o której to godzinie miały się zacząć uroczystości.

Trybuny były już szczelnie wypełnione. Cały personel kilku sekcji OGPU w cywilnych ubraniach znajdował się tam w roli „widzów” defilady. Od szóstej rano zajmowali oni każdy drugi rząd z kolei, czyli z przodu i z tyłu każdego rzędu urzędowych osób i gości znajdował się rząd tajnych agentów. Takie oto środki ostrożności były wówczas podjęte dla zapewnienia bezpieczeństwa Stalina.

W kilka chwil po moim przybyciu trącił mnie łokciem znajomy, szepcząc: „Patrz, idzie Tuchaczewski”.

Marszałek, z rękami w kieszeniach, przechodził samotnie przez plac. Któż mógł wiedzieć, jakie myśli krążyły w głowie tego człowieka, który, wiedząc, że jest skazany, starał się nadać sobie wygląd niemal spacerowicza w majowym słońcu? Tuchaczewski przystanął na chwilę, rzucił okiem wokoło Placu, wypełnionego ludźmi i przybranego flagami, po czym przeszedł do miejsca przed mauzoleum, gdzie zwykle zbierali się generałowie na przegląd defilady.

Był tym razem pierwszym z nich na tym miejscu. Zajął swoje miejsce i stał bez ruchu, wciąż z rękami w kieszeniach. W kilka minut później zjawił się marszałek Jegorow. Nie spojrzał nawet na Tuchaczewskiego i nie salutował mu, lecz stanął obok niego tak jak gdyby był sam jeden. Po chwili przyszedł wicekomisarz Gamarnik. Ten również nie salutował swoich towarzyszy, lecz zajął miejsce w rzędzie z nimi, jak gdyby ich nie dostrzegał.

Niebawem rząd był wypełniony. Przyglądałem się tym ludziom, których znałem jako wiernych i oddanych sprawie rewolucji i rządowi sowieckiemu. Było widoczne, że wiedzą co ich czeka. Dla tego też powstrzymali się od wzajemnego przywitania. Każdy z nich wiedział, że jest więźniem, przeznaczonym na śmierć, korzystającym z odroczenia wyroku z łaski despotycznego władcy — by zaczerpnąć nieco słońca i wolności, którą tłumy na placu, goście zagraniczni i delegacje mylnie brały za rzeczywistą wolność.

Przywódcy polityczni i rząd ze Stalinem na czele zajmowali górną płaszczyznę głazu z którego było zrobione mauzoleum. Wojskowa defilada przeplýwała mimo. Zazwyczaj generałowie pozostają na swoich miejscach podczas defilady cywilnej, która



następuje po wojskowej. Tym razem Tuchaczewski nie pozostał. W czasie przerwy, zszedł ze swego miejsca i oddalił się. Z rękami wciąż w kieszeniach, przeszedł otwartymi przejściami przez plac i zginął z oczu.

4-go maja odwołana została jego podróż do Londynu na koronację Jerzego VI. Poprzednio był on obecny na pogrzebie Jerzego V. Zamiast niego, wyznaczony został do tej misji admirał Orłow, Komisarz Floty Wojennej. Ale później również jego misja została skasowana, a on sam stracony.

Konferowałem w tym czasie kilka razy z komisarzem Jeżowem w specjalnej sprawie, która umożliwiła mi przyjazd do Moskwy. Jedna z tych konferencji odbyła się o północy. Jeżow pragnął mówić ze mną sam na sam, pozostałem więc z nim wtedy aż do rana. Kiedy wyszedłem z jego biura, zobaczyłem ze zdziwieniem, że Słucki, szef zagranicznej sekcji OGPU i jego zastępca Spiegelglass czekają na mnie. Byli oni wyraźnie zaintrygowani moją całonocną konferencją z Jeżowem.

Poprosiłem o mój paszport i robiłem wszelkie przygotowania do wyjazdu. Moi bliscy przyjaciele śmieli się z tych przygotowań.

„Ależ oni ciebie nie wypuszczą”, mówili mi raz po raz.

Był to rzeczywiście okres, kiedy odpowiedzialni ludzie byli odwoływani z całego świata i już nie wyjeżdżali z powrotem.

11-go maja Tuchaczewski został zdegradowany do rangi prowincjonalnego dowódcy nad Wołgą. Nigdy zresztą tego stanowiska nie objął. W niespełna tydzień później wicekomisarz wojny Gamarnik, ponad którego nie było bardziej lojalnego bolszewika, został zamknięty w więzieniu.

Następne dni przyniosły długi korowód aresztowań i egzekucji ludzi, z którymi byłem przez całe życie w bliskich stosunkach. Zdawało się że rosyjski dach nad głową i cały gmach sowiecki wali się wokoło mnie.

Nie miałem wciąż pozwolenia na wyjazd i zacząłem liczyć się z tym, że go nie dostanę. Wysłałem depezę do żony w Hadze aby przygotowywała się do powrotu wraz z dzieckiem do Moskwy.

Wtem zostałem nagle wezwany do biura szefa wydziału. Siedział za biurkiem z moim paszportem przed sobą.

„Na co tu czekacie?” spytał. „Dlaczego nie jesteście na swoim stanowisku?”.

„Czekam wciąż na swój paszport”, odpowiedziałem.

„Oto jest”, usłyszałem. „Wasz pociąg odchodzi o dziesiątej”.

W ciągu mego ostatniego dnia w Moskwie stan powszechnego alarmu stał się nie do wytrzymania. Coś w rodzaju paniki ogarnęło cały korpus oficerski czerwonej armii. Co godzina napływały wiadomości o nowych aresztowaniach.

Poszedłem wprost do Michała Frynowskiego, wicekomisarza OGPU, który razem z Jeżowem prowadzili wielką czystkę dla Stalina.

„Powiedźcie mi co tu się dzieje? Co się dzieje w całym kraju? Jak mogę wyjechać w tych warunkach? Jak mogę robić swoją robotę, nie wiedząc co to wszystko znaczy? Co mam powiedzieć swoim kolegom za granicą?”

„To jest spisek”, odpowiedział Frynowski, „odkryliśmy właśnie olbrzymi spisek w armii, jakiego historia nigdy nie знаła. A ostatnio dowiedzieliśmy się o spisku na życie samego Nikołaja Iwanowicza (Jeżowa). Aleśmy ich wszystkich wyłapali i wszystko już mamy w rękach”.

Frynowski nie okazał żadnego dowodu owej kolosalnej konspiracji tak nagle wykrytej przez OGPU. Dowiedziałem się jednak o niej w korytarzach Łubianki, gdzie natknąłem się na Furmanowa, szefa kontrwywiadu, operującego wśród Białych Rosjan za granicą.

„Wiecie, tych dwóch coście przysłali nam, to byli pierwszorzędni ludzie”, rzekł do mnie.

„Jacy ludzie?” spytałem.

„No, ci „niemieccy oficerowie” — i zaczął żartobliwie zarzucać mi, że byłem tak niechętny oddaniu swoich ludzi dla jego roboty.

Sprawa ta zupełnie ulotniła się z mojej pamięci, spytałem więc Furmanowa jak to się stało że wie o niej.

„Przecież to była nasza robota”, pochwalił się Furmanow.

Wiedziałem, że Furmanow miał do czynienia z ramienia OGPU z organizacjami anty-sowieckimi za granicą, jak na przykład z Federacją Weteranów carskiej armii w Paryżu, wszechświatową organizacją z generałem Millerem na czele. Zrozumiałem z rozmowy z nim, że moi dwaj ludzie byli potrzebni dla jakiejś imprezy, związanej z tą grupą Białych Rosjan we Francji. Przypomniałem sobie uwagę Słuckiego, że sprawa jest kolosalnego znaczenia. Furmanow wprowadził mnie na trop rzeczywistej konspiracji za kulisami czystki armii czerwonej. Ale wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Wyjechałem z Moskwy 22-go maja wieczorem. Miałem wrażenie, że opuszczam miasto podczas trzęsienia ziemi. Marszałek Tuchaczewski był już aresztowany. W OGPU szemrano, że marszałek Gamarnik również jest w więzieniu, chociaż *Prawda* donosiła, że został wybrany do moskiewskiego komitetu partii, co było uważane zazwyczaj za wielki zaszczyt, którego można było dostąpić jedynie za aprobatę samego Stalina. Wkrótce miałem zrozumieć sens tych pozornie sprzecznych wiadomości. Stalin

aresztował Gamarnika i jednocześnie zaofiarował mu odroczenie pod warunkiem że zgodzi się na użycie swego nazwiska dla zniszczenia Tuchaczewskiego. Gamarnik odrzucił tę propozycję.

W końcu miesiąca byłem w Hadze z powrotem. Oficjalna wiadomość ze stolicy sowieckiej donosiła, że wicekomisarz wojny Gamarnik popełnił samobójstwo podczas badania. Później dowiedziałem się, że Gamarnik nie odebrał sobie życia, lecz został zabity w więzieniu przez ludzi Stalina.

11-go czerwca ogłoszono w Moskwie wiadomość o aresztowaniu Tuchaczewskiego i siedmiu innych najwyższych generałów pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Niemiec i konspirowania razem z nieżyjącym Gamarnikiem. 12-go czerwca nadeszło obwieszczenie o egzekucji tych ośmiu szefów wojskowych, wykonanej na podstawie wyroku tajnego sądu wojennego złożonego z ośmiu innych wyższych oficerów.

Co najmniej jeden z tych ośmiu sędziów, generał Alksnis, był już więźniem OGPU, wtedy kiedy ogólnie mniemano, że zasiada w sądzie nad swoim byłym zwierzchnikiem.

Spśród ośmiu przypuszczalnych sędziów sześciu zostało odąd straconych: marszałek Blücher i generałowie Bielów, Dybieńko, Kaszirin i Gorbaczow. Prawie wszyscy członkowie Rady Wojennej, liczącej 80 osób zostali szybko „zlikwidowani”. Czystka w armii trwała tak długo aż OGPU nie oczyściła całkowicie korpusu oficerskiego, kosztem około 35 tysięcy ludzi.

Faktycznie, w sprawie grupy Tuchaczewskiego nie było żadnego sądu wojennego, ani nawet pozoru wspólnej sprawy przeciwko tym generałom. Egzekucja ich nie odbyła się razem ani nawet w jednakowym czasie. Zastrzelono ich oddzielnie i w różne dni. Stalin kazał opublikować fałszywy komunikat o sądzie nad nimi po to, aby ułatwić szaremu tłumowi wojska przełknięcie bajeczki OGPU o „nagłym” wykryciu spisku w armii.

Na wszystkie pytania tego rodzaju jak: co to był za spisek, jak został „nagle”, wykryty, jakie były dowody spisku „nieznanego dotychczas w historii” itp., znalazłem odpowiedź po powrocie do Paryża.

Zastępca szefa zagranicznej sekcji OGPU, Spiegelglass, przyjechał do Paryża na początku lipca. Umówiłem się z nim na spotkanie w Café Closerie-de-Lilas, na bulwarze Montparnasse. Powiedział mi, że jest tutaj „w szczególnie ważnej misji”. Rozmowa nasza trwała kilka godzin i wkrótce zwróciła się ku sprawie Tuchaczewskiego.

Za wstęp do niej posłużył artykuł w *Prawdzie*, organie stalinowskim, który pojawił się zaraz po egzekucji pod tytułem „Kryzys w zagranicznej służbie wywiadowczej”.

„Co za głupi kawał”, powiedziałem, „i kogo on chce wprowadzić w błąd?”. Oto Moskwa opowiada światu, że niemiecka służba wywiadowcza miała wśród swoich agentów co najmniej dziewięciu marszałków i generałów armii czerwonej. Przypuszczalny sens tego artykułu jest ten, że z powodu wykrycia tego faktu w niemieckiej służbie wywiadowczej wytworzył się kryzys. Cóż za nonsens. Autor powinien był zrobić większy wysiłek w tak poważnej sprawie. Zamiast tego, wystawił nas na pośmiewisko”.

„Ależ artykuł ten nie został napisany dla was lub ludzi dobrane poinformowanych”, odrzekł Spiegelglass. „To było przeznaczone dla szerokiej publiczności, dla ogólnej konsumpcji w Związku Sowieckim”.

„Dla nas, dla sowieckich ludzi, być zmuszonymi do ogłoszenia, że wywiad niemiecki mógł zwerbować do swojej służby szpiegowskiej faktycznie cały sztab generalny armii czerwonej jest okropnym przeżyciem. Musicie wiedzieć, Spiegelglass, że, jeżeli naszemu wywiadowi wojskowemu udaje się pozyskać do współpracy pojedynczego pułkownika jakiegokolwiek armii obcej, uważane to jest za wypadek pierwszorzędnej doniosłości. Donosi się o nim niezwłocznie Stalinowi i jest to przez niego oceniane jako wielki triumf. Jeżeli Hitlerowi udało się zwerbować do roboty szpiegowskiej dziewięciu naszych najwyższych dowódców, ileż setek młodszych oficerów ma on wciąż w armii czerwonej, jako swoich szpiegów?”.

„Nonsens”, zaprotestował gorąco Spiegelglass. „Wyłapałismy wszystkich i wykorzeniliśmy całkowicie”.

Podąłem mu treść krótkiego poufnego komunikatu od jednego z moich agentów w Niemczech. Na pewnym oficjalnym przyjęciu, urządzonym przez wyższych urzędników nazistowskich, w obecności mego informatora podjęta została w rozmowie sprawa Tuchaczewskiego. Zapytano kpt. Fritz'a Wiedemann'a, osobistego adiutanta politycznego Hitlera, później mianowanego na stanowisko konsula generalnego w San Francisco — czy i ile jest prawdy w oskarżaniu przez Stalina o szpiegostwo generałów armii czerwonej. Agent mój powtórzył w swoim raporcie chełpliwą odpowiedź Wiedemann'a:

„Mieliśmy w czerwonej armii nie dziewięciu, lecz o wiele więcej szpiegów. OGPU jest wciąż jeszcze daleko od wytropienia wszystkich naszych ludzi w Rosji”.

Znałem doskonale sens takich rozmów. Taką odpowiedź dałby każdy oficer wywiadu wojskowego każdego kraju. To jest przeznaczone dla jak najszerzego rozpowszechnienia w celu podkopania moralnego stanu przeciwnika. W żargonie wojskowego wywiadu nazywa się ta metoda „dezinformacją”.

Podczas Wojny Światowej niemiecki sztab generalny miał specjalne biuro znane jako „Służba dezinformacji”. Specjaliści opracowywali w tym biurze pozornie prawdopodobne plany i rozkazy wojskowe, które następnie były wtykane w ręce nieprzyjaciela jako autentyczne dokumenty. Czasami znajdowano nawet u jeńców wojennych tajne plany tak zręcznie sporządzone, przez „Biuro Dezinformacji”, aby mogły przekonać biorących jeńca do niewoli że są autentyczne.

Spiegelglass, weteran CZEKA i jej następcy OGPU, był doskonale obznajmiony z tą praktyką. Odrzucił wręcz twierdzenie jakoby byli jeszcze inni szpiedzy nazistowscy w armii czerwonej.

„Mówię wam”, powiedział mi, „nie ma już ich więcej. Wyczyściliśmy wszystko zanim jeszcze rozpoczęliśmy akcję przeciwko Tuchaczewskiemu i Gamarnikowi. Mamy potwierdzające informacje również z Rzeszy — z wewnętrznych źródeł niemieckich. Nasze wiadomości nie pochodzą z salonowych rozmów, lecz z wewnątrz samego Gestapo”.

Wyciągnął z kieszeni papier i pokazał mi. Był to meldunek jednego z jego agentów, potwierdzający w przekonujący sposób jego informacje.

„Czyżbyście uważali takie kawałki za dowód?”, spytałem go. „No, to jest tylko drobna notatka”, upierał się Spiegelglass. Faktem jest, że o Tuchaczewskim, Gamarniku i innych z ich klikli otrzymywaliśmy materiały z Niemiec już od dłuższego czasu”.

„Od dłuższego czasu?” powtórzyłem, przypomniawszy sobie w tejże chwili komunikat oficjalny o „nagłym” wykryciu przez Stalina spisku w czerwonej armii.

„Tak jest, w ciągu kilku ubiegłych lat”, mówił dalej. Dostaliśmy moc materiałów nie tylko o wojskowych, ale i innych, nawet o Krestinskim”. (Krestinskij w ciągu 10 lat był ambasadorem sowieckim w Niemczech, a następnie wicekomisarzem spraw zagranicznych).

Nie było dla mnie rewelacją, że OGPU śledzi każdy krok sowieckich urzędników, jakiejkolwiek by nie byli rangi, szczególnie gdy znajdują się za granicą. Takiemu „nadzorowi” podlega każdy sowiecki ambasador, minister lub przedstawiciel handlowy. Gdy oficer tak wysokiej rangi jak Tuchaczewski wyjeżdżał, jako przedstawiciel rządu sowieckiego, na pogrzeb Jerzego V; gdy inny oficer tej samej rangi, marszałek Jegorow, został wysłany na przyjacielskie odwiedziny państw bałtyckich; gdy taki oficer jak generał Putna dostał nominację na attaché wojskowego w Londynie — wszystkim tym podróżom i rozmowom towarzyszyła powódź raportów do centrali od zagranicznych agentów OGPU.



Normalnie, rządy pokładają zaufanie w swoich urzędników, i nie biorą pod uwagę denuncjacji, dostarczanych przez szpiegów. Na przykład, gdy byłem przydzielony do sztabu głównego w Moskwie, miałem okazję czytania doniesień o moich własnych działaniach w Niemczech, doniesień operujących prawdziwymi faktami, jednakże tak złośliwie przekręconymi i pracowicie obrobionymi, że mogły posłużyć do skompromitowania mnie, gdyby chciał ktoś w nie uwierzyć. W minionych latach, nawet w Sowietach był zwyczaj przekazywania podobnych materiałów osobom, których one dotyczyły.

Stalin stopniowo wszystko to odmienił. Gdy zagarnął władzę nad OGPU w swoje ręce, zaczął gromadzić w specjalnym tajnym gabinecie wszelki materiał, mogący obciążyć odpowiedzialnych urzędników rządu sowieckiego. Teczki rosły i pęczniały od materiału, który napływał do niego od szeroko rozrzuconej sieci OGPU. Jak dalece nieprawdziwe lub zgoła fantastyczne były te donosy na czołowe figury sowieckie — nie miało to żadnego znaczenia. Usłużny personel OGPU wszystko to pilnie rozkładał po teczkach. Stalin uważał za pożyteczne mieć materiał obciążający każdego z wybitniejszych bolszewików, aby móc go użyć w razie potrzeby.

To wysoce tajne archiwum wypełniło się, oczywiście, również materiałem wtykanym nam przez różne obce Biura Dezinformacji, między innymi przez Gestapo. Zwróciłem uwagę Spiegelglassowi na bezwartościowość takich dowodów.

„Zdajecie się być pewni swoich niemieckich źródeł”, zauważyłem.

Spiegelglass nie mógł się powstrzymać, aby się nie pochwalić. „Otrzymujemy informacje przez Kółko Guczkowa”, oświadczył. „Mamy swego człowieka w samym jego centrum”.

Aż zatkało mnie w gardle ze zdumienia, gdy Spiegelglass uczynił to wyznanie.

Kółko Guczkowa było bardzo aktywną grupą białych Rosjan, mających z jednej strony bardzo bliskie stosunki z niemieckim wywiadem wojskowym, z drugiej zaś ścisły związek z Federacją. Weteranów Carskiej Armii z generałem Eugeniuszem Millerem na czele.

Żołyzicielem kółka był Aleksander Guczkow, wybitny członek rosyjskiej Dumy Państwowej i prezes Komitetu Przemysłu Wojennego w okresie caratu. W młodości Guczkow dowodził oddziałem rosyjskich ochotników w wojnie boerskiej przeciwko Anglikom. Zaraz po abdykacji cara został ministrem wojny. Po rewolucji bolszewickiej zorganizował za granicą ową grupę, która utrzymywała stosunki z kółkami w Niemczech zainteresowanymi w ekspansji niemieckiej na wschód.

Kółko Guczkowa przez długi czas współpracowało z generałem Bredow, szefem wojskowego wywiadu armii niemieckiej. Po egzekucji Bredowa w hitlerowskiej czystce w roku 1934, cały wydział i jego sieć zagraniczna trafili pod władzę Gestapo.

Według słów Spiegelglassa, obecnie łączność OGPU z kółkiem Guczkowa była tak samo ścisła. Później dowiedziałem się, że jeden z członków kółka był agentem OGPU i szpiegiem sowieckim. Ale teraz powiedział mi Spiegelglass tylko to, że OGPU ma swego człowieka w samym centrum kółka i że właśnie od tego człowieka otrzymało dowody o zdradzieckich działaniach Tuchaczewskiego. Jeżeli była to prawda, w takim razie był to ktoś z kliki Guczkowa i niewątpliwie prezes weteranów carskiej armii musiał wiedzieć o tych „dowodach”, a możliwe nawet że miał wciąż jeszcze oryginały ich w swoich rękach.

Ostatni klucz do tego „spisku, jakiego historia nie zna”, wpadł w moje ręce w Paryżu 23 września 1937 rano. Kupiłem plik gazet z krzykliwymi tytułami, pod którymi podana była wiadomość o porwaniu w środę 22 września generała Eugeniusza Millera, prezesa Federacji Weteranów Armii Carskiej. Okazało się, że przed wyjściem ze swego biura o godzinie 12.10, gen. Miller wręczył swemu adiutantowi zaklejoną kopertę z poleceniem:

„Nie sądźcie, że zwariowałem, ale tym razem zostawiam Wam w zalepionej kopercie pismo, które otwórzcie w razie gdybym nie wrócił”.

Gdy Miller po południu nie wrócił, wezwano kilku jego kolegów by przyszli i otworzyli kopertę. Zawierała ona następującą notatkę:

Mam dziś umówione spotkanie o godzinie 12.30 na rogu ulicy Jasmin i Raffet z gen. Skoblinem. Ma on mnie zawieźć na spotkanie z dwoma niemieckimi oficerami. Jeden z nich Strohman, ma być attaché wojskowym w sąsiednim kraju, a drugi, Werner, jest przydzielony do tutejszej niemieckiej ambasady. Obydwaj mówią dobrze po rosyjsku. Spotkanie zostało zaaranżowane z inicjatywy Skoblina. Możliwe, że jest to pułapka, dlatego też zostawiam wam tę notatkę.

Zostałem jak piorunem rażony powołaniem się Millera na dwóch „niemieckich oficerów”. Więc takie było owe „kolosalne” zadanie”, dla którego wykonania Ślucky w grudniu 1936 zadał ode mnie dwóch najlepszych agentów. Więc to była ta „sprawa”, którą miał na myśli Furmanow, specjalista OGPU od białorosyjskiego kontr-wywiadu, gdy dowcipkował ze mną w Moskwie na temat moich „dwóch niemieckich oficerów”.

Generał Skoblin był prawą ręką generała Millera w wojskowej organizacji Białych Rosjan. Żoną Skoblina była słynna rosyj-

ska śpiewaczka Plewickaja. Koledzy Millera udali się tegoż wieczora do hotelu, gdzie Skoblin z żoną mieszkali. Początkowo Skoblin zaprzeczał jakoby cokolwiek mu było wiadome o umówionym dla Millera spotkaniu w czasie drugiego śniadania, próbując wykazać swoje alibi. Jednak, gdy mu pokazano notatkę Millera i zagrożono pójściem do komendy policji, Skoblin skorzystał z chwilowej nieuwagi kolegów Millera, wymknął się i uciekł w oczekującym go samochodzie.

Wszelki ślad odtąd po Millerze zaginął. Również Skoblin przepadł bez wieści. Żona jego, Plewickaja, była aresztowana pod zarzutem współudziału w zbrodni. Znaleziono w ich mieszkaniu papiery nie pozostawiały wątpliwości, że Skoblin był agentem OGPU. Plewickaja siedziała w więzieniu w ciągu śledztwa aż do procesu, w którym w grudniu 1938 skazana została na 20 lat więzienia, jako szpieg sowiecki. Była to niezwykle surowa kara wydana w sądzie francuskim, na kobietę.

A więc to generał Skoblin był owym człowiekiem w centrum spisku OGPU przeciwko Tuchaczewskiemu i innym generałom czerwonej armii. Skoblin grał w tej super-machiavelskiej tragedii potrójną rolę, przy tym kardynalną we wszystkich trzech kierunkach. Jako sekretarz kółka Guczkowa był agentem Gestapo. Jako członek wewnętrznej rady generała Millera — przywódcą carskich wojskowych za granicą. A obydwie te role odgrywał z wiedzą swego trzeciego i głównego pracodawcy, OGPU.

Notatka pozostawiona przez generała Millera stała się zgubą Skoblina. W toku procesu jego żony, który trwał od 5 do 14 grudnia 1938, okazało się, że Skoblin maczał palce również w tajemniczym porwaniu w roku 1930 generała Kutiepowa, poprzednika generała Millera, jako prezesa carskich weteranów wojskowych.

A więc tym kto dostarczył Stalinowi „dowodów” dla oskarżenia organizatorów i dowódców armii czerwonej był carski generał Skoblin. „Dowody” zostały sfabrykowane przez Gestapo, przeszły zwykłymi kanałami przez kółko Guczkowa do organizacji generała Millera, a stamtąd wpłynęły do najtajniejszego archiwum Stalina.

Gdy Stalin zdecydował, że zbliżenie z Hitlerem zabezpiecza mu jego akcję przeciwko czerwonej armii, sięgnął do tajnych teczek OGPU w swoim gabinecie. Wiedział, oczywiście, o wartości „dowodów” z takiego rodzaju źródeł, że były to „dezinformacje” najbardziej prostackiej kategorii. Poza Gestapo, na której dyskrekcję można było liczyć, oraz Skoblinem, który, jako agent OGPU, był też pewny, pozostał tylko jeden człowiek na świecie, który mógł ujawnić źródła tych „dowodów”. Był nim generał Eugeniusz

Miller. Gdy zechce, może on wywlec na światło dzienne źródła „dowodów” Stalina przeciwko czerwonym generałom oraz kanały, którymi one szły do OGPU. Może połączyć spisek Stalina przeciwko czerwonej armii z jej dwoma głównymi wrogami — hitlerowskim Gestapo i resztkami carskiej białej armii w Paryżu. Miller musi więc być sprzątnięty z drogi. OGPU ma to załatwić. Taką „kolosalną” imprezę musi wykonać nie jakiś podrzędny urzędnik, tylko sam szef sekcji zagranicznej, Słucki. Ten porzuca więc całą swoją inną robotę i jedzie do Paryża aby ją przeprowadzić. Posyła samolotem kuriera do mnie do Hagi... „Wybierz ze swego personelu dwóch ludzi, którzy mogą uchodzić za niemieckich oficerów. Muszą mieć dziarski wygląd... być obeznani ze sposobem zachowania się i mówienia wojskowych... wyjątkowo pewni i odważni... Jest to sprawa nadzwyczajnej wagi”.

Wszystko to stało się dla mnie jasne i oczywiste, gdy, siedząc w Café des Deux Magots w Paryżu owego wrześniowego poranku, czytałem sensacyjną opowieść o porwaniu generała Eugéniusza Millera. Nie jestem pewien jednak czy uczyniłem to równie jasnym i oczywistym — jeżeli to w ogóle jest możliwe — każdemu czytelnikowi nie obeznanemu ze światem służby wywiadowczej lub ze skomplikowanymi nastrojami i powikłanymi działaniami wchodzących w grę grup. Muszę przeto zadowolnić się stwierdzeniem, że dla mnie i, jak sądzę, dla każdego obeznanego z całą sytuacją, łańcuszek przytoczonych przeze mnie dowodów jest przekonujący. Nie pozostawia on wątpliwości, że rzekomy spisek czerwonej armii i Gestapo przeciwko Stalinowi był w rzeczywistości spiskiem Stalina przeciwko generałom czerwonej armii, oraz że aby ukuć fałszywe oskarżenie przeciwko nim, Stalin użył „dezinformacji”, sfabrykowanej przez Gestapo i dostarczonej OGPU za pośrednictwem carskich organizacji.

Stalin jeszcze raz potwierdził, że nigdy nie zapomina i nigdy nie darowuje. Dawne rozdźwięki i rozbieżności zdań z najwyższym dowództwem czerwonej armii utkwiły w jego pamięci jako „opozycja”.

Ta „opozycja”, wciągnięta w sieci OGPU, stała się „spiskiem”. Tego rodzaju „spiski” są stopniami drabiny, po której piął się Stalin do władzy. W toku tego procesu krytycy stali się „wrogami”, szczerzy oponenci „zdrajcami”, cała uczciwa i żarliwa opinia opozycyjna — z fachową pomocą OGPU — „zorganizowanym zamachem”. Po trupach swoich dawnych kolegów i towarzyszy — rewolucjonistów, twórców i budowniczych państwa sowieckiego, wspinał się Stalin do jedynowładztwa nad narodami Rosji.

Czytelnik przypomni sobie, że w grudniu 1936 Karol Radek, podpisując tajne zeznanie, podyktowane mu poprzez Wyszyńskiego przez Stalina, po raz pierwszy wciągnął tu nazwisko Tuchaczewskiego. W tymże grudniu 1936 zażądano ode mnie dostarczenia dwóch „niemieckich oficerów”. Konspiracja przeciwko Tuchaczewskiemu idzie wstecz aż do tego punktu. Ale w tym łańcuszku natrafiamy na pewną trudność. Oto bowiem moi ludzie byli trzymani w pogotowiu, ale beczynn timer, po czym zwróceniu mi z powrotem. Porwanie generała Millera musiało być odroczone. Sens tej zwłoki wyszedł na jaw w rok później w pewnych dowodach użytych w procesie Plewickiej. 11-go grudnia 1938 adwokat Ribet odczytał na posiedzeniu sądu dokument z poufnej korespondencji Millera, mianowicie list do niego, pisany z Finlandii przez generała Dobrowolskiego, ostrzegający go przed Skoblinem. Dobrowolski nie twierdził, że Skoblin jest agentem OGPU, zaznaczał tylko, że niektórzy z jego kolegów powzięli wątpliwość co do roli Skoblina.

„Niestety”, rzekł adwokat Ribet, „ostrzeżenie to nie podważyło zaufania generała Millera do Skoblina”.

Nie podkopało to jego zaufania całkowicie, ani na zawsze, lecz tylko na tyle, aby obmyślony przez OGPU plan porwania, ze Skoblinem jako przynętą, został odroczony, aby Skoblin mógł w międzyczasie odzyskać zaufanie Millera.

W sześć miesięcy potem, 2-go czerwca 1937, Tuchaczewski i jego towarzysze zostali straceni w Moskwie, a po dalszych trzech tygodniach Spiegelglass, pierwszy zastępca Śluckiego, zjawił się znów w Paryżu w „szczególnie ważnej”, jak mnie powiedział, misji, i przebywał tam, według moich wiadomości, aż do września. 23-go września nastąpiło porwanie generała Millera ze Skoblinem (któremu Miller jednak trochę nie dowierzał), jako przynętą. W tym samym mniej więcej czasie Spiegelglass przepadł bez wieści.

Trzeba tu dodać, że Spiegelglass zniknął nie tylko z Paryża, ale w ogóle z tego świata. Być może, nie przyszło mu na myśl, że jeżeli generał Miller wiedział za dużo o źródłach „dowodów” przeciwko Tuchaczewskiemu, to podobnie Spiegelglass wiedział za dużo o końcu generała Millera. Śluki też wiedział za wiele i „zmarł” nagle w Moskwie w kilka miesięcy później.

Ekzekucja wyższych dowódców armii czerwonej, jako nazistowskich szpiegów, przeszła już do historii. Stalin zlikwidował generała Millera, który mógł odsłonić związek jego „dowodów” z Gestapo, po czym sprzątnął likwidatorów generała Millera. Z wyjątkiem serii czysto przypadkowych wydarzeń, które wetknęły mi w ręce klucz do całej tej tajemniczej historii, nie pozostało nikogo, oprócz niemieckiego Gestapo, kto by mógł zdemaskować



Stalina. A Gestapo, osiągnąwszy swój cel — ścięcie głowy armii czerwonej i uśmiercenie najtęższych generałów rosyjskich, nie ma, oczywiście, powodu tego rozgłaszać. Jednakże jest z reguły rzadkością, aby ktoś, mając w rękach jakieś ważne tajne wiadomości, utrzymał je w zupełnym sekrecie. I oto 27-go października 1938 roku oficjalny nazistowski organ wojskowy „Deutsche Wehr” w artykule na temat czystki w armii sowieckiej wydobyl na jaw, że człowiekiem, który wydał Stalinowi Tuchaczewskiego i jego towarzyszy, był „zdrajca, znany generał Skoblin, zamieszkały w Paryżu, ten sam, który wydał bolszewikom dwóch generałów, Kutiepowa i Millera — człowiek, który był poza szeregami armii czerwonej”.

Po za tą wzmianką, nigdzie nie ukazała się, o ile mi wiadomo, żadna aluzja o istnieniu jakiegokolwiek związku pomiędzy egzekucją czerwonych generałów w Moskwie, a porwaniem generała Millera w Paryżu. Nie rozumiem w tej chwili motywów tej częściowej rewelacji, dokonanej nie przez Gestapo, lecz przez czynniki wojskowe. Ale ten ich miarodajny artykuł potwierdza moje przekonanie, że za pomocą klucza, który uzyskałam, wszystkie szczegóły tej tajemniczej historii zostaną pewnego dnia odkryte i spiszek Stalina przeciwko jego generałom stanie się otwartą kartą historii.

## R o z d z i a ł   V I I I

### MOJE ZERWANIE ZE STALINEM

W maju 1937 obdarzył mnie Stalin najwyższą w ramach jego władzy nagrodą. W sześć miesięcy potem stałem się przedmiotem intensywnej obławy ze strony agentów stalinowskiej OGPU. Jak to się stało?

W ciągu tych sześciu miesięcy mój najbliższy przyjaciel w służbie sowieckiej za granicą zerwał z reżymem sowieckim. OGPU zorganizowało specjalną ekspedycję zawodowych morderców, którzy zwabili go w pułapkę i zastrzelili niedaleko Lausanne w Szwajcarii.

Wypadek ze mną jest typowym losem lojalnego urzędnika sowieckiego, który w ciągu nocy przekształcił się w skazańca, mającego być sprzątniętym gdziekolwiek trafi się po temu okazja. Jest to typowe dla tysięcy ludzi w Związku Sowieckim, którzy są dziś wychwalani jako bohaterzy, a jutro osądzeni jako zdrajcy. Poszukajcie w encyklopediach lub almanachach nazwisk wybitnych członków rządu sowieckiego jeszcze niedawno wychwalanych przez samego Stalina, a znajdziecie prawie wszystkich dzisiaj potępionych jako „szpiegów”, i „łotrów”.

Wysłanie mnie z powrotem na moją placówkę szefa sowieckiego wywiadu wojskowego w zachodniej Europie w kulminacyjnym momencie wielkiej czystki było ze strony Stalina i centralnego komitetu partii najwyższym świadectwem zaufania w stosunku do mnie. Był to przecież czas, kiedy ministrowie i ambasadorowie, nie mówiąc już o specjalnych agentach, byli odwoływani ze wszystkich krańców świata do Moskwy, aby tam trafić pod strzał gepisty lub do więzienia, kiedy nawet najwyżsi generałowie czerwonej armii byli stawiani przed plutonem egzekucyjnym.

Na początku marca pojechałem z własnej inicjatywy z Hagi do Moskwy by zdać sprawozdanie swoim przełożonym, chcąc za-

Miałem wciąż jeszcze ten sam paszport z którym wyjechałem ze Związku Sowieckiego w 1935 roku. Nazywałem się w nim Edward Miller, z zawodu inżynier austriacki. Paszport ten był przechowywany dla mnie w ambasadzie sowieckiej w Sztokholmie wyłącznie dla moich podróży pomiędzy Szwecją a Rosją Sowiecką. Po przyjeździe do Sztokholmu podejmowałem paszport, pod którym mieszkalem w Hadze. Opiewał on na dr. Martina Lessnera, austriackiego handlarza przedmiotami sztuki, zamieszkałego w Hadze przy Celebesstraat.

Byłem wprawdzie bardzo wstrząśnięty wrażeniami odniesionymi w Moskwie, jednakże wracałem na swoją placówkę zdecydowany pracować nadal dla Związku Sowieckiego.

Przyjechałem do Hagi 27 maja. W parę dni później odwiedził mnie stary przyjaciel i kolega Ignacy Reiss, od wielu lat pracujący w naszej służbie wywiadowczej za granicą. Znany był pod pseudonimem Ludwiga. W tym czasie używał paszportu czeskiego z nazwiskiem Hans Eberhardt.

Reiss był bardzo oburzony czystką starych bolszewików i procesami o „zdradę stanu” i decydował się już na zerwanie z Moskwą. Niecierpliwie oczekiwał mego powrotu z Moskwy i natychmiast przyjechał do Holandii aby dostać ode mnie informacje o wypadkach w Rosji. Moje odpowiedzi na jego liczne i dociekliwe pytania wywarły na nim wstrząsające wrażenie. Reiss był szczerym idealistą, duszą i sercem oddanym sprawie komunizmu i rewolucji światowej. Polityka Stalina wydawała się mu idącą coraz to widoczniej ku faszyzmowi.

Od wielu lat byliśmy ze sobą związani niebezpieczną podziemną robotą i mieliśmy wzajemne do siebie zaufanie. Zwierzał się mnie ze swego zupełnego rozczarowania, z chęci porzucenia wszystkiego i ukrycia się gdzieś w dalekim zapadłym kącie, by o nim zapomniano. Użyłem wszelkich znanych argumentów i odśpiewałem wszystkie stare śpiewki na temat, że nie należy uciekać w toku bitwy.

„Związek Sowiecki”, dowodziłem, „jest wciąż jedyną nadzieją robotników całego świata. Stalin jest, być może, zły, niesprawiedliwy. Ale Staliny pojawiają się i znikną, a Związek Sowiecki pozostanie. Naszym obowiązkiem jest trwać na naszych placówkach”.

Reiss pozostał wprawdzie przy swoim przekonaniu, że Stalin prowadząc kurs kontr-rewolucyjny, zmierza do katastrofy, jednakże wyjechał ode mnie z postanowieniem czekania na sposobną chwilę i obserwowania dalszego rozwoju wypadków w Moskwie, zanim poweźmie decyzję zerwania z rządem sowieckim.

Było to w maju. W lipcu spotkałem Reissa znowu w Paryżu, dokąd pojechałem dla widzenia się z kilkoma moimi agentami.

Wieczorem 17 lipca spotkałem się z nim na krótko w café Weber. Chciał mieć ze mną dłuższą rozmowę, widocznie w sprawie wyjątkowo dla niego poważnej. Umówiliśmy się, że zadzwoni do mnie nazajutrz rano aby ustalić spotkanie. Mieszkalem wtedy w hotelu Napoleon.

W dwie godziny później otrzymałem pilny list od mojej paryskiej sekretarki Madeleine, że mam się spotkać z Spiegelglassem, zastępcą szefa zagranicznej sekcji OGPU, którego Jeżow wysłał do zachodniej Europy w wysoce tajnej misji.

Spotkałem Spiegelglassa na terenie wystawy wszechświatowej i od razu domyśliłem się, że musiało wydarzyć się coś nadzwyczajnego. Pokazał mi dwa listy, które Reiss tegoż dnia doręczył Lidii Grozowskiej, agentowi OGPU przy naszej handlowej misji w Paryżu, dla nadania do Moskwy. Był pewien, że listy nie zostaną otwarte we Francji. Nie wiedział, że jest uważany za podejrzanego i że Spiegelglass został wysłany z pełnomocnictwami przeprowadzenia czystki we wszystkich placówkach zagranicznych. Jeżow nadał mu pełną władzę i nakazał nie cofać się przed niczym, włączając porywanie i mordowanie podejrzanych agentów. „Tak”, rzekł Spiegelglass, potrząsając listami w swoim ręku, „z początku podejrzewaliśmy nawet was. Mieliśmy bowiem wiadomość że w Holandii pojawił się jakiś wyższy agent sowiecki i nawiązał kontakt z trockistami. Przekonaliśmy się, że nie wy, lecz Ludwig jest tym zdrajcą”.

Jedenastego czerwca, w dniu kiedy Moskwa ogłosiła egzekucję Tuchaczewskiego i ośmiu generałów wysokiej rangi, mój przyjaciel Reiss — podług informacji OGPU — pojechał do Amsterdamu i odbył tam tajną konferencję z H. Sneevliet'em, przywódcą Związku Robotników Transportowych w Amsterdamie, człowiekiem z trockistowskimi sympatiami. Oczy i uszy OGPU są wszechobecne.

Z początku Spiegelglass nie był skłonny dać mi do przeczytania pismo rezygnacyjne Reissa, ale później ustąpił. Główne pismo mego przyjaciela było adresowane do Centralnego Komitetu Partii Komunistycznej, to jest do Stalina, jego generalnego sekretarza. Pismo było datowane 17-go lipca i musiało być napisane kilka godzin przed moim krótkim spotkaniem z Reissem. Widocznie miał zamiar mówić ze mną o swojej decyzji podczas spotkania wyznaczonego na dzień następny. Reiss pisał:

„List ten, który dziś wysyłam do was, powinienem był napisać tego dnia kiedy w piwnicach Łubianki, z rozkazu Ojca Narodów (sowiecka nazwa Stalina) zamordowano Szesnastu (grupa Kamieniew-Zinowiew, stracona w sierpniu 1936). Zachowałem wtedy milczenie. Nie podniosłem głosu protestu również przy następnych mordach i wziąłem za to na siebie ciężką odpowiedzialność.

Wina moja jest wielka, ale będę się starał powetować to szybko, aby w ten sposób odciążyć moje sumienie.

Dotychczas szedłem za wami. Od dzisiaj ani kroku dalej. Nasze drogi rozchodzą się. Kto teraz milczy, staje się współnikiem Stalina, zdrajcą sprawy klasy robotniczej i socjalizmu.

Od dwudziestego roku życia walczyłem za sprawę socjalizmu. Teraz, w przede dniu pięćdziesiątki, nie chcę żyć z łaski Jeżowa. Mam za sobą szesnaście lat roboty podziemnej — to nie jest byle co, ale mam jeszcze dosyć sił by rozpocząć nowy start...

Fanfary rozbrzmiewające na cały świat z powodu lotników... biegunów mają zgłuszyć krzyki ofiar torturowanych w piwnicach Łubianki, w Mińsku i Kijowie, w Leningradzie i Tyflisie. Ale to się nie uda. Głos prawdy jest zawsze silniejszy niż hałas najpotężniejszej maszyny. Oczywiście, ustanawiającym nowe rekordy lotnikom łatwiej będzie pozyskać amerykańskie damy i zwariowaną na punkcie sportu młodzież, niż nam pozyskać opinię światową i poruszyć sumienie świata. Ale niech się nikt nie łudzi. Prawda w końcu zwycięży. Dzień sądu jest bliski, znacznie bliższy, niż się to panom na Kremlu wydaje...

Nie, dłużej nie mogę tego kontynuować. Powracam do wolności, do Leningradu, do nauk i do mojej sprawy.

P.S.: — W roku 1928 zostałem odznaczony orderem Czerwonego Sztandaru za moją służbę dla rewolucji proletariatu. Niniejszym zwracam go. Byłoby poniżej mojej godności nosić go jednocześnie z katami najlepszych przedstawicieli rosyjskich robotników”.

Dla Spiegelglassa pismo Reissa oznaczało tylko jedno — zdradę. Odtąd Reiss był szpiegiem, niebezpiecznym wrogiem, którego trzeba „likwidować”, ponieważ Stalin nie pozwala agentom porzucać służby.

„Wicie, że jesteście odpowiedzialni za Reissa”, powiedział znacząco Spiegelglass. „Wy go wprowadziliście do partii i popieraliście jego wejście do naszej organizacji”.

Spiegelglass miał informacje, że Reiss ma zamiar następnego ranka wyjechać z Francji, i oświadczył mi, że akcja musi być podjęta tegoż jeszcze wieczora, inaczej będzie za późno. Z początku unikał wyraźnych aluzji do mnie jako ewentualnego uczestnika „likwidacji” Reissa. Udawałem, że nie rozumiem do czego on zmierza i próbowałem skierować rozmowę na inne tematy.

Spiegelglass proponował by zadzwonić do bliskiego przyjaciela Reissa, byłego węgierskiego pastora, który wszedł do naszej służby pod nazwiskiem Manna i obecnie znajdował się w Paryżu i prosić go o wzięcie udziału w naszej konferencji. Złapaliśmy Manna telefonicznie i uzyskaliśmy jego zgodę.

W międzyczasie Spiegelglass zaczął mówić całkiem otwarcie. Jego wywody nie pozostawiały żadnej wątpliwości, że mój własny los zależy od mego zachowania się tegoż wieczora. W końcu, na jego nastawianie, że powinienem uczestniczyć w organizowaniu



„rozwiązania” sprawy Reissa, odpowiedziałem, że nie chcę mieć nic wspólnego z tego rodzaju przedsięwzięciem.

W tej samej chwili uświadomiłem sobie, że moja służba przez całe życie dla reżymu sowieckiego skończyła się. Nie byłbym w stanie zadośćuczynić wymogom nowej ery Stalina, nie posiadam zdolności wymaganych przez Spiegelglassów i Jeżowów. Nie mógłbym zdać — kryminalnego egzaminu, żadanego obecnie od tych, którzy chcieli służyć Stalinowi. Przysięgałem służyć Związkowi Sowieckiemu i żyłem zgodnie z tą przysięgą. Ale brać czynny udział w tych masowych mordach było ponad moje siły.

Spytałem Spiegelglassa czy ma upoważnienie przejęcia całej mojej sieci, gdyż sytuacja wyraźnie wymaga, abym powrócił do Moskwy. Odpowiedział, że jest to poza sferą jego pełnomocnictw i że będzie najlepiej jeżeli zakomunikuję o tym bezpośrednio swoim przełożonym.

Niebawem przyszedł Mann. W czasie naszej rozmowy o odstępstwie Reissa Spiegelglass parokrotnie wychodził, widocznie aby zobaczyć się z jakimś innym agentem. Podczas jednej z takich nieobecności jego, już po północy, zatelefonowałem do Reissa, do jego hotelu. Gdy tylko Reiss odpowiedział „Hallo”, powiesiłem słuchawkę. Mann i ja zrobiliśmy to cztery razy pomiędzy pierwszą a trzecią z rana dnia 18 lipca. Te telefony miały ostrzec Reissa, że znajduje się w bezpośrednim niebezpieczeństwie.

Powróciwszy do hotelu, oczekiwałem o jedenastej telefonu od Reissa aby umówić spotkanie. O dziesiątej mój telefon zadzwonił. Był to Mann, który prosił abym zaraz przyszedł. Powiedziałem mu, że za godzinę mam się widzieć z Reissem.

„Możecie przyjechać, Reiss się nie pokaże”, odrzekł Mann.

Zatrwożony myślą, że Reiss może już być zamordowany, pojechałem taksówką do mieszkania Manna. Był tam też Spiegelglass.

„On uciekł”, zawołał. Wyjechał z hotelu dziś o 7-ej rano”. Mrugnaliśmy z Mannem do siebie i odetchnęliśmy swobodniej. Nazajutrz, w poniedziałek 19 lipca, otrzymałem list od Reissa z pożegnaniem i wyjaśnieniem swego postępowania. Przeczytawszy list, włożyłem go do kieszeni. Moja przyjaźń z Reissem była ogólnie znana, byłem więc przekonany, że będę musiał jechać do kraju, by ponieść konsekwencje. Posłałem raport z opisem całego przebiegu tej sprawy. Będąc w służbie u Stalina, okazać się jednocześnie przyjacielem kogoś, kto zrywa z nim — to gruba sprawa. Wiedziałem, że odmowa uczestnictwa w zamordowaniu mego przyjaciela będzie potraktowana bardzo nieprzychylnie przez Stalina i Jeżowa. Zgłosiłem wniosek o swój powrót i prosiłem o instrukcje. We wtorek 20-go lipca o 3-ej rano obudził mnie telefon Spiegelglassa, który zapytał:

„Czy otrzymaliście list?”.

Odpowiedziałem szczerze, że nie rozumiem o co mu chodzi, gdyż będąc nagle zbudzony, nie przypomniałem sobie od razu listu otrzymanego od Reissa.

Spiegelglass zażądał, abym się z nim zaraz spotkał. Oponowałem, ale po jego nastawaniu, ustąpiłem. Ubrałem się szybko i spotkałem się z nim w pobliskiej kawiarni. Spiegelglass zapytał czy otrzymałem list od Reissa. Zdumiony jego wszechwiedzą, wyciągnęłem go z kieszeni. Zażądał abym mu dał do przeczytania i niezwłocznie odfotografował, co było zupełnie nie wykonalne. Chciał koniecznie mieć fotostat listu. Zdecydowałem dać mu oryginał

Moja sytuacja bardzo się skomplikowała. Otrzymałem list od „zdrajcy” Reissa i nie powiedziałem tego natychmiast Spiegelglassowi. Co więcej, po obudzeniu jego telefonem, zaprzeczyłem istnieniu takiego listu. Stałem się więc w oczach Spiegelglassa współnikiem Reissa.

Napisałem do żony, by pakowała się i przyjeżdżała do Paryża przygotowując się do powrotu do Moskwy. Żona z dzieckiem przyjechała w końcu miesiąca, po czym zamieszkaliśmy w pensjonacie przy ulicy des Maronniers w zamożnej dzielnicy Passy, pod nazwiskiem Lessner.

Dziesiątego sierpnia nadeszło odwołanie mnie do Moskwy. Ponieważ mój austriacki paszport na nazwisko Edwarda Millera stracił ważność, przysłano mi inny na nazwisko czechosłowackiego kupca Schoenborna. Miałem płynąć z Havre do Leningradu statkiem francuskim „Bretagne”, kursującym latem regularnie pomiędzy tymi dwoma portami.

Na pewien czas przed moim odwołaniem Spiegelglass dowiedział się w rozmowie ze mną, że pewna Amerykanka była moją agentką. Prosił, aby mu ją przydzielić, gdyż miał „ważną robotę” we Francji, do której potrzebował szczególnie zaufanych ludzi. Chociaż nie zamierzam mieszać tej kobiety do „ważnych robót” Spiegelglassa które opisuję, sądzę jednak że Amerykanie powinni zdawać sobie sprawę z sytuacji, w których mogą się znaleźć, gdy wchodzi do służby Stalina.

Kiedy otrzymałem instrukcje przekazania mojej organizacji Spiegelglassowi, zażądał on poznania osobiście moich głównych agentów, a szczególnie tej Amerykanki, która miała paszport amerykański wystawiony na fałszywe nazwisko.

Miała blisko 40 lat, niedużego wzrostu, wyglądała na nauczycielkę i od pewnego czasu była w służbie sowieckiego wywiadu wojskowego. W latach 1936-37 pracowała w Europie środkowej i przygotowywała instalacje naszych tajnych radiostacji. Skończyła

specjalną szkołę w Moskwie jako radio-operator i mieszkała za granicą podając się za studentkę.

Po powrocie z Sowietów w końcu maja wezwałem ją do Holandii. Spotkaliśmy się w początku czerwca w Amsterdamie, gdzie zatrzymała się w hotelu Pays Bas. A że moja centrala w Hadze była za daleko jak na konieczność częstego widywania się, zaproponowałem żeby zamieszkała w Scheveningen. Mieszkała tam przez czerwiec i lipiec 1937 roku w hotelu Zeerest; w końcu lipca wezwałem ją do Paryża, gdzie zatrzymała się w hotelu Lutetia, Boulevard Raspail.

Jednym z agentów przedstawionych Spiegelglassowi był wybitnie uzdolniony młody Belg, który miał odegrać złowrogą rolę w najbliższych tygodniach. Był moim najbardziej zaufanym pomocnikiem w wielu niezwykłych sprawach i zaprzyjaźnił się z moją rodziną. Bardzo lubiłem tego chłopca i jego żonę.

Byłem w trakcie przygotowań do wyjazdu do Moskwy 21 sierpnia statkiem „Bretagne”. Od chwili wybuchu sprawy Reissa, kiedy jeszcze mieszkałem w hotelu Napoleon, zauważyłem że byłem śledzony. Po przyjeździe mojej żony i dziecka i po przeniesieniu się do pensjonatu w Passy, śledzenie stało się jeszcze intensywniejsze. Moja żona zauważyła to nieraz, nawet gdy zabierała dziecko na spacer do parku. Była to oczywiście robota Spiegelglassa. Zdrowie mojej żony, która czuła się marnie, pogorszyło się na skutek tych przykrości, a w dodatku dziecko dostało koluszu. Kiedy nadeszła data wyjazdu było jasne, że muszę zostawić rodzinę w Paryżu. Załatwiłem wszystko tak, aby w kilka tygodni po mnie mogli wyjechać do Moskwy.

Z paszportem na nazwisko Schoenborn przyjechałem o 7 wieczorem na dworzec St. Lazare, aby pociągiem o 8-ej wyjechać do Havru, gdzie miałem wsiąść na statek do Leningradu. Na 10 minut przed odejściem pociągu, kiedy już byłem z walizkami w przedziale, wpadł zastępca paryskiego agenta OGPU. Powiedział mi, że właśnie nadszedł telegram z Moskwy z poleceniem, abym pozostał w Paryżu. Nie dowierzałem mu, ale za chwilę wpadł zziębnięty jeden z moich własnych ludzi z wiadomością o depeszy szyfrowej tej samej treści. Chciałem zobaczyć telegram, ale powiedziano mi, że jest w rękach Spiegelglassa. Zdążyłem wynieść bagaże i wyskoczyłem z pociągu w chwili kiedy już ruszał.

Przeszło mi przez myśl, że całe to odwołanie było zainscenizowane żeby się przekonać, czy istotnie gotów jestem wrócić do Sowietów. Wyszedłem z próby obronną ręką, ale byłem oburzony tą szykaną.

Poczułem, wówczas, że nie tylko zakończę moją służbę, ale i że nigdy nie wrócę do stalinowskiej Rosji.

Zatrzymałem się w Hotelu Terminus, St. Lazare, jako Schoenborn, czeski kupiec. Moja żona dalej mieszkała w pensjonacie jako pani Lessner. Dałem jej znać, że nie wyjechałem. Tej nocy przemierzyłem samotnie Paryż wzdłuż i wszerz, walcząc ze sobą czy wracać do Rosji, czy nie.

W ciągu następnych dni starałem się zrozumieć dlaczego mój wyjazd został wstrzymany w ostatniej chwili. Czy Stalin chciał dać mi jeszcze jedną okazję do wykazania mojej lojalności? Ale śledzenie mnie wyraźnie wzmoгло się. Wieczorem 26 sierpnia poszedłem z moim belgijskim pomocnikiem i jego żoną do teatru na „Nieprzyjaciół” Gorkiego, pożegnalny występ sowieckiego zespołu. Siedzieliśmy w drugim rzędzie. Podczas pierwszej przerwy poczułem czyjąś rękę na ramieniu i gdy odwróciłem się zobaczyłem Spiegelglassa z kilkoma towarzyszami.

— Możesz jechać jutro z tymi aktorami jednym z naszych statków — powiedział mi.

Zirytowany, odpowiedziałem mu żeby mi dał spokój. Wyjadę jak będę gotów — powiedziałem.

Zauważyłem, że Spiegelglass i jego kompani wkrótce potem wyszli z teatru. Zatelegrafowałem do Moskwy, że powrócę z rodziną jak tylko dziecko wyzdrowieje.

27 sierpnia przenieśliśmy się do Breteuil o dwie godziny od Paryża i mieszkaliśmy tam spokojnie przez tydzień, podczas gdy dziecko powracało do zdrowia. Rano 5 września przeczytałem w paryskim „Matin” wiadomość z Lozanny w Szwajcarii o tajemniczym zamordowaniu Czechosłowaka Hansa Eberhardta. A więc ukatrupili Ignaca Reissa!

Zamordowanie Reissa stało się głośnie w Europie, w prasie amerykańskiej i ogólno-światowej. Policja szwajcarska przy pomocy posła Sneeqlieta i wdowy po Reissie przeprowadziła dokładne śledztwo, które trwało przez szereg miesięcy. Opis sprawy był opublikowany przez Pierre Tesné w Paryżu w książce pt. „L'assassinat d'Ignace Reiss”. Następujące fakty zostały ustalone przez śledztwo policyjne:

W nocy 4 września, przy szosie z Lozanny do Chamblandes znaleziono ciało człowieka, lat mniej więcej czterdziestu, podziurawione kulami z karabinu maszynowego. Pięć kul było w głowie, siedem w reszcie ciała. Garść siwych włosów znaleziono w zaciśniętej pięści zmarłego; w kieszeni był paszport na nazwisko Hansa Eberhardta i bilet kolejowy do Francji.

Samochód amerykańskiej marki, porzucony 6 września w Genewie doprowadził do zidentyfikowania dwóch tajemniczych osób, mężczyzny i kobiety, którzy zatrzymali się 4 września w hotelu de la Paix w Lozannie i uciekli zostawiając w hotelu bagaż i nie-

zapłacony rachunek. Kobieta tą była Gertruda Schildbach, Niemka zamieszkała w Rzymie. Była ona agentką OGPU we Włoszech. Mężczyzną był Roland Abbiat, alias François Rossi, alias Py, obywatel Monaco, jeden z paryskich agentów OGPU.

Pomiędzy rzeczami pozostawionymi w hotelu przez Gertrudę Schildbach było pudełko czekoladek zawierających strychninę, obecnie w rękach policji szwajcarskiej jako jeden z dowodów rzeczowych. Gertruda Schildbach była bliską przyjaciółką rodziny Reissów i często bawiła się z ich dzieckiem. Zabrakło jej odwagi, aby w myśl polecenia Spiegelglassa poczęstować czekoladkami Reissów, u których bywała jako przyjaciółka.

Gertruda Schildbach od początku czystki była niezdecydowana politycznie i mogła z powodzeniem grać rolę osoby gotowej, razem z Reissem, zerwać z Moskwą. Reiss wiedział o jej wahaniami i ufał jej. Poszedł z nią na obiad do restauracji koło Chamblandes aby omówić całą sytuację. Tak mu się wydawało. Po obiedzie wyszli na spacer, i skręcili w boczną ciemną drogę. Jakiś samochód nadjechał i nagle się zatrzymał. Wyskoczyło z niego kilku ludzi i rzuciło się na Reissa, który się bronił. Ale napastnicy przy pomocy Schildbach, której garść włosów została w dłoni Reissa, wciągnęli go do samochodu, gdzie Abbiat-Rossi i Etienne Martignat, obaj paryscy agenci OGPU, oddali doń serię strzałów z ręcznego karabinu maszynowego. Ciało wyzucono niedaleko przy drodze.

Renata Steiner, urodzona w 1908 w St. Gall w Szwajcarii, została zidentyfikowana jako osoba, która wynajęła amerykański samochód użyty przez morderców Reissa. Panna Steiner była w służbie OGPU od 1935 roku i miała polecenie śledzenia Siedowa, syna Trockiego. Była jedną z trojga współników morderstwa Reissa, zatrzymanych przez policję. Przyznała się do udziału w zbrodni i pomogła władzom do jej rozwiązania.

W następstwie morderstwa władze szwajcarskie zażądały przesłuchania Lidii Grozowskiej i mimo usilnych protestów ze strony ambasady sowieckiej, władze francuskie przesłuchały ją 15 grudnia. Trzeba pamiętać, że to właśnie Grozowska otrzymała listy od Reissa 17 lipca i oddała je Spiegelglassowi. W dwa dni po przesłuchaniu została aresztowana, a rząd szwajcarski zażądał jej ekstradycji. Ale raz jeszcze dyplomatyczna ręka Stalina przysłała w pomoc jego drugiej ręce, zajętej skrytobójczymi morderstwami.

Sądy francuskie zwolniły Grozowską za kaucją 50 tysięcy franków, po podpisaniu przez nią zobowiązania, że nie opuści Francji. Nie warto dodawać, że znikła bez śladu, a francuska po-



licja widziała ją po raz ostatni jak uciekała w potężnej limuzynie ambasady sowieckiej.

Kiedy 5 września przeczytałem o śmierci Reissa, zdałem sobie sprawę, że moja własna sytuacja była rozpaczliwa. Stalin i Jeżow nie mogli mi darować, że odmówiłem udziału w tej zbrodni. Dla nich oznaczało to, że podzielałem wątpliwości Reissa. Miałem do wyboru między kulą na Łubiance z rąk oficjalnych katów Stalina, a serią kul poza Rosją z ręcznego karabinu maszynowego z rąk jego nieoficjalnych morderców.

Ten straszliwy dylemat powoli przenikał do świadomości mojej żony. Zdecydowaliśmy się powrócić do Paryża, i ciągle udawałem, że przygotowuję się do wyjazdu do Moskwy. Moja sekretarka, Madeleine, zamówiła dla nas pokój w hotelu Henri Quatre, w St. Germain.

W połowie września zjawił się tam mój młody belgijski pomocnik. Był w wielkiej rozterce, gdyż otrzymał polecenie wyjazdu do Holandii, gdzie pani Reiss mieszkała u Sneevlietów, aby wykraść papiery i notatki pozostawione przez jej męża. Kazano mu wrócić i nie cofnąć się przed niczym, nawet przed morderstwem, aby dostać te papiery. W rozpacz, że łzami w oczach, przyszedł do mnie po radę.

Powiedziałem mu, że Reiss był idealistą, prawym komunistą i że przyszła historia ruchów rewolucyjnych i robotniczych potępi morderstwa OGPU. Poradziłem mu, żeby sabotował niebezpieczne polecenia Spiegelglassa i powiedziałem jak ma to robić. Ale nadal mówiłem mu o moim bliskim wyjeździe do Moskwy i wiedział, że Madeleine starała się o bilety dla nas na „Bretagne”.

Z St. Germain przenieśliśmy się do hotelu Metropolitain na rue Cambon w Paryżu i mieszkaliśmy tam od 17 września do 6 października. Madeleine powiedziała mi, że „Bretagne” odbyła swój ostatni rejs tego sezonu, omawialiśmy więc inne środki dostania się do domu. Byłem nadal wysokim oficerem sowieckiego wywiadu wojskowego i musiałem telegrafować do Moskwy o specjalne pozwolenie wyjazdu statkiem sowieckim. Statki te są starannie śledzone przez tajne służby innych państw. Zauważyłem, że każdy nasz krok jest śledzony przez szpiegów, jakkolwiek ich herszt Spiegelglass znikł z horyzontu.

Moskwa zgodziła się na mój przejazd statkiem sowieckim i zawiadomiła, że najbliższy statek „Żdanow” odpłynie z Havru 6 października. Musiano przygotować mi nowy paszport na nazwisko sowieckiego obywatela wracającego z Hiszpanii przez Francję, a moja żona i dziecko miały jechać przez Niemcy za innym paszportem.

Pewnego dnia pod koniec września moja żona spytała mnie jakie mam szanse uniknięcia śmierci w razie powrotu do Moskwy.

Zgodnie z przekonaniem odpowiedziałem: „Żadne”.

I dodałem: „Nie ma sensu abyś poniosła karę z mego powodu. Jak wrócisz, każą ci podpisać dokument, że się mnie wyrzekasz i denuncjujesz jako zdrajcę. W nagrodę za to ty i dziecko będziecie oszczędzeni. Dla mnie śmierć jest tam pewna”.

Moja żona zaczęła płakać i płakała niemal bez przerwy przez szereg tygodni. Widoki ujęcia przed mordercami Stalina we Francji były bardzo nikłe, ale zdecydowałem się zaryzykować. Zobaczyłem promień nowego życia i postanowiłem szukać drogi ku niemu. Decyzja w teorii była prosta, ale praktyczne trudności — olbrzymie.

Nie miałem żadnych papierów, moje ruchy były śledzone dzień i noc. Nie miałem nikogo bliskiego, nikogo komu mógłbym całkowicie zaufać. Postanowiłem pójść do pewnego starego znajomego, zamieszkałego w Paryżu od wielu lat i zaryzykować powiedzenie mu całej prawdy. Wysłuchał mnie życzliwie i zgodził się pomóc. Pojechał na południe Francji, wynajął dla nas domek w Hyères, koło Tuluzy i 3 października wrócił do Paryża. Następnego dnia zostałem wezwany do ambasady sowieckiej dla dopełnienia formalności w związku z moim powrotem do Rosji statkiem „Zdanow”, który odpływał 6 października. Zrobiłem to.

Wczesnym rankiem 6 października wyprowadziłem się z hotelu i pojechałem taksówką na dworzec Austerlitz, gdzie zostawiłem moje rzeczy. Po godzinie, którą spędziłem w lasku Vincennes, spotkałem się z przyjacielem w kawiarni koło Bastylli, i wręczyłem mu kwit na moje bagaże. W międzyczasie wynajął on samochód z szoferem, który miał czekać na nas koło hotelu Bohy-Lafayette. Poszedłem wprost pod ten adres, podczas gdy mój przyjaciel pojechał na dworzec Austerlitz, gdzie odebrał bagaże. Okazało się, że nasz szofer był Amerykaninem, weteranem pierwszej wojny światowej, osiadłym we Francji. Wydawało mu się, że wiezie rodzinę na wakacje.

Wszystkie te ruchy miały na celu zmylenie agentów OGPU, którzy mogli nas śledzić. Mieliśmy tego dnia wyjechać do Havru i tam wsiąść na statek sowiecki, ale zamiast tego pojechaliśmy samochodem do Dijon. Na przedmieściu Paryża zatrzymałem się żeby zatelefonować do Madeleine i powiedzieć jej, że zerwałem z rządem sowieckim. Nic nie odpowiedziała. Dowiedziałem się później, że zemdląca przy telefonie.

Do Dijon dojechaliśmy o 9 wieczorem, zapłaciliśmy szoferowi i wsiedliśmy do pociągu odchodzącego na Côte d'Azur. O

7-ej rano następnego dnia przyjechaliśmy do Hyères, a wieczorem nasz przyjaciel wrócił do Paryża, aby wystarać się dla mnie o opiekę władz.

Z początkiem listopada wróciłem do Paryża. Przez adwokata pani Reiss nawiązałem kontakt z Leonem Siedowem, synem Trockiego, który redagował „Biuletyn opozycji”, i z przywódcami paryskiej grupy mieńszewików. Leon Blum był wówczas u władzy i grupa ta była w najlepszych stosunkach z jego rządem. Napisałem do pani Reiss i do mego belgijskiego pomocnika, któremu całkowicie ufałem, prosząc ich o umieszczenie ogłoszenia w paryskim „Oeuvre” w razie gdyby chcieli spotkać się ze mną. Byłem przekonany, że Belg pójdzie za moim przykładem i zerwie ze Stalinem.

Kiedy spotkałem się z Siedowem powiedziałem mu otwarcie, że nie przychodzę do niego, aby przystać do trockistów, ale po przyjacielską pomoc i radę. Przyjął mnie serdecznie i widywałem go prawie codziennie. Nabrałem podziwu dla tego syna Trockiego jako do wybitnej indywidualności. Nigdy nie zapomnę jego bezinteresownej pomocy, pociechy, w dniach kiedy agenci Stalina deptali mi po piętach. Był jeszcze bardzo młody, ale niezwykle uzdolniony, pełen wdzięku, świetnie o wszystkim poinformowany, wydajny w pracy. W procesach moskiewskich powiedziano, że otrzymywał ogromne sumy od Hitlera i od Mikada. Przekonałem się, że prowadził życie prawdziwego rewolucjonisty, ciężko pracując cały dzień dla opozycji, a w gruncie rzeczy nie stać go było ani na przyzwoite życie, ani na porządne ubranie. W 3 miesiące później, zdrow i w kwiecie wieku, nagle umarł w jednym z paryskich szpitali. Wielu ludzi, łącznie z jego ojcem, było przekonanych, że OGPU maczało w tym ręce.

Dzięki Teodorowi Danowi, przywódcy rosyjskich socjalistów, i jego towarzyszom, rząd Leona Bluma wystawił mi osobiste papiery i zapewnił opiekę policji. Przedtem jednak OGPU zrobiło pierwszy zamach na moje życie.

Napisałem w międzyczasie do mego belgijskiego pomocnika, że może skomunikować się ze mną jedynie pod warunkiem, że postanowił zerwać ze Stalinem. Zawiadomił mnie, że jak zwykle zatrzyma się w hotelu Breton, rue Duphot, i chętnie mnie zobaczy. Zatelefonowałem i umówiliśmy się, że spotkamy się w kawiarni koło placu Bastylli. Siedziałem już przy stoliku gdy wszedł.

„Przychodzę w imieniu organizacji” — były jego pierwsze słowa. Zrozumiałem od razu, że miał odegrać rolę Gertrudy Schilbach i że moje życie było zagrożone. Jakkolwiek byłem głęboko wstrząśnięty, gdyż miałem pełne zaufanie do tego chłopca, opanowałem się szybko i zauważyłem, że jakaś nieczytliwa

grupa ludzi siedzi przy sąsiednim stoliku. Palili austriackie papierosy — była to mała francuska kawiarenka — byłem przekonany, że byli na służbie OGPU.

Mój młody przyjaciel opowiedział mi, że przyjechał do Paryża z zamiarem zerwania ze służbą, ale że przez dwa dni specjalny wysłannik Moskwy prowadził z nim rozmowy i w końcu przekonał go, że ja nie miałem racji, a wszystko co Stalin robił było dla dobrej sprawy. I tu rozwinął wszystkie tak dobrze mi znane stare argumenty propagandowe. W tej sytuacji uważałem, że najlepiej będzie udawać, że wszystko co mówi robi na mnie głębokie wrażenie.

„W Moskwie wiedzą dobrze że nie jesteś ani zdrajcą ani szpiegiem” — powiedział. — „Jesteś dobrym rewolucjonistą, ale jesteś zmęczony. Załamujesz się z przepracowania. Z pewnością pozwolą ci wyjechać na dłuższy wypoczynek. W każdym razie jesteś zawsze jednym z nas”. Czy nie siedziałeś już w pociągu 21 sierpnia, żeby wracać do domu? Jeszcze wrócisz. My cię tam zawieziemy. Wysłannik Moskwy rozumie twoje trudności i chciałby odbyć z tobą dłuższą rozmowę. Ty go oczywiście znasz, ale nie mogę powiedzieć kto to jest”.

Podczas kiedy mówił patrzałem na jego ręce, czy nie daje znaków ludziom siedzącym przy stoliku obok. Byłem w pułapce i musiałem myśleć szybko. Ponieważ do niedawna myślałem tak jak on, przyszło mi łatwo odpowiedzieć mu słowami, których oczekiwał ode mnie. Wyraziłem wdzięczność, że Moskwa wysłała tak inteligentnego człowieka i najżywszą chęć spotkania się z nim dla wyjaśnienia wszystkiego.

„Spiegelglass był po prostu idiotą i zwyczajnym bandytą” — powiedziałem. — Człowiek, o którym mówisz, na pewno doskonale rozumie moją sytuację”.

Omawialiśmy następnie spotkanie z wysłannikiem Moskwy. Zaproponował, abyśmy się spotkali w Holandii, w domu jego teściów, których znałem doskonale. Zgodziłem się chętnie, rozumiejąc, że celem tego planu było pozbycie się mnie z Francji, w której wciąż jeszcze gotowało się w związku ze sprawą Millera i Reissa. Był zachwycony swoim powodzeniem i zauważyłem że dawał znaki do sąsiedniego stolika, że wszystko poszło dobrze. Ustaliliśmy w przybliżeniu datę spotkania i wydawało mi się, że tym razem wyprowadziłem w pole morderców OGPU.

Zaprosiłem mego Belga do dobrej restauracji i kiwnąłem na taksówkę. Zauważyłem, że nie byliśmy śledzeni i byłem rad, że udało mi się wymknąć. Śniadanie nie było przyjemne: musiałem potem kilka razy zmieniać taksówki żeby się Belga po-

zbyć, ale znacznie trudniej było pozbyć się goryczy płynącej z jego zdrady.

Po tym wydarzeniu zwróciłem się do pana Dormoy, socjalistycznego ministra spraw wewnętrznych; powiedziałem kim jestem i prosiłem o opiekę. Wręczyłem Teodorowi Danowi wszystkie fałszywe paszporty moje i mojej żony i prosiłem o oddanie ich panu Dormoy. W podaniu opisałem moją służbę dla Sowietów od 1918 do 1937 i dodałem:

„Ostatnie wydarzenia w Związku Sowieckim zupełnie zmieniły stan rzeczy... Mając do wyboru śmierć razem z moimi starymi towarzyszami partyjnymi, albo uratowanie życia własnego i swojej rodziny, postanowiłem nie wydać się potulnie stalinowskiemu terrorowi... Wiem, że na moją głowę została wyznaczona cena. Mordercy są na moim tropie i nie oszczędzą ani mojej żony ani dziecka. Niejednokrotnie ryzykowałem życie dla sprawy, ale nie chcę umierać teraz bez powodu”.

„Proszę o opiekę dla mnie i mojej rodziny i o pozwolenie pozostania we Francji zanim nie będę mógł wyjechać do innego kraju, gdzie będę mógł zarobić na życie i znaleźć wolność i bezpieczeństwo”.

Na skutek tego podania minister spraw wewnętrznych kazał policji paryskiej wydać mi *Carte d'identité*, na podstawie której uzyskałem później paszport na wyjazd do Stanów Zjednoczonych.

Inspektor policji Maurice Maupin otrzymał polecenie pilnowania mnie i towarzyszenia mi do Hyères, gdzie miał zorganizować ochronę mojej rodziny. Minister spraw wewnętrznych zapewnił mnie, że rząd francuski niczego ode mnie nie żąda, chce jedynie mieć pewność, że nie stanie mi się nic złego na terytorium Francji, co mogłoby jeszcze pogorszyć stosunki francusko-sowieckie.

W towarzystwie inspektora Maupin wyjechałem do Hyères na czas krótki, o czym wiedziało zaledwie kilka osób w całym Paryżu. Dojechaliśmy do Marsylii w poniedziałek późnym wieczorem: Pociąg zatrzymał się na stacji na pół godziny. Peronu nie widziałem, gdyż zasłaniał go inny pociąg. Gdy ten ruszył w kilka minut później, zobaczyłem mego belgijskiego przyjaciela, w deszczowym płaszczu, jak szybko podchodził do jakiegoś człowieka dając znaki ręką.

Zawołałem do inspektora Maupin: „To są mordercy”!

Poznałem, że towarzyszem mego dawnego pomocnika był Kral, wyższy oficer sowieckiego OGPU. Po drugiej stronie pociągu, za torami, stało dwóch ludzi. Belg widocznie zauważył moje podniecenie, albo usłyszał mój okrzyk i kiedy z inspektorem



Maupin wyskoczyliśmy z pociągu, ci czterej ludzie uciekli trzymając ręce w kieszeniach. Inspektor wyciągnął rewolwer i zaczęliśmy ich gonić. Ale gdy dobiegliśmy do końca peronu, zatrzymał się i kazał mi stanąć pod ścianą. Sam stanął przede mną i powiedział: „Mam rozkaz dostawić pana bezpiecznie do Paryża. Nie mam zamiaru chwycić w pojedynkę czterech uzbrojonych morderców”.

Był przekonany, że mieli granaty ręczne.

Była już północ i nie widać było żadnych żandarmów. Mój Belg i jego towarzysze uciekli, a my wróciliśmy do przedziału. Do dzisiaj nie wiem, w jaki sposób OGPU dowiedziało się o moim wyjeździe, i marszrucie.

Wbrew opinii inspektora, byłem pewien, że planowano uprowadzenie mnie z pociągu, ukrycie w Marsylii, idealnym miejscu dla tego rodzaju operacji, i przetrzymanie do czasu przyjazdu sowieckiego statku, albo pozbycie się mnie od razu.

W grudniu opuściliśmy naszą kryjówkę w Hyères i przenieśliśmy się do Hotel des Académies na rue St. Pères w Paryżu obok komisariatu policji. Władze wyznaczyły trzech policjantów do naszej ochrony. Zajmowali oni pokój obok naszego, zmieniając się co osiem godzin, a inni w dzień i w nocy dyżurowali u wejścia do hotelu.

W czasie ostatniego procesu pokazowego w Moskwie, w marcu 1938, francuscy dziennikarze socjalistyczni namawiali mnie, abym zabrał głos. Dałem interview Borysowi Suwarinowi, który był dawniej członkiem Komitetu Wykonawczego komunistycznej Międzynarodówki, a obecnie pracował w redakcji paryskiego „Figaro”, i Gastonowi Bergèry, członkowi Izby Deputowanych, który był zięciem Leonida Krassina, byłego sowieckiego ambasadora w Wielkiej Brytanii. P. Bergèry, który obecnie redaguje niezależny tygodnik w Paryżu, był jednym z pierwszych Francuzów, którzy patronowali francusko-sowieckiemu sojuszowi, ale którego czystki rozczarowały.

Napisałem również kilka artykułów komentując wiadomości z Moskwy dla pisma „Socjalistyczeskij Wiestnik”, wydawanego w Paryżu przez rosyjskich socjal-demokratów. Artykuły te były przedrukowane w „Social Demokrat” w Sztokholmie i Kopenhadze, urzędowych organach partii socjalistycznych, naówczas rządzących w Szwecji i Danii i wywołały dyplomatyczne protesty Moskwy, ale rządy szwedzki i duński odpowiedziały, że w ich krajach prasa jest wolna.

Nawet w Stanach Zjednoczonych długa i mściwa ręka Stalina usiłowała mnie dosięgnąć. We wtorek, 7 marca 1939, około 4 po południu, poszedłem do restauracji na 42 ulicy, niedaleko

Times Square, w towarzystwie jednego z redaktorów nowojorskiego pisma socjalistycznego. W kwadrans później trzech mężczyzn usiadło przy sąsiednim stoliku. Jednego z nich znałem. W naszej tajnej służbie używał pseudonimu Jim, a jego prawdziwe nazwisko było Siergiej Basow. Marynarz z Krymu, stary agent sowieckiego wojskowego wywiadu, przed wielu laty wysłany do Stanów Zjednoczonych jako stały agent, miał obywatelstwo amerykańskie.

Znając metody Stalina nie miałem wątpliwości, że zorganizowanie polowania na mnie po tej stronie Atlantyku zlecił pułkownikowi Borysowi Bykowowi. Bykow stał na czele sowieckiego wywiadu wojskowego na Stany Zjednoczone od 1936 roku. Wstaliśmy szybko od stołu, ale Basow złapał mnie przy kasie. Przywitał się ze mną jak najprzyjaźniej.

— „Czy przyszedłeś aby mnie zastrzelić?” — zapytałem.

— „Co znowu, to nie urzędowe spotkanie. Po prostu chcę z tobą pogadać”.

Gertruda Schildbach i mój belgijski pomocnik rozpoczęli swoje zadanie od takiej właśnie pogawędki. Tym niemniej pozwoliłem Basowowi przejść ze mną do firmy wydawniczej w pobliżu, gdzie miałem kogoś zaprzyjaźnionego. Dwaj inni zbliżyli się do mego towarzysza z restauracji, który został w tyle. Ale nie śmieli wejść do budynku firmy wydawniczej.

Moja pogawędka z Basowem dotyczyła wspólnych przyjaciół w Moskwie i w służbie zagranicznej. Kiedy weszliśmy do biura mego znajomego powiedziałem Basowowi, żeby mi się więcej nie pokazywał na oczy i że najlepiej zrobi wyjeżdżając ze Stanów.

Po odejściu Basowa zostałem w biurze jeszcze przez dłuższy czas. Czekałem do dziewiątej wieczór aż przyszło kilku moich przyjaciół, powiadomionych telefonicznie o całej przygodzie. Ludzie szli do teatrów, na ulicach pełno policji, nigdzie nie było widać podejrzanych samochodów.

Raz jeszcze udało mi się wyjść cało.





## « ARCHIWUM REWOLUCJI »

Ilu pokoleń historyków trzeba będzie w przyszłości dla uwolnienia obrazu życia rosyjskiego w ostatnich dziesięcioleciach od ciężkich fałszerstw propagandy i dla zrekonstruowania prawdziwego przebiegu wypadków? Będzie to z pewnością jedno z najtrudniejszych zadań, jakie kiedykolwiek stanęły przed ludzkością: w parze z ogromem materiału do zbadania idą otaczające go od dawna gęste ciemności.

Ale nawet gdy można będzie sięgnąć swobodnie do źródeł oficjalnych, jaką ręką i jaką ręką prawdę dadzą one badaczom w najważniejszych sprawach? Zapewne staną oni przed górami szpargałów zawierających ślady działalności organów wykonawczych wszystkich stopni; ale ileż z tego uda się wydobyć danych autentycznych o najdonioślejszych uchwałach organów kierowniczych? Chruszczow, na przykład, potwierdził oficjalnie prowokacyjny charakter zabójstwa Kirowa. Lecz w jakich okolicznościach i przy czym udziale postanowiono tę haniebną inscenizację? Przez kogo i jak, na podstawie jakich instrukcji, zostały sporządzone listy likwidacyjne kadr partyjnych w przewidywaniu tej zbrodni? Można bez końca mnożyć podobne pytania. Jakie realne motywy kryły się za likwidacją KPP, kto wysunął tę propozycję, kto ją zaaprobował? Odnajdzie się kiedyś świstek papieru z rozkazem wymordowania w Katyniu więźniów Starobielska i Ostaszkowa?

„Są to naiwne pytania — wyznał raz Togliatti swemu b. towarzyszowi — zważywszy że uchwały o pewnej wadze nie podlegają nigdy zaprotokółowaniu, a odnośnych rozkazów nie wydaje się nigdy na piśmie”. Jeśli to prawda, moglibyśmy ją uważać za dowód, że nawet w okresie bardziej na pozór trwałym swojej tyranii nędznicy pretendujący do ucieleśniania sprawy Rewolucji mieli realistyczne poczucie własnej nikczemności i zdradzali uzasadniony niepokój o sąd historii. Ale kryminologia niechętnie uznaje zbrodnie doskonałe i, choć z opóźnieniem i z trudem, prawda wychodzi prawie zawsze na światło dzienne. Chodzi mi naturalnie o prawdę o szczegółach, gdyż prawda ogólna, prawda o ustroju, nie podlega więcej dyskusji dla nikogo kto myśli, pisze lub mówi w dobrej wierze.

Dziełu osadzenia jej na niewzruszonych podstawach poświęcili swe siły liczni świadkowie, którzy we własnym doświadczeniu poznali terror fizyczny i ideologiczny komunizmu i postawili go w końcu przed sąd i pod pręgierz opinii międzynarodowej. Ich książki ukazały się w krajach, gdzie wolność słowa dawała agentom dyktatury możliwość zaprzeczenia. Ale nie usłyszeliśmy tych zaprzeczeń, usłyszeliśmy tylko że książki ujawniające rzeczywistość komunizmu są dziełem zdrajców, renegatów, sługusów imperializmu. Nie ma ani powodu ani potrzeby ukrywać faktu, że nawet w krajach demokratycznych te trywialne oszczerstwa osiągały dość często efekt zastraszenia niektórych samozwańczych intelektualistów „postępowych”, nie mówiąc już o atakach wściekłości ze strony dawnych towarzyszy partyjnych. I byłoby rzeczą łatwą udawać obojętność wobec tego rodzaju napaści i wobec nieodłącznych od nich aktów ekskomunikacji; byłoby rzeczą łatwą, gdyby nie pozostawały one bolesnymi ranami w sercu każdego kto pozostał mimo wszystko wierny sprawie socjalizmu.

Czytelnicy książek, które *Kultura* włączyła do serii nazwanej *Archiwum Rewolucji*, powinni o tym pamiętać: są to świadectwa prawdy, które wymagały odwagi.

Ignazio SILONE

Cena 13,50 F. (20/-; dol. 3,00)

